

Robert Buczek

HYBRYDA

2018

Okładka: Ania

WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE.

Żadna część tej publikacji nie może być kopiowana, przechowywana w systemie wyszukiwania danych ani przekazywana w żadnej innej formie lub jakimikolwiek środkami elektronicznymi czy mechanicznymi, poprzez fotokopie, rejestrację na taśmie lub w jakimikolwiek inny sposób bez uprzedniego, pisemnego zezwolenia właściciela praw autorskich.

No part of this publication may be reproduced, stored in a retrieval system or transmitted in any form or by any means, electronic, mechanical, photocopying, recording or otherwise without the prior permission in writing of copyright holders.

© Copyright by Robert Buczek

ISBN 978-83-949139-2-2

Każdy jest kowalem własnego losu.
Juliusz Gajusz Cezar – wódz rzymski, dyktator

*Jeżeli mniemasz, białasku, że możesz kontrolować swoje życie,
to świadczy to jedynie o tym,
że twój IQ niekorzystnie odbiega od normy.*
Udana „Bum-Bum” Dalalumpo - szaman

Prolog

Rozmowa była krótka, ale wystarczająco treściwa, by łysina senatora Bradocka pokraśniała, jak uliczny sygnalizator. Bradock sapał, jakby za chwilę miał paść na atak dychawicy, dłonie zacisnął spazmatycznie na poręczach rzeźbionego fotela; poruszał bezgłośnie ustami w bezsilnej złości. Gdyby tylko mógł wylałby na swojego rozmówcę wiadro werbalnych, najgorszych, rynsztokowych pomysłów, jakie kiedykolwiek wypowiedział jakikolwiek przedstawiciel jedyne go znanego inteligentnego gatunku w całym poznanym kosmosie. Gdyby tylko mógł... Ale nie mógł. Milczenie przedłużało się, a jego rozmówca przyglądał mu się tylko z politowaniem i jeszcze czymś, co czaiło się w głębi stalowych źrenic, a od czego Bradockowi jeżyły się włosy na plecach. Na głowie, niestety, już nie mogły.

- To absurd – wychrypiął w końcu Bradock. – To jakiś cholerny absurd.
- Nie filozuj, Bradock, tylko bierz się do roboty – głos Johna Smitha nie znosił sprzeciwu.
- Ale tego się nie da zrobić! – odważył się na ostateczny sprzeciw Bradock. – To byłoby polityczne samobójstwo!!
- Ty wszawy zasańcu, ty glisto, ty mała, tłusta, łysa gnido, ty jebany śmierdzieliu – Smith cedził słowa przez zęby, zupełnie bez emocji. – Ty mi będziesz, dupodaju, mówił, że się czegoś nie da zrobić?!

Łysina Bradocka, chociaż zdawało się to najzupełniej niemożliwe, poczerwieniała jeszcze bardziej, nabierając teraz buraczkowego odcienia, a z jego krtani dobiegł nieartykułowany bulgot.

Smith pokiwał głową i odwrócił wzrok od senatora. Cały czas pozostawiając nogi oparte nonszalancko o blat monstrualnej wielkości mahoniowego biurka, skręcił się na obrotowym, wyściełanym skórą fotelu, który w pełni zasługiwał na miano tronu i sięgnął do szuflady. Spokojnie, mierzonym ruchem wysunął ją i zatopił w niej rękę. Gdy dłoń Smitha ukazała się

ponownie, tkwił w niej imponującej wielkości rewolwer firmy Smith & Wesson. Wersja Magnum. Armata dla prawdziwych twardzieli.

- Wiesz, Bradock, ty stary, żaloszny skurwysynu, do czego to służy? Do odmóżdzenia takich smętnych, bezwartościowych, trzęsących się, umazanych własnymi glutami buców, jak ty – Smith mówiąc to, nawet na moment nie spojrzął na senatora. Nie musiał, doskonale wiedział, jak działa widok broni w jego rękach na zwykłych śmiertelników. – A może wolisz Bradock, ty cwelu, żebym ci tym przetkał dupę?! – zaryczał zniecka Smith i skierował gigantyczną lufę w stronę senatora.

Dla dobiegającego sześćdziesiątki polityka było już tego za dużo. Bradock stęknął i gabinet wypełnił się potwornym smrodem.

- No i zesrałeś się Bradock, ty gównozjadzie – ze spokojem stwierdził Smith.

Nacisnął przycisk zamocowany bezpośrednio pod blatem i niemal w tym samym momencie do gabinetu wpadło dwóch ogolonych na zapałkę, kwadratowych facetów, każdy po metr dziewięćdziesiąt i to nie licząc sterczących na baczność fryzur, z giwerami w rękach. Bradock padł na kolana, przekonany, że nie dożyje emerytury. Goryle rzucili się w stronę senatora, ale Smith powstrzymał ich ruchem ręki.

- Spokojnie – powiedział Smith zupełnie bezbarwnym głosem. – Mój gość chwilowo stracił kontrolę nad zwieraczami. To się zdarza w biznesie. Zabierzcie go do łazienki, niech się doprowadzi do porządku. A może by tak... – w oczach Smitha znowu pojawił się ten sam mrozący krew w żyłach złowieszczy błysk. – A może by tak zafundować panu senatorowi małą lewatywę? Żeby mi się tutaj znowu nie zesrał, stary pierdziel! No, dalej!- zaryczał Smith. - Zabierajcie to ścierwo, bo się porzygam od tego smrodu!

Cyngle porwali senatora pod pachy i powlekli w stronę drzwi.

- Panie senatorze Bradock! – zawołał Smith zmieniając tym razem głos na samą słodycz. – Jak się pan wymyje, przebierze i będzie czyściutki i pachnący, zapraszam ponownie, bo jeszcze nie skończyliśmy. A teraz... WON!!!

Drzwi zamknęły się i Smith został sam. Chwilę bawił się rewolwerem, ale nie trwało to długo. Schował broń do szuflady. Sięgnął do pudełka po cygaro. Powąchał. Obciął końcówkę i zapalił. Przez minutę, może dwie, delectował się dymem, a następnie wstał, przeszedł powolnym, ale sprężystym krokiem kilkanaście metrów i stanął przed ogromną, szklaną taflą. Cała ściana jego gabinetu była jednym, gigantycznym oknem o powierzchni około siedemdziesięciu metrów kwadratowych. Co ciekawe, patrząc z zewnątrz, okna nie było widac, a ten fragment budynku wyglądał, jakby stanowił litą ścianę. Ten trik kosztował Smitha majątek, ale nie miało to najmniejszego znaczenia. Dla kogoś, kto siłą swego kapitału

i pozycji wpływał na politykę i gospodarkę największego mocarstwa świata, takie wydatki zupełnie się nie liczyły. Płacił za nie bez zmrżenia powieką, bo wiedział, że i tak każdego dnia jego wpływy przewyższają wydatki. Patrzył w dal na stado mustangów. Lubił konie i mógł się im przyglądać godzinami. Gdyby nie był tym kim był, pewnie zostałby kowbojem, ujeżdżaczem dzikich koni, albo występował w rodeo. W gruncie rzeczy od bycia pastuchem dzieliła go tylko rodzinna tradycja. Zbójcka tradycja. Dziadek Johna Smitha dorobił się na prohibicji. Był bardziej bezwzględny niż Al Capone, ale nie miał jego wdzięku i dlatego nie dorównał nigdy Capone'owi sławą. Chociaż pod koniec kariery z pełną premedytacją urządzał krwawe jatki po to tylko, by zainteresować sobą prasę, pismacy i tak biegali za Alem. W końcu wykończył go jeden z przybocznych, skaperowany do tego celu przez CIA. Ale kasa została. Ojciec Johna intensywnie powiększał majątek rodzinny wchodząc w każdy intratny biznes: robił w pornosach, hazardzie, prostytutce, handlu żywym towarem, narkotykach, a nawet załapał się na początek ery handlu organami. I oczywiście nie chodziło o organy piszczalkowe, Hammonda, czy jakieś inne w ten deseń, ale o organy do przeszczepów. Rzec można, że o ile dziadek Smith był zwykłym rzeźmiechem, to jego potomek zrobił pierwszy krok do globalnego biznesu na wielką skalę. John, z kapitałem odziedziczonym po ojcu, mógł zostać nie tylko najzupełniej legalnie działającym biznesmanem, ale nawet najzupełniej bezczelnie, jawnie działającym, największym i najbardziej wpływowym bandziorem w dziejach ludzkości, przy którym capo di tutti capi cosa nostry wyglądali, jak ratlerki przy lwie (Smith zwykł mawiać, że prawo jest jak dziwka: idzie z tym, kto lepiej zapłaci). Nawet w Białym Domu nie mówiono na niego inaczej niż Big John, a czasem nawet King John.

Delektowanie się widokiem biegających, pasących się i kopulujących koni - szczególnie temu ostatniemu Big John lubił przyglądać się ze szczególną uciechą - przerwało Smithowi nieśmiałe pukanie do drzwi. Smith uśmiechnął się i czekał. Pukanie ponowiło się, tym razem nieco silniejsze.

- Wejść - powiedział zdecydowanym głosem.

Smith odwrócił się i ujrzał trzęsącą się postać Bradocka, który zmierzał w jego stronę, skulony w jakimś nienaturalnym, czołobitnym niby-ukłonie.

- Ach! To pan senatorze! Kochany, jakże się cieszę, że widzę pana, jak mniemam, w dobrym zdrowiu - Smith ruszył w stronę Bradocka, a gdy w końcu mężczyźni spotkali się, ujął dłoń senatora w obie ręce i serdecznie potrząsnął. - Mam nadzieję, że pana ostatnie kłopoty, hm, nazwijmy je gastrycznymi, odeszły już w niepamięć, he?

I nie czekając na odpowiedź ujął Bradocka pod ramię, jakby byli od lat najlepszymi przyjaciółmi, i poprowadził do tronu.

- Niechże pan siada wygodnie, no, bez krępacji – Smith niemal siłą usadził przerażonego senatora na swoim miejscu, a sam zajął miejsce w fotelu dla gości.

- I jak? Podoba się panu? – zapytał Smith. – Czy czuje pan siłę emanującą z tego miejsca? Czy nabrał pan innej perspektywy? Czy poczuł się pan jak... jak władca? Król? Cesarz? Nie? A ja owszem. Zawsze, gdy siedzę w tym samym fotelu, w którym pan teraz siedzi, przed tym samym biurkiem, gdy za sobą mam to samo zajebiste okno zrobione za zajebistą kasę, a przed sobą te same, grube, bogato zdobione dębowe drzwi, tak właśnie się czuję. Czuję, że jestem panem świata. Ale czuję to nie dlatego, że siedzę akurat w tym miejscu, ale dlatego, że zawsze i wszędzie się tak czuję. Dlatego, że to po prostu prawda. Świat jest mój. Proszę pana o banalny, najzwyklejszy, najprostszy pod słońcem lobbying polityczny, ale nie jestem ani głupi, ani lekkomyślny. Wiem, że w tej sprawie podniosą się pienia wszystkich ciot świat. Lekarze będą pieprzyć o etyce, naukowcy o implikacjach i konsekwencjach, politycy o zasadach demokracji, demokraci o prawach człowieka, republikanie o Bogu, zieloni o końcu świata. Wiem to doskonale i dlatego pan nie jest jedyną osobą, która się w to zaangażuje. Będzie pan jedynie maleńkim trybikiem w maszynie propagandy, pana praca będzie jednym z wielu elementów służących urobieniu elit i mas. Zresztą zarówno elity, jak i masy są w tych kwestiach jednakowo przewidywalne i plastyczne. Jednych i drugich można albo okpić, albo zmanipulować, albo przekupić. A jak się nie da zawsze można... jakby to powiedzieć, by mi się pan tu znowu nie zesrał... niech będzie – wyeliminować.

Smith przerwał przemowę.

Bradock był nią niezłe skołowany, ale przynajmniej nabrał przekonania, że jednak ujdzie z życiem. Znał Smitha od lat, ale ten bandyta i jeden z najbogatszych ludzi świata, którego oficjalny majątek szacowany był na siedemdziesiąt miliardów dolarów, a nieoficjalny był zapewne wielokrotnie większy, nigdy nie prosił go o coś tak szalonego. Nigdy też nie zdradził się aż tak gwałtownie z poziomem swej megalomanii. „Król, cesarz”, myślał Bradock, „wolne żarty. Ten żłób to zwykły geszefciarz, tyle, że bardziej bezwzględny od innych. Co on tak naprawdę może? Może i dużo, ale na pewno nie aż tyle, ile mu się wydaje. Co on myśli? Że może pogrywać z prezydentem?!”

Smith jakby odczytał myśli Bradocka, bo zapytał:

- Jak pan myśli, senatorze Bradock, ile wynosi mój majątek?

- No, wie pan, oficjalne dane... - zaczął Bradock.

- Niechże pan nie pieprzy Bradock! – przerwał mu Smith. – Dobrze pan wie, że dane oficjalne nawet nie ocierają się o prawdę. No więc? Ile, Bradock? Ile? Tylko niech się pan zastanowi, bo nie lubię, jak się mnie nie docenia. A poza tym czas zająć odpowiednie miejsca.

Mówiąc to Smith uniósł się z fotela.

- No więc ile? – ponaglił Bradocka Smith, gdy mężczyźni zamienili się miejscami.

- Dwieście miliardów! – wypalił Bradock.

- Niech mnie pan nie rozśmiesza, Bradock. Potraktuję to jako żart, bo naprawdę nie lubię, jak się mnie lekceważy. Ma pan jeszcze jedną szansę, a potem... - Smith łypnął znacząco oczami w stronę szuflady.

Na twarzy Bradocka momentalnie pojawiły się kropelki potu.

- Siedemsssset mil... - wydyszał Bradock, ale zobaczył, jak Smith sięga w stronę szuflady z armatą i w panice ryknął:

- Nie, nie, przepraszam! Bilion! Bilion dolarów!

Smith cofnął rękę i rozparł się wygodnie w fotelu.

- Jesteś idiotą pozbawionym wyobraźni, Bradock, ty bucu. I tylko dlatego cię nie zabiję. No i dlatego, że jesteś mi potrzebny. Tacy, jak ja, wielcy, potrzebują takich, jak ty, gównozjadów, żeby odwalali za nich robotę. Zresztą sam nie wiem już ile mam tej kasy. Rozumiesz, obligacje, akcje, opcje, firmy, nieruchomości, dzieła sztuki, ziemia w Europie, za którą ci pojebani socjaliści bóla mi ciężkie pieniądze tylko dlatego, że ją mam, ropa, nowoczesne technologie, patenty, prawa autorskie i chuj wie co jeszcze. Stary, sam się w tym, rozumiesz gubię. Tego, co łatwo policzyć będzie jakieś pięć, sześć bilionów baksów... Wiesz, co, Bradock, ty stary bucu? Chyba będę musiał zagonić do roboty swoich murzynów w białych kołnierzykach, żeby się solidnie wzięli za liczenie, bo to w końcu głupio tak nie wiedzieć ile się czego ma. No nie?

I Smith zaniósł się dzikim, histerycznym śmiechem. Bradock poczuł, że jeszcze chwila, a jego zwieracze znowu się zbuntują. Nie ulegało wątpliwości, że Smith był szalony. Nie! On był kompletnym czubem z budżetem, za który mógłby wykupić swobodnie takie państwko, jak... jak... jak Polska! A może nawet więcej? Może jego władza nawet w Stanach nie była urojona, ale całkiem realna? Może nie ograniczała się do w sumie małych geszeftów, ale mogła wpływać na społeczną, ekonomiczną i militarną politykę mocarstwa? Na decyzje Wuja Sama?! Bradock poczuł, jak drętwieje mu lewa strona ciała i sięgnął do kieszeni marynarki po fiolkę z lekarstwem.

- No co, senatorku? Zaczyna do pana docierać straszna prawda? – zapytał Smith, gdy przestał rechotać. – Pan myśli, że ci z CIA są takimi debilami, że nie potrafią sfabrykować dowodów,

by umotywować wojnę? Że nie mogli stworzyć lepszej legendy, niż ta, że Irak ma broń chemiczną i biologiczną? Ależ ręczę panu, że nie są i mogą. W końcu wiem, komu płacę. Ale wtedy nie byli w stanie, bo im zostawiłem za mało czasu. To był też mój błąd, ale co tam. Przecież nie będę żałował tego kmiota, Busha, że go przez to komuchy na całym świecie chciały zerznąć w dupę. A World Trade Center? To był jeden z lepszych interesów w moim życiu. Nie dość, że bezpośrednio zarobiłem kawał kasy, to jeszcze udało mi się korzystając z okazji wyprać trochę brudnego szmalu. Rozumiesz teraz dziadku, że jak będziesz grzecznie robił, co ci każe to nie zginiesz? Ale jak zaczniesz robić jaja, to... - Smith mówiąc to poruszył szufladę.

Bradock nic nie powiedział, tylko potakująco skinął głową.

- No to teraz wypierdalaj – ryknął Smith. – Ja mam tu jeszcze w pizdu roboty!

Bradock wstał i chwiejąc się na nogach wyszedł.

John Smith rzeczywiście miał jeszcze trochę roboty, a właściwie czekała go jeszcze jedna rozmowa. O wiele trudniejsza, niż ta z Bradockiem.

&&&

Chris Stanford był gwiazdą. Sława i zaszczyty nie przewróciły mu jednak w głowie. Staranna edukacja w duchu idei i wiary w człowieka, jaką zaaplikował mu ojciec, przyniosła taki efekt, że Chris nigdy nie sprzeniewierzył swoich etycznych przekonań, nigdy nie chodził na skróty, nie poddawał się ani politycznym, ani biznesowym naciskom, co zresztą aż nazbyt często szło ze sobą w parze. Wierzył... Nie! Nie wierzył, lecz był przekonany, że jego praca ma służyć dobru ludzkości. To była żelazna zasada. Zawsze ważył argumenty za i przeciw nim przystępował do badań i jeżeli pojawiał się choćby cień wątpliwości zarzucał nawet całkiem obiecujące eksperymenty (to Stanford był autorem słów: „Nauka pozbawiona etyki jest gorsza od dżumy z cholerą razem wziętych”). Gdy większość kolegów kierowała się zasadą, że jeżeli nie oni, to zrobi to ktoś inny, Stanford odrzucał ją jako fundamentalny błąd logiczny i światopoglądowy. Uważał, że tak naprawdę w ten sposób można usprawiedliwić nawet największe draństwo. Historia nauki w znacznie mierze potwierdzała, że tak było w istocie. Bomba atomowa i epidemia AIDS były najbardziej namacalnymi przykładami, ale mniej rzucających się w oczy, chociaż wcale nie mniej dramatycznych przypadków, gdy nauka i technika, choć rozwijane w dobrej wierze, zwracały się przeciwko człowiekowi, było bez liku. Stanford miał jeszcze kilka innych cech, za które szczerze nienawidziła go znaczna część jego środowiska. Stanford nie tylko sam stosował się do narzuconych sobie zasad, ale

mieszał się do prac kolegów po fachu, starając się wymóc na nich stosowanie tych samych standardów, które sam uznawał za niepodważalne i niezbędne. A robił to skutecznie, gdyż po pierwsze był jednym z najlepszych specjalistów w branży, a po drugie był medialny, to znaczy nie dość, że potrafił argumentować w sposób logiczny, prosty i zrozumiały nawet dla niezbyt rozcigniętego telewidza, to w dodatku natura obdarzyła go aparycją filmowego amanta. Jakkolwiek męska część widowni nie zawsze się z nim zgadzała, było pewne, że panie wierzą w każde słowo Stanforda, jak w objawienie. Stanford był więc guru i miał wszelkie powody, by czuć się znakomicie. Stanford jednak czuł się jak źle wyżęta, brudna i sponiewierana szmata do mycia podłóg w miejskich toaletach. Dwa tygodnie temu zniknęła jego córka. Najzupełniej bez śladu. Stanford był kimś, więc policja nawet dość żwawo zabrała się do roboty, ale w ciągu kilkunastu dni nie udało się ustalić choćby najdrobniejszych faktów, które mogłyby przybliżyć stróżów prawa do rozwiązania zagadki. Wyglądało to tak, jakby Anna Elizabeth Stanford po prostu się zdematerializowała. Już po kilku dniach zupełnie bezowocnej, choć skrupulatnej policyjnej roboty, zaczęły pojawiać się pierwsze koncepcje brane, z braku laku, z sufitu. Podejrzewano: porwanie dla okupu, ale żaden domniemany porywacz nie zgłosił się z żądaniem; akt terrorystyczny, ale istotą terroryzmu nie jest przemoc jako taka, ale możliwie najbardziej spektakularne i masowe rozprzestrzenienie informacji o dokonanym gwałcie, a w przypadku młodej Stanfordki wiadomo było tylko, że zniknęła z domu; ucieczkę z chłopakiem, ale młodzi nie są nigdy na tyle sprytni, by nie pozostawić za sobą absolutnie żadnych tropów; zemstę jakiegoś oszalałego z zawiści konkurenta Stanforda do naukowej sławy; a co bardziej obdarzeni fantazją gliniarze zaczęli nieoficjalnie przebąkiwać o porwaniu Anny Elizabeth przez kosmitów. Doszło nawet do tego, że zaczęto podejrzewać samego Stanforda o sprokurowanie całego zamieszania, w celu zdobycia kolejnych kilku punktów w rankingach medialnej popularności.

Nic zatem dziwnego, że Chris Stanford, zamiast cieszyć się sukcesem, w ciągu ostatnich czterech dni postarzał się o kilkadziesiąt lat. W dodatku, jakby miał mało nieszczęść, nie dalej niż kwadrans temu do jego mieszkania zapukało dwóch osiłków i przekazało mu zaproszenie od Mr Smitha. Stanford, nie siląc się nawet na odrobinę kurtuazji, powiedział im wprost, że ma to w dupie, ale pretorianie oligarchy bez większych trudności przekonali naukowca, że życzeniom Big Johna się nie odmawia, a następnie zapakowali do nierzucającego się w oczy chryslera kombi i powieźli na lotnisko. Lot prywatną, odrzutową awionetką Smitha trwał w przybliżeniu dwie godziny. Tyle bowiem czasu potrzebował niewielki, ale technicznie wyrafinowany samolocik na przelot z peryferyjnego lotniska Woodroth pod Bostonem do stuhektarowej posiadłości Big Johna w Południowej Dakocie.

Chris Stanford siedział teraz w ośmiometrowej limuzynie, która bardziej przypominała luksusowy jacht, niż pojazd drogowy i jechał ściśnięty pomiędzy dwoma gorylami na niechciane spotkanie z człowiekiem, którego szczerze nie cierpiał. Smith, w pojęciu Stanforda, reprezentował wszelkie najgorsze cechy gatunku ludzkiego: egoizm, bezwzględność, chciwość, skrajny pragmatyzm będący wytłumaczeniem nawet najgorszego świństwa, bałwochwalcze wręcz uwielbienie pieniądza i obsesyjne umiłowanie władzy. Stanford nie wiedział o Smicie nawet jednej dziesiątej prawdy, ale wystarczająco dużo, by uważać, że jeżeli ktoś zasługuje, by go potraktować inżynierią genetyczną, to tą osobą jest właśnie Smith.

Po około dziesięciu minutach – jazda mogła trwać o wiele krócej, ale krążownik, zapewne specjalnie, jechał wprost rozpaczliwie wolno – Stanford stanął przed drzwiami, a właściwie bardziej adekwatnie byłoby powiedzieć - u wrót, rezydencji Smitha.

Słowo rezydencja też zresztą nie jest najlepsze do określenia siedziby Big Johna. Owa rezydencja była płataniną wież, kopuł, drewnianych, wielopoziomowych, ociekających zielenią tarasów, przenikających się płaszczyzn z metalu i szkła, futurystycznych, mieniących się w słońcu bąbli, wznoszących się na słupach, które przypominały łodygi jakichś gargantuicznych roślin. Całość, poza zupełnie horrendalnym przepychem, była erupcją złego smaku i architektonicznego kiczu, który kosztował wręcz niewyobrażalne pieniądze. Ten zadziwiający pałac, będący skrzyżowaniem gotyckiego zamku, orientalnych minaretów, buddyjskich pagód i stacji kosmicznej, wywatowany pomysłami rodem z koszmaru architekta, był w znacznej części inspirowany zachciankami samego Big Johna, który potęgą i rozmachem budowli chciał przyćmić największe architektoniczne cuda świata. Architekci, konstruktorzy i budowniczowie, widząc, w jaką stronę zmierza kreatywność inwestora, najpierw usiłowali go delikatnie edukować. Szybko jednak przekonali się, iż jakiegokolwiek próby polemizowania z szefem kończą się nad wyraz niesympatycznie i nie tylko zaprzestali uświadamiać Smithowi, jak wielkim nieporozumieniem są jego projekty, ale zaczęli wspierać oligarchę w tworzeniu coraz to bardziej idiotycznych wizji, a nawet dyskretnie i niepostrzeżenie jęli inspirować jego sny o potędze, czerpiąc niejaką pociechę z wpuszczania Big Johna w najgłębsze i najczarniejsze architektoniczne maliny, jakie tylko można sobie było wyobrazić. W efekcie tyleż tytanicznej, co bezsensownej pracy nie powstał wprawdzie ósmy cud świata, ale Smithowi udało się osiągnąć jedno – każdy jego gość przecierał na widok budowli oczy ze zdumienia i stawał przed obliczem gospodarza w stanie mniejszego lub większego szoku. Wnętrza, jakkolwiek noszące w nieunikniony sposób piętno zewnętrznej formy, były zaaranżowane nie tylko z przytłaczającym przepychem, ale i

funkcjonalnie. I jakkolwiek nowoprzybyłym mogło wydawać się, że wkraczają do nieprzebytego labiryntu, w gruncie rzeczy cała budowla stanowiła zwartą przestrzeń, podzieloną na segmenty, połączone logicznie zaprojektowanymi ciągami komunikacyjnymi. Każdy segment, oznaczony indywidualnym emblematem i kolorystyką, spełniał ściśle określoną funkcję. Owe emblematy i kolory były jednocześnie „drogowskazami” wbudowanymi w posadzki i ściany. Wystarczyło znać symbolikę, by bezbłędnie i bez najmniejszego wysiłku poruszać się we wnętrzu gmachu. Niemniej gość, który nieopatrznie próbowałby zagłębić się w ów niezwykły labirynt bez znajomości owej symboliki, niechybnie by zablądził i miałby spore trudności z wydostaniem się na zewnątrz. W całym gmachu, chociaż najmniejsze sale miały niewiele mniej niż pięćdziesiąt metrów kwadratowych, a największa komnata dorównywała powierzchnią boisku do piłki nożnej i wznosiła się na wysokość ponad dwudziestu metrów, znajdowało się około sześciuset odrębnych pomieszczeń, nie licząc korytarzy, wind i ruchomych chodników, które je łączyły.

Stanford był chyba jedynym człowiekiem, który stając u stóp pokracznej megabudowli nie tylko nie został przytłoczony jej widokiem, ale poczuł nawet swego rodzaju rozbawienie.

- Jak już żeśta mnie tutaj przywiozły – zwrócił się kpiącym tonem Stanford do obstawiających go niezmordowanie goryli – to prowadźta do sołtysa.

Ochroniarz, o ruchach i wyrazie twarzy jakiegoś quasi-ludzkiego automatu nawet nie wzruszył ramionami, tylko, jakby nie słysząc zaczepki Stanforda, odezwał się głosem bez wyrazu:

- Pan pójdzie za mną. Szef już czeka.

Stanford zdziwił się w pierwszym odruchu, skąd goryl, który przyjechał przecież dopiero co razem z nim może wiedzieć, że oligarcha wie już o dostarczeniu „przesyłki” i że na niego oczekuje. Ale szybko zreflektował się, że ktoś taki, jak Smith mógł wyposażyć swoich ludzi w najnowocześniejszy sprzęt, miniaturowe komunikatory, a być może nawet wszczepić im pod czaszkę jakieś komunikacyjne mikroczipy.

Stanford szedł za ochroniarzem, bacznie obserwując otoczenie. Pomimo, że w drodze, używając wind i ruchomych chodników, kilkakrotnie zmienili kierunek, był pewien, że w razie potrzeby odnajdzie sam drogę powrotną. W końcu stanęli przed drzwiami, które nie dalej, jak półgodziny temu opuścił zbolęły i upokorzony senator Bradock.

- Proszę wejść – powiedział tym samym beznamiętnym głosem goryl, otwierając przed Stanfordem jedno skrzydło drzwi.

Uczony przekroczył próg i znalazł się w gabinecie Smitha. Na tle błękitu nieba, który wlewał się do sali przez gigantyczne okno wraz z falami lekko przytłumionego światła, zobaczył zarys sylwetki gospodarza. Nie czekając na słowa zachęty skierował się w stronę ciężkiego biurka.

- Witam panie profesorze – odezwał się spokojnym, uprzejmym głosem Smith.

Stanford, chociaż zatrzymał się przy samym blacie biurka, zaledwie kilka kroków od oligarchy, wciąż nie widział jego twarzy, lecz jedynie ciemną plamę obrysowaną ludzkim konturem.

- Czego pan chce? – zapytał bez ceregieli Stanford.

- O! – ucieszył się nienaturalnie Smith. – Szanowny profesor postanowił zgrywać twardziela? W porządku, to nawet może być zabawne.

- Nie przyjechałem tutaj z własnej woli i z pewnością nie po to, by zabawiać pana rozmową – zauważył chłodno Stanford. – Niech pan gada, co ma pan do powiedzenia i wracam do siebie. Nie mam zamiaru tutaj spędzić ani chwili dłużej, niż to niezbędnie konieczne.

- Na razie mnie pan nie rozczarował – powiedział Smith, uważnie przyglądając się gościowi. Jest pan konkretny, a jednocześnie na tyle inteligentny, by wiedzieć, że granice... owej konieczności wyznaczam ja.

Smith podszedł do biurka i usiadł, opierając się łokciami o blat.

- Proszę siadać, profesorze.

Ponieważ Stanford nie odezwał się, ani nie zrobił żadnego ruchu, Smith kontynuował.

- Może pan stać, ale uprzedzam, że mam panu kilka spraw do wyjaśnienia. Zresztą w ogóle lepiej, żeby pan zrezygnował z tej buntowniczej postawy, bo zaręczam panu, że zostanie pan... w mojej dyspozycji przez dłuższy czas.

Tym razem uczony usiadł. Było jasne, że na razie to Smith rozdaje karty. W dodatku oligarcha zaczął go intrygować.

- Ciekawe, czego to bydle chce? – pomyślał Stanford i zmusił się do przyjęcia swobodnej postawy.

- No, teraz to rozumiem – powiedział Smith i delikatnie dwa razy klasną w dłonie.

Tafla szkła za jego plecami delikatnie ściemniała, a światło uległo rozproszeniu.

- Niezły bajer – pomyślał Stanford.

W gabinecie wciąż było jasno, ale twarz Smitha przestała być ciemną plamą i nabrała szczegółów. Big John mógł uchodzić za przystojnego faceta, ale Stanford od razu uznał, że ma przed sobą niereformowalny egzemplarz prymitywa. Był przekonany, że bez względu na to, ile wysiłku włożą kosmetyczki, manikiurzystki, wizażyści i styliści w kształtowanie

wizerunku Smitha i bez względu na to, za jak bardzo cywilizowaną, kulturalną i inteligentną osobę chciałby Smith uchodzić i tak do śmierci pozostać burakiem. Wypindrzoną, wysolaryzowaną, wyuczonym *savoir-vivre*'u i gładkiego wysławiania się burakiem. Widząc twarz Smitha nabral też pewności, że jest on nie tylko prymitywem, ale także człowiekiem bezwzględny, pozbawionym jakichkolwiek skrupułów moralnych.

- Będę się streszczał panie Stanford... profesorze Stanford – zaczął Smith. – Obaj jesteśmy ludźmi ceniącymi swój czas i nie mam zamiaru trawić go na czcze gadanie. Otóż, profesorze, zapewne zauważył pan, że świat zmienia się w oszałamiającym tempie. Pan, w swoich laboratoriach, zapewne podąża w przyszłość własnym rytmem. Nie wierzę, że nie ściga się pan z innymi jajogłowymi w wyścigu o sławę i pieniądze, że nie chce pan być pierwszy. Ale być może jest pan po prostu najlepszy i nie musi się nieustannie napinać, bo sukces przychodzi do pana sam. Ja jestem w innej sytuacji. Ja na komfort oczekiwania, co los przyniesie nie mogę sobie pozwolić. Muszę być w awangardzie, muszę nie tylko nadążać, ale wyprzedzać epokę, bo inaczej zjedzą mnie młodszy, bardziej dynamiczni, bardziej przewidujący. Kapitalizm dostaje zadyszki, panie profesorze. A dlaczego? Bo masy, ta hołota, która przez wieki tresowana była, by robić i nie dyskutować, zaczyna mieć coraz większe aspiracje, zgłasza coraz większe żądania.

Smith zamyślił się, ale po krótkiej przerwie kontynuował.

- Wie pan, że wspierałem kościół chrześcijański? Jak pan myśli, panie profesorze, dlaczego?

- Bo jest pan gnidą – odparł spokojnie i z przekonaniem Stanford.

Smith zaśmiał się.

- Ma pan rację, Stanford. Pana inteligencja nie jest przereklamowana, ale niech pan uważa, bo nie lubię nadmiaru bezczelności. Nie wierzę w Boga, podobnie, jak pan... – Smith zawiesił głos, jakby oczekiwał ze strony Stanforda potwierdzenia, ale ponieważ naukowiec nie zareagował, mówił dalej.

- Prędzej mógłbym uwierzyć w Szatana. Ale szczerze mówiąc wszelkie te religijne mrzonki, to kit dla naiwnych. Łożyłem szmal na kościół, a musi pan wiedzieć, że oni brali ile weszło. Katolicy, protestanci, wszyscy. Ich nie interesuje kto daje i dlaczego. Byle napchać kabzę. A nawet, jak im się donator nie podoba, to i tak mają idealne alibi, by brać. Boski plan! I biorą. Od samego diabła by wzięli kasę. Sponsorowałem kościół, bo to była przez wieki idealna machina do trzymania motłochu w ryzach. Pracujcie ciężko dla dobra swojego i swoich bliźnich i nie pytajcie o nagrodę. Nagroda czeka na was po śmierci. To była woda na młyn dla takich, jak ja. Takich, którzy potrafili wykorzystać religijną propagandę, jednocześnie samemu jej nie ulegając. Ale wiara jest coraz słabsza. Biblia, w konfrontacji z nowoczesnym

światem zaczyna coraz bardziej przypominać niezbyt wyrafinowane bajania. Księża wobec współczesnej nauki, wobec możliwości, jakie daje rozwój technologii, stają się coraz bardziej bezradni. Świat się gwałtownie laicyzuje i to wcale nie przez socjalistów, tylko głównie przez takich, jak pan. Motłoch przestał wierzyć, że nagroda przyjdzie później. Chcą jej natychmiast. To ma swoje dobre strony, bo wiara w Boga została zastąpiona przekonaniem: mam, więc jestem. Chcę pracować, bo chcę zarabiać. Chcę zarabiać, bo chcę mieć. Chcę mieć coraz więcej, więc chcę coraz więcej zarabiać. Takim człowiekiem jest bardzo łatwo sterować. Problem polega na tym, że raz popuszczonych cugli konsumpcyjnego rozpasanie nie da się skrócić, bo masy to jednak siła, z którą trzeba się liczyć. W efekcie w cywilizowanym świecie płace zaczęły lawinowo rosnać. Ratunkiem miała być globalizacja...

- Ale nie jest – Stanford nie mógł się powstrzymać, by nie wtrącić tych sów ze złośliwą satysfakcją.

- Nikt nie przewidział, jak szybko rynek zacznie się wygładzać, jak szybko złączą zanikać różnice. Teraz nawet Chinole nie chcą pracować za dolara dziennie. Każdy chce, jak to oni mówią: „godziwej zapłaty”. Za chwilę nikomu nie wystarczy samo wynagrodzenie za pracę, nawet, jak będzie „godziwe”, ale hołota zażąda socjału, gwarancji emerytalnych, ubezpieczeń zdrowotnych, lepszych warunków pracy, odszkodowań z tytułu szkodliwości, ograniczenia czasu pracy... Ameryka Północna i Europa, Azja już praktycznie też, przekroczyły pewien próg, jakby to powiedzieć... „świadomości klasowej” – mówiąc to usta Smitha wykrzywiły się w jakimś upiornym niby uśmiechu. – Pozostał oczywiście żelazny trzeci świat, a więc Ameryka Południowa i Afryka, ale praktyka dowodzi, że rezerwy tam zawarte są znikome. Czarni lenistwo mają w genach i do roboty trzeba by ich zaganiać batem. Kiedyś, w dobrych czasach, na tym fundamencie, czyli czarnuch plus bat, zbudowano potęgę Stanów Zjednoczonych, ale ci zasrani demokraci wszystko zepsuli. Przepraszam, uniosłem się, ale psucie rynku pracy zawsze wywołuje we mnie niezbyt żywe emocje... Wracając do meritum – kolorowych nie da się motywować tak, jak białych. To widać w Stanach. Czarnuchy nadają się tylko do gry w basket, boksu, rapowania i detalicznej przestępczości. I to pod warunkiem, że zarobią bez wysiłku miliony baksów. A jak nie, wolą gnić w slumsach i żebrać o jałmużnę od państwa. W Afryce żaden przemysł oparty na czarnych robotnikach nie ma szans, chyba, żeby ich pozamykać w obozach pracy. Ale tego się już niestety nie da zrobić....

- Czarnuchy nie są jeszcze najgorsze, bo można ich przymusić do posłuszeństwa. Indian trzeba było wytłuc – zauważył z krzywym uśmiechem Stanford.

- No właśnie – ucieszył się Smith, który nie dostrzegł ironii w słowach naukowca. – Chyba będziemy mieli mniejsze problemy, by się porozumieć, niż myślałem. To wierzy pan w Boga, czy nie? – zmienił nagle wątek Smith.

Stanfor milczał.

- No niechże pan da spokój, profesorze! Niech się pan ze mną nie droczy, niech pan powie – Smith nalegał zupełnie, jak małe dziecko. – Nie wierzy pan?! To niemożliwe, żeby człowiek pana formatu, był takim idiotą, by wierzyć w te brednie?! – ostatnie słowa Smith niemal wykrzyczał.

Stanford nadal milczał, patrząc beznamiętnie na oligarchę, który najwyraźniej zaczynał tracić nad sobą panowanie.

- Mój dziad i ojciec mieli krew na rękach, ale dzięki temu, ja mam władzę! – ryczał Smith. – A i sam nie próżnuję! Nie dorównuję może Stalinowi i Hitlerowi, ale też mam osiągnięcia w niszczeniu ludzi! I gdzie jest Bóg?! Może w pana badaniach?!

Smith gwałtownie oklapł, opadł na oparcie fotela i zamilkł. Nie patrzył na Stanforda.

- Znam wielu naukowców, którzy nie znajdują innego wytłumaczenia dla swoich odkryć, niż interwencja istoty wyższej – odezwał się Stanford. – A pana wywody są funta kłaków nie warte. Chrześcijaństwo... no cóż, są po prostu takie gnidy, jak pan, które potrafią przerobić na sieczkę nawet najszczytniejsze ideały. Nie oznacza to jednak, że zło tkwi w samym systemie wiary. Być może zło ma więcej możliwości i większą łatwość spełnienia...

- Dość tego pierdzielenia, profesorku – w Smitha powróciła energia, ale maska kultury i erudycji zniknęła bezpowrotnie. – Mam dla ciebie propozycję nie do odrzucenia. Potrzebuję taniej siły roboczej. I ty mi jej dostarczysz!

- Niby jak? – zdziwił się Stanford, chociaż zaczął powoli pojmować do czego zmierzał Smith od początku rozmowy.

- Jesteś najlepszym genetykiem na tej planecie, Stanford. Z twoim talentem i z moimi wpływami i budżetem możemy dokonać cudu! Stworzysz dla mnie podczłowieka. Istotę silną, wystarczająco inteligentną, by podołać prostym pracom fizycznym i bezwzględnie posłuszną.

- Pan jest chamem, panie Smith, i bydlakiem, ale jest pan mimo wszystko obdarzony czymś na kształt rozumu. Musi pan wiedzieć, że tego nie zrobię.

- Bo jest to technicznie niewykonalne? Jak zauważyłeś, robaku, mam coś na kształt rozumu, czytam, śledzę nowinki, zatrudniam armię jajogłowych, których jedynym zadaniem jest być na bieżąco. Więc nie wciskaj mi kitu, cwaniaczku!

- Technicznie... być może jest to do zrobienia... Przy wielkim nakładzie środków na eksperymenty... dysponując najnowocześniejszym sprzętem... - Stanford uległ na chwilę naturze rasowego naukowca.

Taki problem! Stworzenie nowego gatunku! Ileż zagadek trzeba, by rozwiązać, ileż badań wykonać! A ile pobocznych odkryć mogłoby wynikać z takiej pracy? Myśli Stanforda galopowały przez chwilę, ale trwało to zaledwie kilka sekund.

- Smith, pan jest obłąkany, jeżeli choćby przez chwilę mógł pan przypuścić, że zrobię dla pana coś równie potwornego. Technicznie być może jest to do rozwiązania, ale jest jeszcze etyka!

- Etyka?! – zaryczał Smith. – Ty oderwany od rzeczywistości rżnięty w kakao kutafonie! Wiesz gdzie mam twoją etykę?!

- Może pan mnie lżyć ile chce, ale to niczego nie zmieni. Nie dam się zastraszyć!

- Stanford, kretynie! Ty dalej nic nie rozumiesz. Nie rozumiesz, że zrobisz dla mnie, co tylko zechcę...

Smith oderwał na chwilę wzrok od naukowca, a jego ręce powędrowały do klawiatury komputera.

- Wiem doskonale, że nie ma pan hamulców, a człowiek jest dla pana jedynie przedmiotem, który trzeba jak najlepiej wykorzystać – zaczął Stanford – ale co mi pan może zrobić? Będzie mnie pan torturował?

Stanford chciał mówić dalej, ale Smith mu przerwał.

- Nie ciebie, szaraku, nie ciebie.

Stanford poczuł, że dostaje na całym ciele gęziej skórki, a przed oczami zaczęły mu latać czarne plamy.

- Coś ty powiedział? – wychrypiął.

- O, profesorku już się domyśla – kpiąco zauważył Smith. – Tak, Stanford, ty bucu, mam twoją córeczkę. Niezła suka, nawiasem mówiąc.

Mówiąc to Smith uśmiechnął się obleśnie.

- Ty bydlaku! Zabiję cię! - Stanford zacisnął pięści i zrobił krok w stronę oligarchy.

- Spokojnie, profesorku! – głos Smitha nie znosił sprzeciwu. – Chyba nie zapomniałeś ani z kim masz do czynienia, ani gdzie jesteś. Za drzwiami są moi ludzie. A nawet, jakby ci się udało mnie zabić – zakpił Smith, sięgając do szuflady po rewolwer – to moi ludzie dostali odpowiednie dyspozycje w kwestii traktowania twojego szczenięcia. Nic mi nie zrobisz, Stanford.

- Nie zmusisz mnie do tego... - odezwał się naukowiec, ale jego głos stracił poprzednią pewność.

- Ależ oczywiście, że zmuszę, tatuśku. Będziesz tak tańczył, jak ci zagram.

Smith obrócił w jego stronę monitor komputera. Widać było na nim sadomasochistyczną scenę filmową katowania młodej dziewczyny przez kilku zwyrodnialców.

- To nie jest mój ulubiony biznes – powiedział Smith – ale sam wiesz, forsa nie śmierdzi. Pornole to wciąż kopalnia grubego szmalu. Domyślasz się zapewne, że znam najlepszych fachowców. Wiesz co to jest mord z lubieżności? Ci faceci czasami tak się zaangażują w dzieło, że nie mogą wyhamować. Ta laska miała dużo szczęścia, bo przeżyła. Zresztą co to za szczęście, żyć bez ucha, bez oka...

- Dość – cicho powiedział Stanford.

- Chcesz, żeby twoja, na pewno ukochana córeczka, skończyła podobnie, albo i gorzej?

- Dość! – wrzasnął Stanford i dodał ciszej: - Zrobię co zechcesz.

I

Siedziałem na tarasie drewnianej chaty, w tropikalnym przedpieklu tego zielonego, ociekającego sokami życia i śmierci, opętanego organizmu, jakim jest dżungla, i piłem. Nie powinienem był, a jednak piłem.

Nie dalej niż miesiąc temu miałem zupełnie kosmiczny napad bólu. W całym swoim wszawym życiu prywatnego łapsa musiałem zaliczyć na wątrobę z jakiś tysiąc morderczych ciosów, ale żaden nie dopiekł mi tak bardzo, jak to draństwo. Ponad godzinę zwijałem się w swoim domu na podłodze, zlany zimnym potem i gdy wreszcie z niebiańską ulgą myślałem, że już po wszystkim, ból zdradziecko zaatakował ponownie. Nie było rady. Nie lubię robić z siebie baby i latać z byle czym po lekarzach, ale tym razem złamałem się i poszedłem. Nawet było fajnie, bo przyjęła mnie doskonale zbudowana pielęgniara. Było lato, gorąco, jak cholera, więc babka była tylko w tym swoim białym fartuszku i wydawało się, że guziki strzelą zaraz pod naporem fenomenalnych balonów. Materiał był tak napięty, że rozchodził się w miejscach pomiędzy tymi cudem trzymającymi się guzikami, odsłaniając nagie, opalone ciało. W trakcie przyjmowania zgłoszenia wstała, podeszła do szafki, która stała jakieś dwa metry za nią i schyliła się do dolnej półki. Widok był taki, że zapomniałem nawet na chwilę o mdlącym rwaniu w lewym boku. Zawsze byłem wrażliwy na urodę damskich nóg, a ona miała doskonałe, nie za chude, z mięśniami grającymi pod gładką skórą, z pęcina, jak u

wścigowego konia. W skłonie fartuszek podjechał tak wysoko, że najwyżej kilka centymetrów brakowało, bym mógł zobaczyć, czy nosi dolną część bielizny. Bo że stanika nie nosiła rzucało się w oczy od razu. Zupełnie machinalnie ugiąłem lekko nogi w kolanach, przechylając jednocześnie głowę w bok, by zyskać lepszą perspektywę i wyjaśnić tę jakże podniecającą tajemnicę. Ale wtedy pielęgniara wyprostowała się i gwałtownie obróciła w moją stronę. Popatrzyła na mnie tak jakoś, że poczułem się jak Jaś z podstawówki, który został przyłapany na tym, że specjalnie upuszcza długopisy na ziemię, by zobaczyć, co pani od polskiego ma pod spódnicą. (Ciekawe, czy zwróciliście uwagę, że najlepsze laski w szkołach to belferki od języków? Ale w końcu od czego miałyby być? Przecież nie od matematyki...) Zrobiło mi się więc głupio, a lokalna seksbomba, z lekko kpiącym uśmiechem na twarzy, rzuciła coś w rodzaju: „o, widzę, że już panu lepiej” i zabrała się w najlepsze do wypełniania kartoteki. Dałbym sobie rękę uciąć, że cała scenka z grzebaniem w szafce i malowniczym wypinaniem jędrnego tyłka nie służyła niczemu innemu, jak tylko wprawieniu mojej gospodarki hormonalnej w chwilowy rozstrój. Jak skończyła swoją robotę, kazała mi sięść i czekać, a tym samym skończyły się widoki. I diabelskie napieprzanie w boku wróciło ze zdwojoną siłą. Gdyby nie męska ambicja pewnie bym jęczał, wił się i błagał o litość. „W zaistniałej sytuacji”, jak powiedzieliby komentatorzy sportowi, trwałem z godnością, starając się zachować niewzruszony wyraz twarzy. Udawało mi się to chyba nawet całkiem dobrze, a męki, jakie w rzeczywistości przeżywałem mogły zdradzić zaciśnięte szczęki i krople potu spływające po twarzy, które w dołkach nadobojezykowych zbierały się w małe jeziora, by następnie sączyć się dalej. Wolałem nie myśleć, jak musi wyglądać moja koszula. Siedziałem zatem sobie w poczekalni, pocąc się obficie i klnąc w duchu ból, który pracowicie, z namolnym, tępym uporem rozrywał mi ciało. I gdy nabrałem w końcu przekonania, że jeżeli nawet nie dam się szarpiącym mnie zębom, to zejść z odwodnienia, zostałem wezwany przed oblicze samego ordynatora. Wchodząc do gabinetu byłem u kresu sił, a koleś, który miał mnie naprawić nawet w jednym procencie nie przypominał swojej pornograficznie obdarzonej podwładnej. Wręcz przeciwnie - jego gęba byłaby bardziej na miejscu w wiejskim weterynariacie, a w dodatku, Shrek jeden, powinien był pójść za radą osła i zainwestować w tik-taki. Nie dziwcie się więc, że gdy poprosił siadać, zamiast skorzystać z propozycji zwałem się z jękiem na stojącą pod ścianą kozetkę. Klient był z tych niesamowitych fachmanów, co to od razu wszystko wiedzą, a w dodatku szczerzy aż do bólu i bez ogródek oznajmił mi na samym wstępie, że chlam za dużo. Geniusz posrany! Wiedział, bo pewnie sam lał w palącą rurę ile wlało. Ale przyznać muszę, że spekol był z niego autentyczny, z naukowym zacięciem, etyką zawodową, nieodrodne pokłosie nauk Hipokratesa, taki zimny

drań z powołaniem. Szlag by go! I nawet kasy nie chciał. Zrobił mi chyba wszystkie badania, jakie podręczniki przewidują, a podejrzewam, że jeszcze kilka dodał od siebie, w ramach inwencji twórczej i zawodowych ambicji. Całe to nowoczesne szamaństwo trwało jakiś tydzień. W zaufaniu mój niechciany guru od zbolalego organizmu oznajmił mi, że wszystko trwałoby normalnie jakies pół roku, ale dla mnie się wszyscy specjalnie sprężyli. Mrugnął, klepnął mnie w ramię, czego szczerze nie cierpię, i podetkał pod nos, z prośbą o autografy, stos gazet z moją fotą, na której wyglądałem jak rasowy debil. „Aaaaa, o to chodzi”, pomyślałem. Od razu przypomniałem sobie całą sprawę. Niewiele ponad rok temu rozpracowywałem międzynarodową aferę tyczącą handlu organami. Zamieszani w nią mieli być także polscy lekarze. Tak przynajmniej donosiły media, powołując się na przecieki z Interpolu. Mnie jednak udało się dociec sedna sprawy. Dzięki zebranych przeze mnie dowodom afera ukazała się w zupełnie nowym świetle, a jedyna polska lekarka zamieszana w brudne interesy w rzeczywistości była ofiarą machinacji bezwzględnego gangu. Zdjęcie zrobił mi zniecka jakiś sobaczy paparazzi w momencie, gdy podążałem z wyratowaną dopiero co doktorzycą na lotnisko. Stąd komiksowy wyraz mojej fizjonomii. Najwyraźniej dzięki tej robocie stałem się w polskim środowisku medycznym kimś w rodzaju bohatera, samotnego szeryfa i pierwszego sprawiedliwego, albo kimś w tym guście. Albo po prostu im się fotka podobała, bo w rzeczy samej wyglądałem na niej jak przypadek kliniczny. Cholera wie. W każdym razie byłem sławny i ordynator Shrek, wraz ze switą, chciał mieć egzemplarz gazety z moim zdjęciem i własnoręcznym podpisem. Dlatego zabiegi zrobili z kopyta. I pewnie dlatego nie chcieli kasy, łapiduchy w ząbek czesane. Zresztą nieważne. W każdym razie ordynator, dzielnie wspierany przez personel (niestety atomowo wyposażonej pielęgniary już więcej nie spotkałem, co szczerze mnie zmartwiło) uwinęli się ze mną ekspresowo i z pełnym, rzekłbym nawet, że ponadnormatywnym zaangażowaniem. Po tygodniu nakłuwania, prześwietlania, pobierania próbek, badań z udziałem najnowszych zdobyczy techniki i klasycznych narzędzi diagnostycznych, gdy wszystkie przekłete gazety (ciekawe skąd oni je wytrzasnęli?!) były podpisane, ordynator wziął mnie jowialnie pod ramię i powiedział mi dokładnie to samo co na wstępie pierwszej wizyty, to znaczy, że chlam za dużo. Dodał też, że moja wątroba jest na wykończeniu i jeżeli nie poskromię pragnienia, to długo nie pociągnę. Powiedział też, że przeszczep jest nieunikniony i zapytał, czy wciągnąć mnie na listę. Powiedziałem, że się zastanowię. Przy moim ruchliwym stylu życia wstrzelenie się w cudze podroby było raczej mało prawdopodobne, ale postanowiłem, że przynajmniej wezmę rozbrat z gorzałą. Nie żeby mi jakoś szczególnie na życiu zależało, ale z drugiej strony...

Od tamtego dnia, aż do dzisiaj, nie wziąłem do ust ani kropli alkoholu. Ale dzisiaj musiałem się napić. Byłem pewien, że wdepnąłem w miękkie po same uszy. Czułem wszystkie swoje stare blizny, wiekowe zrosty połamanych kości. Czułem, że znowu pogrążam się w bagnie nikczemności. Czułem smród gnijącego mięsa. Czułem strach. Nie, nie swój. Nie pamiętam już, kiedy ostatni raz się bałem. Czułem strach żywych stworzeń, ludzi i zwierząt. I wściekłość. Wściekłość była moja, ale nie tylko. W tym dzikim zakątku działo się coś niedobrego. W dżungli czaiła się istota, której żądza mordy była nienasycona. Wiedziałem o tym. Nie wiedziałem tylko, czy zostały wyzwolone jakieś pierwotne, potężne i niszczycielskie siły, czy wśród zbitego gąszczu roślinności rozszalał się niehumaniczny żywioł niepojętego, polował niesyty nigdy krwi demon, czy też dotarła w to miejsce... cywilizacja. Przed dwiema godzinami wróciłem z miejsca kaźni, jakiego nie widziałem jeszcze nigdy w życiu. Nigdy w życiu też nie dotarło do mnie tak dobitnie, jak nietrwałym, wilgotnym, słabym i cielesnym, nie, nie cielesnym, mięsnym tworem jest człowiek. Przed dwiema godzinami wróciłem z jatki, w której rolę bydła i trzody odegrali ludzie. Dlatego piłem. Skasowałem już dwie półlitrowki i nie miałem zamiaru przestać.

II

Nie miałem nic do roboty. Na szczęście. Wprawdzie nie lubiłem beczynności, ale od czasu do czasu można chyba trochę poleniuchować, no nie? Po spotkaniu z doktorem Shrekiem i jego trollami byłem w nieco refleksyjnym nastroju. Siedziałem ze szklaneczką, w której smętnie stygła herbatka owocowa. Dopilem resztek z kubka, wstałem z fotela i udałem się do kuchni z zamiarem, by sobie zrobić następną herbatkę, bo od kiedy odstawiłem gorzałę suszyło mnie cały czas niemiłosiernie, gdy zadzwonił dzwonek u drzwi.

- Ki diabeł? – pomyślałem, zmieniając kierunek swojego człapania.

W drzwiach stał listonosz, młody koleś, z lekka błędnym wzrokiem. W ręce trzymał telegram. Na kimś nieobytym facet mógł po prostu robić wrażenie zmęczonego, może niewyspanego, ale ja byłem ekspertem. Koleś był bez dwóch zdań delikatnie naspawany. Zdawało mi się nawet, że widzę pod jego nosem resztki narkotyku, który wciągnął, ale światło było blade, więc mogłem się mylić. Nie zdziwiłem się nawet, bo żeby dymać dzień w dzień z trzydziestokilogramową torbą korespondencji za dwa tysiące, trzeba było być albo pasjonatem, albo się naspawać właśnie.

- Szefie... eeee... mam dla szefa ten... no... ten... tele... tele...

- Gram – odpowiedziałem mu, bo strasznie się męczył.

- Po ile? – zainteresował się błyskawicznie.

- Synku, nie po ile, tylko telegram.

- Ja?! – zdziwił się. – Ja tam nie gram. Kiedyś tak. W jakieś audio... tele, trele morele, zagrałem, ale raz, bo się okazało, że to telesramtatam było - zachichotał.

Miałem nadzieję, że nie dają mu do doręczania emerytur dla staruszków.

- Telegram – masz – dla mnie – powiedziałem jak najwyraźniej potrafiłem, dobitnie oddzielając słowa. – Taki papierek, rozumiesz, z tekstem. Ty mi go dasz, ja ci pokwituję, znaczy się złożę autograf na bumadze i będzie fertig, kapiszcze?

Najwyraźniej mu ostrzej zaiskrzyło na synapsach, bo jakby trochę przejrzał.

- A, jasne. Od razu tak trzeba było... Gdzie ja to... - zaczął grzebac w torbie.

- Synu – ścisnąłem go lekko za ramię – nie szukaj. Dzierżysz zgubę w garści.

Listonosz podniósł dłoń z telegramem do oczu.

- O w dupę! – zawołał. – Skąd się to tutaj wzięło?! Chyba samo wypęzło!!

Cisnął telegram ze wstrętem i pognął schodami w dół.

- Kolo! – zawołałem za nim. – A pokwitowanie?

- Kolo-srolo – usłyszałem jego głos. – Nie dam się nabrać! Musisz się sam z tym zmierzyć, bo ja spierdalam!

Było mi go trochę żal, bo pewnie jakiś bubek w garniturku zmyje mu głowę za to pokwitowanie.

- Z drugiej strony – pomyślałem, podnosząc telegram – facet sobie radzi ze stresem, jak potrafi. Najwyżej wciągnie o jeden raz więcej. Nie zaszkodzi mu.

Przeczytałem tekst, no i się okazało, że naspawany doręczyciel miał rację, Wernyhora kręcony – najwyraźniej czekało na mnie zadanie, z którym musiałem sobie poradzić sam!

III

PRZYJEZDZAJ JAK TYLKO BEDZIESZ MOGL STOP DZIEJE SIE COS DZIWNEGO STOP SARA STOP

Sara Metcalf – pomyślałem z niejakimi rozmarzeniem. – Fajna laska...

Od razu przypomniałem sobie chwile spędzone z nią na Borneo, bo też trudno byłoby sobie nie przypomnieć. To ciało rozpalone słońcem, jej piersi, jak dojrzałe... No, dobra. Jak liczyacie na pikantne szczegóły, to się przeliczycie. Sarę poznałem jakieś sześć, może siedem lat temu. Blisko pół roku uganiałem się po obu Amerykach za pewnym mafijnym bonzem. Generalnie nie biorę zleceń od agencji rządowych, ale wtedy zrobiłem wyjątek, bo chodziło o

wyjątkowego bydlaka, przy którym Hannibal Lecter prezentowałby się niemalże anielsko. Rządowi jednak, jak to rządowi, nigdy nie mają szczerych intencji. W całej perfidnej i brudnej grze połapałem się dość późno. W efekcie znalazłem się między mafijnym młotem, a kowadłem służb specjalnych. Zanim w końcu udało mi się skrócić życiorys Juana Marii Ramireza, jak się okazało wbrew autentycznym intencjom rządowych, zebrałem srogie baty. Borneo wydało mi się na tyle spokojnym i sympatycznym miejscem, by właśnie tę wyspę wybrać na miejsce lizania ran. Jednakże zaraz po przybyciu wplątałem się w zadymę, w której po jednej stronie stała młoda, kształtna i jędrna dziewczyna, a po drugiej zgraja prymitywnych rzeźmiechów, kłusujących na gibbony.

Czy wiecie, jak delikatną dłoń ma gibbon? Skąd niby mielibyście wiedzieć, więc wam powiem tylko tyle, że jej dotyku nie da się porównać z niczym innym, a ludzka dłoń w porównaniu z nią sprawia wrażenie grubiańskiej. Nawet dłonie dziewcząt nie są tak miękkie, delikatne i jedwabiste gładkie. Dziewczyny mają jednak kilka innych sympatycznych elementów anatomii oprócz sympatycznych łapek. A elementy tego konkretnego egzemplarza, o którym opowiadam, były rzeźbione w iście genialny sposób.

Ową młodą dziewczyną, a do tego, jak już wspomniałem, kształtną i jędrną, była Sara Metcalf, antropolog i kulturoznawca, bardzo zaangażowana w ruchy obrony przyrody. Wprawdzie za zielonymi nie przepadam, bo jak trafnie stwierdził pewien jegomość, występujący zazwyczaj pod muchą, choć wcale nie pod dobrą datą, „zielony to niedojrzały czerwony”, to jednak, od pierwszego wejrzenia, przez wzgląd na jak najbardziej przyrodnicze walory Sary, byłem gotów dać się obić po raz kolejny. Co też się dokonało, ku bezsilnej wściekłości bandytów, a z pożytkiem dla gibbonów i dla mnie, a także, dodam nieskromnie, że i dla Sary, która dzięki krótkiej, ale za to intensywnej znajomości ze mną z urodziwego, acz skromnego dziewczęcia przeobraziła się w fascynujący okaz kobiecości. Z Sarą spędziłem cudowny miesiąc. Ponieważ gibbony były chwilowo uratowane, Sara całą pasję poświęcania się dla dobra, mogła przelać na mnie. Przyznam, iż zajmowała się mną z takim oddaniem, że gdyby spotkało mnie coś tak intensywnie elektryzującego w tej chwili, zapewne bym nie przetrzymał. Jednakże te kilka lat temu byłem jeszcze w na tyle dobrej formie, by, aczkolwiek z niejakim trudem, przetrwać tę niekończącą się erupcję rozkoszy. Pod koniec owego ekstatycznego miesiąca oboje doszliśmy do wniosku, że tak dłużej żyć się nie da i że jeżeli nadal będziemy pozostawać razem i z równie wspaniałymi efektami zajmować się wyłącznie sobą, to skończymy dokładnie tak samo, jak szczury w eksperymencie Oldsa i Milnera!

Przez pewien czas wymienialiśmy między sobą korespondencję, ale wspomnienia chwil spędzonych wspólnie na Borneo były na tyle absorbujące, że i z tej formy kontaktu zrezygnowaliśmy.

A teraz trzymałem w dłoni telegram od kobiety, która rozpalala mnie, jak żadna wcześniej, ani żadna później i najwyraźniej wzywała pomocy.

&&&

Wraz z telegramem wróciły wspomnienia. Byłem pewien, że jeżeli nie uda mi się zapanować nad tym fatalnym zauroczeniem, to mi w globusie pęknie żyłka i skończę jako roślina w jakimś przytułku.

Telegram nie wskazywał, by działo się coś wymagającego mojej natychmiastowej reakcji. W dodatku Sara, po krótkim czasie od naszego rozstania, udała się do centralnej części Afryki i tam się zasiedziała, poświęcając się całkowicie badaniom i ochronie goryli górskich. A Afryka była tym miejscem, które niezmiennie mnie fascynowało. Zarówno ludzie, jak i przyroda były jakby nie z tego świata. Nawet zegarek tykał tam w innym rytmie.

Postanowiłem, że udam się do Egiptu, wypożyczę jeepa i na dobry początek zrobię sobie samotny rajd przez Saharę. Potem miałem zamiar zboczyć w stronę Pustyni Nubijskiej i przez Erytreę udać się do Etiopii, by z wierzchołków gór Wyżyny Abisyńskiej nabrać nieco perspektywy. Marszruta przewidywała w dalszej kolejności rajd przez sawanny Kenii – tutaj miałem zamiar zabawić kilka dni, spotkać się z moim starym przyjacielem Ugwanu Kebangą, w nadziei, że narai mi jakiegoś szamana, który, być może, zaradzi coś na moją zdychającą wątrobę. Na końcu planowałem przeprować się przez Jezioro Wiktorii, by następnie jednym skokiem znaleźć się nad brzegami Jeziora Kiwu i bazaltowych gór Konga. Tam, zagubiona gdzieś w dżungli czekała na mnie Sara i jej kłopoty. Taki był plan, ale jak większość planów obrócił się w g... rozsypał się, jak domek z kart...

&&&

Była piąta po południu, więc nie zwlekając zasiadłem do komputera, by sprawdzić połączenia lotnicze z Kairem. Razem z bukowaniem biletów zajęło mi to niemal godzinę. Odlot miałem jutro wieczorem, a zatem pozostał mi kawał wolnego czasu, który najchętniej spędziłbym w samotności. Niestety nie było mi to dane, bo jakkolwiek w sensie czysto fizycznym byłem sam, to emocjonalnie wciąż towarzyszyła mi Sara... Staralem się jakoś

zabić czas lekturą, ale tak ciało, jak i umysł zbaczały wciąż na jeden tor i co rusz traciłem koncentrację, a tym samym wątek. Około siódmej dałem za wygraną, odłożyłem na półkę „Efekty relatywistyczne dla amatorów” Saszy Starikowa i zabrałem się za czyszczenie półautomatycznego karabinka. Ponieważ i to zajęcie nie tylko nie przyniosło ukojenia, ale nawet wzmogło, wywołane pożądlivością, lecz w tej chwili zdecydowanie niepożądane efekty (pewnie przez to pocieranie, tam i z powrotem, tam i z powrotem, wcieranie, zagłębianie, oliwienie, smarowanie posuwistymi ruchami), zabrałem się za intensywne obrabianie zestawu perkusyjnego. Lubiłem sobie pograć od czasu do czasu i byłem w tym nawet niezły. Czasami nawet zbierałem na odwagę i podłączałem się do jakiegoś jam sessions. Możecie wierzyć lub nie, ale nigdy nie zostałem przez zawodowców wywalony ze sceny! Generalnie jednak cykałem sobie bez publiki, w domciu, w ramach sympatycznego relaksu. Chwila była wyjątkowa, więc zabrałem się ostro do pracy. Starłem się na drodze praktycznej dowieść wyższości Maxa Roacha nad Buddym Richem, co miało równie głęboki sens, jak dowodzenie wyższości Świąt Bożego Narodzenia nad Świątami Wielkiejnocy. Myliłem się co kawałek i do nieposkromionej gorączki namiętności dołączyła frustracja wywołana moją muzyczną nieudolnością. Przerzuciłem się na jazz-rocka w stylu Billy’ego Cobhama, a następnie posterowałem z dość marnym skutkiem w stronę punk jazzu spod znaku Ronalda Shannona Jacksona. Grałem beznadziejnie słabo, albowiem cała ta muzyka wciąż wymagała bezwzględności i pełnego skupienia, a ja byłem rozkojarzony, jak nastolatek przed pierwszą randką. Zabrałem się więc za siłowe granie na cztery, czerpiąc chwilowo natchnienie z drummerów kapel metalowych, jak było do przewidzenia bez wyraźnych, pozytywnych efektów tonizujących, aż w końcu, bliski załamania pogrzyżłem się w otchłaniach totalnego free, którego niechybnie przeraziłby się i sam mistrz Ed Blackwell. Maksymalne wykorzystanie wszystkich członków nie tylko nie przyniosło ukojenia, ale wywołało żywe reakcje wśród sąsiadów. Musiałem dać sobie siana z perkusją. Zdesperowany sięgnąłem po sprawdzony środek otumaniający. Włączyłem telewizor. Program, zgodnie z moimi przewidywaniami, biznesowymi założeniami szefów stacji komercyjnych i publicznych oraz polityką Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji, stojącej na straży, by odmóżdżanie narodu przebiegało bez zakłóceń, nie tylko nie wymagał najmniejszego choćby wysiłku intelektualnego, ale wywoływał, zbawcze w danym momencie, porażenie woli, inteligencji i wszelkiego głębszego odczuwania. Po kilkudziesięciu minutach bezmyślnego gapienia się w ekran zapadłem w stan psychicznego odrętwienia, rodzaj letargu czy stuporu, który wprawdzie nie niósł odpoczynku, ale pozwolił oderwać się mojemu umysłowi od seksualnych natręctw.

Tak minęła mi noc, więc nie trudno się domyśleć, że następnego dnia czułem się jak lekarz starzysta po ciężkim dyżurze, który w dodatku przypomniał sobie, jakie cyfry zobaczy na pasku z wypłatą.

Umyłem się, przetrząciłem co nieco i zabrałem się do ćwiczeń. Katowałem się przez ładnych kilka godzin, aż do obiadu, a następnie wziąłem się za przygotowania do wyjazdu.

Pakowanie nie zajęło mi zbyt wiele czasu, bo, jak mało kto, potrafię się obywać bez nadmiaru rzeczy. Cały mój cywilny ekwipunek, to były zaledwie po dwie bawełniane koszule z krótkim i długim rękawem, wszystkie z kieszeniami, dżinsy, ze standardową ilością kieszeni, dwie pary długich spodni, jedno białe, z grubego płótna, z sześcioma kieszeniami, drugie cienkie, w wojskowym kroju, wykonane z dobrej gatunkowo, wytrzymałej bawełny, z dużą ilością kieszeni, jedna para spodni krótkich, cała w kieszeniach, płócienna, myśliwska kamizelka z masą kieszeni, kieszonek i kieszoneczek, skarpety, bielizna osobista, para wytrzymałych, dobrze przylegających do stóp sandałów, podkute, wysokie buty typu traper na solidnym, gumowym protektorze, z wszytymi kieszeniami na broń, lekkie buty do wspinaczki, dwie kurtki z lekkiego polaru, idealnie nieprzemakalna, a jednocześnie bezbłędnie oddychająca kurtka z najnowocześniejszego nanomateriału (wszystkie kurtki miały w sr... od cholery kieszeni), mydło, szczoteczka i pasta do zębów, brzytwa. Wsio. Grzywę ściałem jeszcze wczoraj wieczorem, więc o grzebieniu mogłem na kilka tygodni zapomnieć. Była tego niewielka kupka. Za to sprzętu uzbierało się trochę, mimo, że nie planowałem jakiejś większej rozróby. Dwie kusze, mała, naciągana ręcznie i duża, której cięciwę napinało się przy pomocy korbki, proca, wielkokalibrowa, krótkolufowa dubeltówka, strzelba snajperska z laserowym celownikiem, dwa rewolwery, strzały i naboje do wspomnianych kłopotów, kilka granatów hukowych, kilka świec dymnych, gaz łzawiący w sprayu oraz naboje gazowe do Waltera, giętka pałka skórzana z końcówką wypełnioną ołowiem, kilka noży, siekierka, dwudziestometrowy zwój wytrzymałej liny, to było wszystko. Po namyśle dorzuciłem jeszcze kilka zapalników własnej roboty. Z doświadczenia wiedziałem, że plastik dostanę wszędzie, ale z niezawodnymi zapalnikami, szczególnie takimi o szerokim, elastycznym zakresie nastaw zwłoki czasowej, bywały kłopoty. Tyle! Sami widzicie, że nie było tego wiele. Jakbym wiedział, w co się pakuję, pewnie dorzuciłbym jeszcze to i owo o większej sile rażenia. Ale nie wiedziałem. Cały bojowy ekwipunek zmieścił się w dwóch, przed laty wykonanych na zamówienie, prostokątnych, wydłużonych walizach o twardych ściankach. Do odlotu miałem jeszcze kilka godzin, więc napuściłem do wanny zimnej wody i wlałem do niej by się odświeżyć przed pordróżą.

Na trzy godziny przed odlotem zamówiłem taryfę, która podjechała po niespełna dziesięciu minutach. Zapakowałem się do niej wraz ze sprzętem i nim minął kwadrans znalazłem się na lotnisku w Balicach.

W moim przypadku odprawy przebiegały na ogół dość powolnie, ale jednak bez większych zakłóceń. Uzbrojenie, które, z racji wykonywanej profesji, dość często zmuszony byłem ze sobą wozic, budziło zazwyczaj zrozumiałe zainteresowanie celników, czasami nawet wywoływało reakcje nerwowe. Ponieważ jednak na cały sprzęt miałem odpowiednie glejty, z reguły odprawiałem się bez problemów. Tym razem razem było podobnie. Mijało właśnie półtorej godziny od momentu rozpoczęcia odprawy. Obsługa lotniska, strażnicy, ochroniarze i celnicy pieczołowicie i dokładnie sprawdzali każdy rodzaj broni i pozwoleń, które przedstawiałem. W kilku przypadkach konsultowali się z szefostwem, kilkakrotnie telefonowali do instancji jeszcze wyższej, w przypadku zapalników, granatów hukowych i brzytwy był to chyba nawet szczebel ministerialny. W końcu pomyślnie zweryfikowana została legalność skórzanej pałki, która sprawdzana była jako ostatnia. Teraz mogłem spokojnie czekać na odlot.

V

Nie lubię Egiptu, ale coś mnie do niego ciągnie. Zawsze, gdy byłem w Afryce, odwiedzałem Egipt i za każdym razem utwierdzałem się w niechęci do niego, obiecując sobie, że to już ostatni raz. Dlaczego nie lubię Egiptu? Bo jest kłamstwem. Dlaczego wracałem do niego już tyle razy? Najprościej byłoby powiedzieć, że przyciągały mnie tutaj kobiety, te wszystkie tancerczki, apetycznie zaokrąglone, będące zaprzeczeniem ideału kobiecości lansowanego przez perfidnie zidiociałych i zidiociale perfidnych demiurgów popkultury, tych wszystkich pedrylskich projektantów mody, wmawiających kobietom zachodu, że mają stosować dietę, być chude i wysokie, bo to jest jedynie słuszny ideał piękna. Wciskali tę blagę, gdzie się dało, łamali milionom naiwnych pańienek życiorysy, tysiące wpędzali w anoreksję, tylko dlatego, że na tyczkę łatwiej jest uszyć jakiś łach, niż na kobietę o kształtach preferowanych przez naturę. No i taka dzida bardziej przypomina faceta... Tancerczki. Tajemnicze, zaokrąglone gdzie trzeba, o kocich ruchach, pełne wdzięku, gracji. Każda miała w sobie coś z kurtyzany i coś z księżniczki... Szeherezady... To było proste wytłumaczenie, dziecinne, naiwnie infantylne. Kłamliwe.

Tak, kłamstwo jest tym, co Egipt ma do zaoferowania naprawdę. Może dlatego, że jest zbyt biały? Niegdyś wielka cywilizacja, wielka, mityczna siła napędowa światowej kultury sprzed bez mała pięciu tysięcy lat, z czasem coraz bardziej marginalizowana, nie mogąca udźwignąć własnej legendy, zmurszała, rozpadająca się, wielokrotnie zgwałcona, wlecze się w ogonie współczesności. Co zrobiliby faraonowie, gdyby wiedzieli, że ich potęga szejnie, a ich państwo będzie się po upływie tysięcy lat utrzymywać z kanału, wybudowanego przez Angoli pod koniec XIX wieku? A nic by nie zrobili. Albowiem, jeśli chodzi o umiejętność przewidywania, a właściwie jej brak, kasty panujące nie różniły się i nie różnią niczym od motłochu. Najwspanialsze, najbardziej namacalne wspomnienie owej wielkiej cywilizacji, wspomnienie, dzięki któremu Egipt nie został zapomniany przez świat, a więc piramidy, są jednocześnie jednym z największych wyrzutów sumienia całej ludzkości. Przy założeniu oczywiście, że w ich powstaniu nie maczali swoich lepkich paluszków kosmici. Patrząc na piramidy zawsze czuję pot setek tysięcy niewolników zagonionych do katorżniczej pracy, słyszę chrzęst ich ścięgien i kości, świst batów, jęki konających. Jak można podziwiać coś tak bezsensownego, a jednocześnie stworzonego dzięki krwi i życiu niezliczonej, bezimiennej masy ofiar, reprezentantów tego samego gatunku homo sapiens, który owe ofiary zapędzał do samobójczej roboty? Ano można...

Kair jest, jak cały Egipt, kłamstwem podszyty, tyle, że w stopniu o wiele większym. Na zewnątrz polukrowany bogactwem, obsypany cekinami nowoczesności i przepychu, w środku zgniły, pozbawiony idei, nurzający się w nędzy i brudzie. Jest kilkunastomilionowym mrowiskiem, którego luksusowe centrum oblepiają ze wszystkich stron dziadowskie peryferia. Jest przeglądem kultur, wierzeń, idei, historii i współczesności, wątpliwej wolności i przeszłości kolonialnej, skrajnego ubóstwa i światowego establishmentu biznesowego, raczej ponurej rzeczywistości i dekoracji dla turystów, przemieszanych tak dokładnie, że tworzących pod względem cywilizacyjnym, jakiś zupełnie amorficzny, bezpostaciowy twór godzien, nie wiem, czy bardziej współczucia, czy politowania.

W Kairze, chcąc nie chcąc, musiałem załatwić kilka spraw, a potem miałem zamiar wiać, gdzie pieprz rośnie, najszybciej, jak się da.

Samolot wylądował planowo, po około sześciu godzinach lotu. W Kairze był późny wieczór. Skwar dnia zaczynał już rzednąć, ustępując miejsca zbawczemu chładowi, ciągnącemu od pustyni. Złapałem taksówkę i poleciłem kierowcy zawieźć się do sprawdzonego już wcześniej hoteliku „Pod Żłotym Pępkiem”, który znajdował się na pograniczu stref rozpasanego blichtru i niemniej rozpasanej biedy, a więc w miejscu, gdzie facet taki, jak ja, mógł przetrwać. Po dotarciu na miejsce walnąłem walizy w kąt pokoju,

poląłem się zimną wodą i korzystając z nocnych, znośnych temperatur, wyszedłem rozejrzeć się za jakimś pojazdem, nadającym się do przeprawy przez Saharę. Do ścisłego centrum miałem od siebie jakieś dobre trzy i pół kilometra, ale nie zamierzałem drałować aż tak daleko. Wraz ze zbliżaniem się do napchanego złotem i dolarami brzuszyska Kairu, ulice i domy nabierały z każdą chwilą schludności i rozmachu. Po półgodzinnym spacerze znalazłem się chyba w najbardziej przytulnej, rzekłbym, naturalnej w ludzkim sensie, części miasta. Było miło, bo swego piętna nie odciskały tu ani ubóstwo, ani nachalna sztuczność bogatych dzielnic metropolii. Nagle skręciłem i po kilku krokach znalazłem się przed wejściem do lokalu o swojsko brzmiącej nazwie „Alibaba”. Zwabił mnie do niego dźwięk bębnów, zwiastujący, że zaraz rozpocznie się występ. W rzeczy samej, w tym samym momencie, gdy przestąpiłem próg knajpy wypełnionej niemal po brzegi wielobarwnym tłumem, na scenie w głębi pojawiła się tancerka. Wyglądała młodo, ale byłem przekonany, że trzydziestkę pokonała już dawno. Najwyraźniej kult młodości nie dotarł jeszcze w to miejsce i nawet dojrzała kobieta miała w nim szansę. Miała na sobie jedynie przezroczyste szarawary, bogato zdobiony, iskrzący się świecidełkami stanik, który bardziej służył podkreśleniu kształtu dorodnych, wciąż jeszcze jędrnych piersi, niż ich ukryciu oraz chyba tonę biżuterii. Poruszała się zrazu wolno, celebrując każdy ruch uniesionych nad głowę rąk, gładkich nóg, obfitych bioder, pośladków, ale bębny wybijały coraz bardziej ognisty rytm i musiała podążać za nim, z każdą chwilą gwałtowniejsza, bardziej namiętna, jawnie seksualna, jakby podniecona własnym ciałem, wijącymi się ruchami, rozgorączkowanymi spojrzeniami mężczyzn. Nagle jej brzuch zafalował, a przez salę przebiegł dreszcz. Miała to coś, czego Europejki albo wstydziły się, albo nie miały, a co niezmiennie działało na facetów, bez względu na krąg kulturowy, w jakim byli wychowani. Miała tę niezwykłą właściwość rozpalania najdzikszej żądz, tą tajną, magiczną, pierwotną umiejętność, której nie posiadają nigdy striptizerki, oplatające rury w zachodnich barach go-go. Nie musiała się rozbierać, by każdy facet chciał całować ślady jej stóp. W tym momencie żyjący własnym życiem pulchny brzuch był najbardziej erotycznym miejscem na świecie! Tancerka padła nagle na scenę, wykonując jeszcze kilka konwulsyjnych ruchów. Światła na moment zgasły, by po sekundzie rozblysnąć na nowo. Występ skończył się. Ruszyłem w dalszą drogę, pozostawiając za sobą huragan braw, gwizdów i entuzjastycznych okrzyków. Zboczyłem z głównego traktu i zacząłem błądzić wąskimi uliczkami. W bramach, na stopniach schodów, w oknach – zewsząd machały do mnie dziewczyny wykonujące najstarszy zawód świata. Pokusa, by ulec rozpasanej lubieżności była wielka. I gdy już miałem dać się porwać młodej dziewczynie, usłyszałem zbawcze wołanie:

- Dan, stary koniu! To ty? Masz zadanie do wykonania, czy się na śmiesznej robotę wypuściłeś? Ale to przecież do ciebie niepodobne!

Brzmienie głosu, a przede wszystkim częstotliwość wypowiedzianych, a właściwie wystrzeliwanych słów, bezbłędnie zdradziły mi, kto woła.

- Karim, ty niepoprawny zbereźniku! – ucieszyłem się na widok Egipcjanina. – Ciebie szukam i dlatego się szwędam po tej zakazanej dzielnicy.

- No jasne, bo niby gdzie miałbym być, jak nie w burdelu – udał oburzenie Karim, ale zaraz podszedł do mnie i uściskaliśmy się serdecznie.

Panienki, widząc, że nici z interesów, od razu straciły nami zainteresowanie.

- Co cię sprowadza do Kairu? – spytał Karim, biorąc mnie pod ramię.

Skierowaliśmy się w stronę pobliskiej alei palmowej, by w spokoju usiąść i porozmawiać.

- Sara chce się ze mną widzieć – powiedziałem niepewnie.

- Uuuu... - Karim zrobił zdziwioną minę. - Myślałem, że to zamknięty rozdział... ale... pewnie wiesz co robisz.

- Prosi mnie o pomoc. Sam rozumiesz, że nie mogę odmówić.

- Jasne. Aczkolwiek...

Karim był jednym z niewielu ludzi, którzy wiedzieli, co się ze mną działo po rozstaniu z Sarą i z jego głosu oraz spojrzenia jasno przebijała troska o mnie.

- Spokojnie. Wszystko jest pod kontrolą.

- Czy aby na pewno?

- No, niezupełnie, ale panuję nad tym. A jakby co, to mam w zanadrzu Kebangę i jego szamanów - zażartowałem.

- To lepiej od razu wal do tego Kebangi - Karim pokiwał głową ze współczuciem – żebyś się przez nadmiar mięty do Sary w jakiś pasztet nie wpakował. Czy mogę ci jakoś pomóc? – zapytał już normalnym głosem.

- Potrzebuję jeepa – odparłem.

- Da się zrobić. Przyjdź do mnie jutro. A teraz zapraszam na coś mocniejszego. Pogadamy, powspominamy stare czasy.

- Chętnie, tylko, że ja nie piję...

- Uuuu, Dan, chłopie... Obsesja na punkcie Sary... to jeszcze rozumiem, ale ty i abstynencja?!

- Starość – wzruszyłem ramionami. – Czasu nie oszukasz...

Karim skinął głową. Siedzieliśmy na ławce i gadaliśmy, aż zaczęło świtać.

&&&

Karim dotrzymał słowa i po dziesiątej zjawił się pod moim hotelem w nieco podrasowanej Toyocie Pajero. Nie był to może szczyt marzeń, ale auto wyglądało solidnie, a Karim ręczył głową, że się nie zawiodę. Miałem do niego zaufanie, ale nie aż tak bezgraniczne, by ryzykować wyprawę przez pustynię pojazdem, którego bym sam wcześniej nie sprawdził. Utknięcie gdzieś pośród wydmy i rozpalonych piasków Sahary można było łatwo przepłacić życiem. Karima, który najwyraźniej miał ochotę na dalszych ciąg pogawędki, szybko spławiłem obietnicą, że zajrzę do niego obowiązkowo, jak już będzie po wszystkim. Poszedł sobie trochę rozczarowany. Było mi nawet przez moment głupio, że zbyłem przyjaciela, ale zająłem się samochodem i moje myśli dość szybko powędrowały w inne rejony. Pobieźnie obejrzałem wóz z zewnątrz i od spodu, zwracając szczególną uwagę, czy nie ma żadnych wycieków. Podwozie było najwyraźniej przerobione, bo auto unosiło się zdecydowanie wyżej nad asfaltem, niż egzemplarze fabryczne. Zapaliłem silnik i podniosłem maskę. Pracował idealnie, a trzy litry i moc ponad trzystu koni robiły wrażenie. Sprawdziłem poziomy płynów, stan przewodów, przyjrzałem się świecom i kłomom akumulatora. Wszystko było ok. Dochodziło południe i upał stawał się nieznośny, ale mimo to postanowiłem wybrać się na przejażdżkę. Z mojego hoteliku do Gizy miałem rzut beretem i drogą pod piramidy dotarłbym w dwadzieścia minut, ale jazda potrwała dłużej, bo zaraz, jak się tylko dało, porzuciłem asfalt i pogałem niesiony miarowym burczeniem silnika poprzez piaszczyste bezdroża. Piramidy, jak już wspomniałem, nie były dla mnie nazbyt sympatycznym magnesem, ale ze Sfinksem rzecz miała się zupełnie inaczej. Sfinks był dla mnie alegorią Afryki, symbolem naturalnych procesów, w których człowiek mógł zaznaczyć jedynie swój, w gruncie rzeczy, marginalny udział. Byłem w takim wieku i w takim stanie ducha, że monumentalny posąg był mi wyjątkowo bliski. Był przemijaniem, ale też cierpliwym, niespiesznym trwaniem, pogodzonym z nieuchronnością przemian. W Afryce, szczególnie czarnej Afryce, na południe od Sahary, takich żywych sfinksów były miliony. Wystarczyło przyrzec się życiu ludzi, ich powolnej egzystencji, ich niekończącym się wyprawom po wodę, ich oczekiwaniu na autobus, który może przyjedzie za godzinę, może za pięć, a może dopiero jutro, a może za kilka dni. Przyrzec się ludziom, którzy stoją, siedzą, leżą. Trwają. Czekają: na pracę, na deszcz, na nowe życie, na śmierć, na nic. Oni wszyscy byli sfinksami. Godzili się, że są po prostu częścią krajobrazu. Godzili się, że słońce będzie prażyło, że wiatr będzie wiał, że pustynia może ich zabić, że zwierzęta będą co roku

kontynuowały swoje wędrówki, że Nil będzie toczył swe wody. Godzili się, więcej, byli pogodzeni z cyklem życia i śmierci, z bezwzględny prawem przyrody.

Sfinks w Gizie, strzegący grobowców faraonów, uosabiał potęgę, różnorodność, wręcz pomysłowość i fantazję procesów naturalnych, z drugiej – marność, kruchość form. Powstał jeszcze w czasach Starego Państwa Egipskiego, a więc blisko pięć tysięcy lat temu, a właściwie uzyskał swe najświetniejsze oblicze, bo proces tworzenia Sfinksa został zapoczątkowany o wiele wcześniej. Niesiony wiatrem piasek już kilkadziesiąt tysięcy lat temu rozpoczął rzeźbienie figury z monolitycznego bloku skalnego, a więc w czasach, gdy gatunek ludzki zaczynał dopiero raczkować. Proces ten został przerwany, gdy Sahara zamieniła się w tętniącą życiem, obfitującą w wodę sawannę, a podjęty na nowo nie dalej niż kilka tysięcy lat przed naszą erą, gdy orbita Ziemi po raz kolejny uległa wahnięciu - klimat zaczął wtedy ocieplac się, a Sahara pustynnic. Niemal w tym samym czasie w Egipcie zaczęła rozwijać się cywilizacja, kultura. W końcu obok skały, zadziwiająco przypominającej swoim kształtem leżącego lwa, pojawił się kamieniarz z dłutem i młotkiem w dłoniach i dokończył to, co rozpoczęła natura. Można powiedzieć, że Sfinks z fazy embrionalnej i dziecięcej, dzięki interwencji człowieka, wszedł w fazę dojrzałą. Ale przyroda nie zaprzestała swojej działalności. I teraz, gdy stałem przed tą gigantyczną rzeźbą, będącą efektem współpracy natury i człowieka, widziałem starca, który powoli, ale z godnością i spokojem, chylił się ku ziemi. Widziałem zniszczoną twarz i ciało, które, pomimo nieustannej pracy kolejnych pokoleń kamieniarzy, poddających Sfinksa swoistemu liftingowi, nieodwołalnie zmierzało w niebyt. Wyrok już zapadł. Przesiedziałem przed tym zadziwiającym posągiem niemal cały dzień i dopiero gdy słońce stanęło nad samym horyzontem i zajrzało mi prosto w oczy, w gruncie rzeczy, tak samo kruche i nietrwałe, jak Sfinks i ja, wpakowałem swe starcze ciało w terenówkę i ruszyłem w drogę powrotną do Kairu.

Noc była koszmarem. Z utęsknieniem czekałem świtu, kotłując się w mokrej pościeli, niczym w piosence jednego pop-barda. Czy był jeszcze gdzieś bard, który miał inną perspektywę, niż trzepanie kapusty? Nie było takiego barda. Oczywiście można było kontestować kapitalizm i demokrację, tyle, że w kraju, który przez pół wieku trenował realny socjalizm musiało to wyglądać na kiepski żart, głupotę, działanie na zlecenie wraźych sił. Nie było już żadnych murów, które można by było próbować kruszyć siłą słowa, więc współczesny, polski bard śpiewał o duperelach zmieniając się w oswojonego rynkowo, pożądanego medialnie pop-barda. Pop. To był przedrostek! Istny demon wśród innych przedrostków, który dolepił się do wszelkich działań artystycznych. Sam już nie wiedziałem, czy to kultura ulega zbanalizowaniu, umasowieniu, upupieniu i ostatecznemu sferdydurczeniu

i wtedy dopiero pop wurusza na żer, czy też w samym popie tkwi taka siła, że to on jest sprawcą, że to pod jego wpływem kultura z coraz większym niepokojem zaczyna rozglądać się za jakimś metafizycznym super i hiper giga-pamperssem, w który wreszcie mogłaby z ulgą wsiąknąć?

Zajęczałem żałośnie, bo ordynator Shrek zabraniając mi zaglądania do kieliszka, pozbawił mnie znieczulenia. Od wschodu czerń zaczynała blednąć, a ja przez ostatnie dwie noce nie zmrużyłem przez to moje opętanie Sarą oka nawet na chwilę. I teraz nadszedł czas, gdy jedna fizjologia zmogła inną i zapadłem w półsen niespokojny, w tej mokrej pościeli

Pospałem, a właściwie podzemałem pewnie ze trzy godziny. Jak na moje potrzeby był to całkiem dobry wynik, bo byłem przyzwyczajony do braku snu w akcji. Podniosłem się z łóżka, szybko uporałem z poranną toaletą, zjadłem lekkie śniadanie i kopnąłem się na targ po prowiant, beczki na wodę i kilka drobiazgów. Ranek był wczesny, ale handlowano już pełną parą i wszędzie kłębił się tłum ludzi. Arabowie, Berberowie, Nubijczycy, Żydzi, którzy śmieiej zaczęli przyjeżdżać do Egiptu od czasu ustania wojen egipsko-izraelskich i robili interesy w Kairze, wszyscy głośni, rozgadani, targujący się ostro, a także niemal równie liczni, ale spokojniejsi Europejczycy - całe to międzynarodowe towarzystwo krążyło między straganami, na których można było znaleźć niewyobrażalną mnogość przeróżnych towarów. Nikt nie pytał o warunki sanitarne, więc dobrze było wiedzieć, co jest bezpieczne, zanim kupiło się coś do jedzenia. Z zakupami uporałem się dość szybko i już miałem wracać do auta, gdy moją uwagę przyciągnęła sprzeczka, które w tych warunkach nieustannie wybuchały w różnych częściach targowiska. Pewnie nie zwróciłbym uwagi na zamieszanie, gdyby w jego centrum nie znajdowała się młoda Nubijska wyjątkowej urody. Odprawiłem tragarza z zakupami do hotelu, a sam podszedłem bliżej centrum awantury i z ogólnego rozgardiaszu zrozumiałem, iż dziewczę zarzuciło handlarzowi, że sprzedaje nieświeże ryby, co z kolei doprowadziła sprzedawcę do szewskiej pasji. Zorientowawszy się, że mimo gwałtownych słów i gestykulacji dziewczynie nie zagraża niebezpieczeństwo, chciałem obrócić się na pięcie i podążyć w swoją stronę. Niestety rozsierdzony kupiec porwał cuchnące rybami wiadro z wodą i chlusnął nią w dziewczynę. Ta jednak zwinnie okręciła się unikając efektów napaści, a cała ciecz wątpliwej świeżości wylądowała... na mnie.

Stałem naperfumowały, jak stary mors, bezradnie rozkładając ręce. Klótnia zamarła. Kto był w pobliżu, gapił się na mnie. Handlarz ruszył w moim kierunku z przeprosinami, ale dziewczyna go uprzedziła. Przyznam, że nie bardzo rozumiałem, co do mnie mówi, choć jej angielski był nienaganny, bo jej czarne oczy, gorejące znad burki, uwodziły mnie, hipnotyzowały... W dodatku handlarz też mnie dopadł i szwargotał po swojemu, napierając

niczym ruski czołg. W pewnym momencie, a muszę przyznać, że zdążył mnie już solidnie wk...urzyć tym swoim jazgotem i nachalnością, odepchnął dziewczynę, która mało się nie wywróciła.

Było w tym coś teatralnego... coś co powinno było wzmóc moją czujność, byłem jednak zbyt zafascynowany tymi uwodzającymi mnie oczyma...

Wyprowadziłem bez ostrzeżenia błyskawiczny podbródkowy i Arab padł, jak ścięty. Nie było to mądre posunięcie, bo tłum zaszumił złowrogo i ruszył na mnie!

Nie było na co czekać, bo krąg rozsierzdzonych Arabów coraz bardziej się zacieśniał.

Pertraktacje nie wchodziły w grę, trzeba było wiać! Z tylnej kieszeni portek wyszarpnąłem miękka, skórzana pałkę (na szczęście nigdy nie ruszam się bez broni). Rozdając na lewo i prawo kopniaki oraz razy pałką wyrąbałem sobie drogę ucieczki i dałem w długą, ile sił w kopytach. Jakaś ręka jednak sięgnęła mojej koszuli. Materiał trachnął. Zdarłem z siebie resztki tkaniny i pogałem dalej półnagi. Tłuszcza z wyciem, w rozwianych kaftanach, podążała za mną. Biegłem szybko, ale oddech kilku młodzików czułem dosłownie na plecach. Byli tuż tuż! Nie przerywając biegu, odwinąłem się z prawej graby i trafiłem końcem pałki najbardziej rączego młokosa. Padł jak ścięty, trzymając się za głowę. Obejrzałem się za siebie i kątem oka ujrzałem, jak kilku facetów potyka się o niego i pada na ziemię, fikając w powietrzu gołymi nogami. Tych miałem już chyba z głowy, ale nie tchnęło to we mnie nadmiernego optymizmu. Galopowała za mną kilkusetosobowa rzesza śniadych facetów, po części uzbrojonych w noże, kije i maczety, gotowych zrobić mi kuku bez zmrużenia powieki. Jakby mnie dorwali, to mogłem powalić najwyżej kilku, może kilkunastu. Reszta zmiażdżyłaby mnie samą masą i impetem. Zrozumiałem, że jak czegoś nie wymyślę, albo mi się nie poszczęści, to jest po mnie! Dodałem gazu i wszedłem na najwyższe obroty, by się trochę urwać krwiożerczemu peletonowi. Na szczęście los młodzieńca dziabniętego w czółko ostudził indywidualistyczne zapędy i na razie nie było ambitnych, którzy chcieliby wysworować się ze zbitej ciżby i dopaść mnie w pojedynkę. Pozwoliło mi to powiększyć przewagę nad pogonią. Gnając przed siebie długimi susami ujrzałem z prawej strony zachęcająco wyglądający, krótki zaułek, który łączył dwie równoległe uliczki. Przemknęło mi przez myśl, że jakby udało mi się w nim znaleźć jakąś bramę, albo głęboki podcień, mógłbym się tam skryć. A wtedy była szansa, że pogoń zgubi trop. Czas był ku temu najwyższy, bo ciągnąłem resztkami, a z mej kratni dobywał się podejrzany charkot. Nie zwalniając ani trochę runąłem w cień zaułka, rozglądając się w panice za jakimś schronieniem. Dopadłem jednej bramy, drugiej – zamknięte. Tupot zbliżał się. Narastało wycie. Moi prześladowcy byli tak blisko, iż wydawało mi się, że słyszę pojedyncze oddechy. Zaułek kończył się. „No to po

mnie” pomyślałem. I wtedy jakaś ręka złapała mnie za ramię i wciągnęła do bramy. Tłum przewalił się nie dalej niż pół metra ode mnie, tak, że czułem zapach wściekłości. Odgłosy pogoni oddaliły się, w końcu ucichły zupełnie. Rozejrzałem się za moim wybawcą. W bramie panował niemal całkowity mrok i zobaczyłem jedynie zarys sylwetki. Kształty wskazywały, że uratowała mnie kobieta. Wyjątkowo dorodna kobieta. Była niemal tego samego wzrostu, co ja, a tuzą zapewne mnie przewyższała. Chciałem coś powiedzieć, podziękować, ale kontur zbliżył się do mnie gwałtownie i odcisnął na moich wargach namiętny pocałunek. Poczułem ucisk wielkich piersi na torsie i machinalnie złapałem ją za pośladki. Jęknęła. Miała głęboki głos i niesamowicie jędrny tyłek. Jedną nogę zadzierzgnęła wysoko, oplatając mnie nią, a jej ręce zaczęły błędzić po moim ciele. Tego było już za wiele. Oszalały z namiętności wpilem się w wydatne usta i...

&&&

Świadomość wracała powoli. Najpierw poczułem ból głowy. Potem, że nie czuję kończyn. Potem smród. Dopiero potem dotarło do mnie, że nie mogę się ruszyć. Otwarłem oczy. W pomieszczeniu panował półmrok. Przez niewielkie, brudne okienko wpadało wystarczająco dużo światła bym mógł się rozejrzeć. Byłem zupełnie nagi. Siedziałem na drewnianym krześle, które nie miało siedziska. Tylko ramę, w której tkwił mój tyłek. I byłem do niego przywiązany. Byłem przywiązany nie do tyłka oczywiście, choć w pewnym sensie też, bo był to przecież mój tyłek, ale do krzesła. Z boku stał obskurny stół, na którym leżały przeróżne dłuta, młotki, szczypcy, obcęgi, noże, skalpele, imadła i zgniatacze jąder oraz prądnica. Nie trzeba mi było tłumaczyć, że ktoś chce się zabawić. Ze mną. Lubię dobrą zabawę. Ale ta by mi się nie spodobała. Naprężyłem mięśnie. Byłem dobrze przywiązany. Bardzo dobrze! Musiałem szybko coś wymyśleć. Zanim przyjdzie wodzirej balu. Jak się za mnie weźmie, będzie za późno, by się zmyć. Tego byłem pewien. W odległości dwóch metrów od siebie zauważyłem stalową konstrukcję. Nie miałem pojęcia, do czego mogła służyć. Może do łamania kości? Miałem to gdzieś. Na wysokości mniejszej niż pół metra nad ziemią znajdowała się w niej szczelina. I to mnie zainteresowało. Jeżeli była wystarczająco głęboka i na tyle szeroka, by zmieściły się w niej tylne nogi krzesła, to może mogłem się wypisać z imprezy... Podskakując niezdarnie zbliżyłem się do konstrukcji, ustawiłem się tyłem do szczeliny i wybiłem wzwyż. Poczułem, że nogi krzesła wślizgują się do szczeliny, więc ciągnąłem rozpoczęty ruch ile siły w tył. Drewno trzasnęło. Teraz nie miałem już problemu, by pogruchotać resztę krzesła. Podeszedłem do stołu i skalpelem poprzecinałem

więzy. Naparłem na drzwi. Były zamknięte i nie zamierzały puścić. Mogłem tylko czekać. Broni na stole było tyle, że byłem spokojny o wynik, gdyby ktoś chciał ze mną zatańczyć. Miałem czas i postanowiłem się rozejrzeć. Z tyłu pomieszczenia, w zupełnym mroku znalazłem jeszcze jedne drzwi. Otwarłem je. Buchnął smród tak okrutny, aż treść żołądkowa podjechała mi do gardła. Wróciłem do lepiej oświetlonej części swojego więzienia, znalazłem kawałek dobrze wypolerowanej blachy i używając jej jak zwierciadła, skierowałem wpadające z zewnątrz światło w stronę tajemniczego pomieszczenia. Ujrzałem to, co w nim było niewyraźnie, ale wystarczająco dobrze, by zrozumieć, że mam do czynienia z wyjątkowym zwyrodnialcem. Ledwo powstrzymując wymioty zamknąłem drzwi. Na miękkich nogach podszedłem do stołu. Bałem się. Normalnie pewnie planowałbym jak obezwładnić przecinika, ale tym razem chciałem zabić. Wziąłem maczetę i zacząłem się w mroku...

Nie wiem, jak długo czekałem...

Aż usłyszałem śpiew...

Był piękny...

Potem kroki...

A potem drzwi otworzyły się i stanęła w nich... ONA!

Nie zastanawiając się opuściłem maczetę z całych sił, celując w czaszkę.

VI

Pędziłem przez pustynię wyciskając z Toyoty Pajero siódme poty. Nie było to mądre, gdyż teren był trudny i wymagał od kierowcy maksymalnej koncentracji. A ja byłem w formie niczym Gołota po starciu z Lewisem. Starłem się nie myśleć o zdarzeniach sprzed kilku godzin, ale obraz zmasakrowanego trupa w lochu wciąż stawał mi przed oczami. I obraz morderczej modliszki z rozłupaną głową także. Tym bardziej, że musiałem ją rozebrać i odziać się w jej rzeczy – przecież nie mogłem paradować po Kairze nagi. Po drodze do hotelu, za znalezione w portmonetce pieniądze, kupiłem telefon od jakiegoś smarkacza i zadzwoniłem na policję. Podałem tylko adres i informację o dwóch trupach i się rozłączyłem. Telefon wyrzuciłem. Wejście w bliski kontakt z miejscowymi władzami było ostatnią rzeczą, jakiej bym potrzebował. Gnałem więc teraz przed siebie, przez pustynię, jakbym chciał uciec od Kairu i jego brudów. Jak już wspomniałem nie było to rozsądne...

Nie zauważyłem, że łagodny podjazd na jedną z wydm kończy się raptownym podcięciem i samochód zwałił się w dół. Nie mogłem już nic zrobić. Przez chwilę wydawało się, że pojazd

odzyska stabilność, ale była to złuda. Toyota zadarła zadek w górę, zawyła silnikiem, gdy wszystkie cztery koła straciły docisk, zabalansowała przez chwilę na przednim zderzaku i runęła w piach brzuchem do góry. W całym nieszczęściu miałem tyle szczęścia, że do momentu wypadku nie odjechałem od Kairu dalej, niż z trzydzieści kilometrów, a do najbliższego uczęszczanego traktu miałem tych kilometrów zaledwie kilka. Zrozumiałem, że w obecnym stanie zaplanowana wyprawa samochodem przez niezamieszkałe tereny Egiptu, Sudanu, Erytrei, Etiopii i Kenii nie ma najmniejszego sensu. No, chyba, że chciałbym się zabić. Zabrałem trzy, najbardziej niezbędne walizy z rzeczami osobistymi i bronią, butlę z wodą i powlokłem się szukać cywilizacji z mocnym postanowieniem, że muszę jak najprościej i jak najszybciej dotrzeć do Parku Narodowego Mount Kenia. Tam czekała na mnie ostatnia deska ratunku w osobie mojego starego druha Ugwanu Kebangi, który w parku pełnił funkcję strażnika przyrody.

Z bezludnej pustyni udało mi się wydostać jeszcze przed południem. Dotarłszy do bitego traktu szczęśliwie niemal od razu złapałem okazję do Kairu, ciężarówkę prowadzoną przez... Polaka. Gdzie też nas nie było! W metropolii dałem tylko znać Karimowi, skąd może odholować swoje auto (przez grzeczność zapytał tylko, czy nie mógł mnie na tej pustyni trafić szlag, bo wtedy miałby mnie z głowy na dobre) i od razu pogałem na lotnisko. Okazało się, że nie ma większego problemu, by z Kairu przedostać się do Nairobi drogą lotniczą – akurat trwały przygotowania do przelotu w pożądanym przeze mnie kierunku. Na lotnisku, oczekując na odlot, spędziłem kilka godzin, bo się okazało, że samolot wymaga wymiany kilku części, by w ogóle oderwać się od ziemi. Co trzeba było w nim wymienić, by mógł bezpiecznie wylądować, nikt nie pytał. Pokonanie około czterech tysięcy kilometrów zajęło staremu jak świat Antonowowi blisko dziesięć godzin. Była to podróż pełna napięcia, mogąca sprawić przyjemność jedynie wariatom. Zresztą co tam. Ważne, że ten złom w ogóle doleciał i że znalazłem się w Kenii w jednym kawałku. Dalsza droga do parku Mount Kenia zajęła mi praktycznie resztę dnia i dopiero późnym wieczorem znalazłem się w obozie Tambu, u podnóża Kirinyaga, czyli po naszymu góry Kenia, drugiego co do wysokości szczytu Afryki po Kilimandżaro.

Kebangi nie było w obozie, miał wrócić dopiero nazajutrz. Bycie białasem ma jednakże tą sympatyczną cechę, że w większości rejonów Afryki jasny kolor skóry stanowi poważny handicap – pięćset lat kolonizacji kontynentu zaszczepiło w większości czarnych szacunek do Europejczyków. Od razu zajęto się mną, starając się stworzyć mi możliwie jak najlepsze warunki odpoczynku po długiej podróży. Gdy rozgościłem się w szałasie, którego konstrukcja była tak solidna, że w pełni zasługiwał na miano chaty i który został błyskawicznie

uprzątnięty specjalnie dla mnie, gdy zjadłem smaczny i obfity poczęstunek złożony z mięsa gazeli i całej sterty owoców i gdy wypilem spory kubek rewelacyjnej, czarnej jak smoła kawy, zrozumiałem, że mam przed sobą jeszcze co najmniej jedną noc spędzoną na samotnej walce z dokuczającą mi coraz bardziej wątroba i natrętnymi myślami o Sarze. Walnąłem się w hamaku przed szafasem i spróbowałem zdrzemnąć...

Kenia jest jednym z bogatszych i lepiej zarządzanych krajów afrykańskich. Znaczna część ponad trzydziestomilionowej ludności zamieszkuje urodzajne tereny wyżynne w południowych rejonach kraju, na których uprawia się między innymi kawę. Stolica Kenii, Nairobi, jest głównym ośrodkiem finansowym, handlowym i przemysłowym kraju. Największym skarbem naturalnym Kenii jest bogata fauna i flora przyciągająca turystów z całego świata, co zresztą Kenijczycy starają się umiejętnie wykorzystywać, dbając o bezpieczeństwo i rozwój licznych parków narodowych. Niemniej Kenia, jak większość państw afrykańskich, nie jest wolna od licznych problemów natury gospodarczej, politycznej i demograficznej. Europejczycy dopiero w połowie lat 50. ubiegłego stulecia przestali Afrykę traktować, jak swoje włości, a rdzenną ludność, jak dzikusów, których można użytkować, w sposób, nazwijmy to eufemistycznie, dość dowolny. W gruncie rzeczy jednak gwałtowny odwrót zachodniej cywilizacji z Czarnego Łądu wygenerował całą masę problemów. Anglicy, Francuzi, Belgowie, Hiszpanie, Portugalczycy, a także Włosi i Niemcy, chcąc uzgodnić między sobą strefy wpływów mechanicznie pocięli kontynent na państwa i państewka, które nijak się miały do tradycyjnych, plemiennych granic. Dopóki sprawowali władzę nad tymi tworamami, sztucznymi i oderwanymi od lokalnych tradycji, w Afryce udawało się utrzymać względny spokój. Gdy jednak Europejczycy zabrali zabawki i sobie poszli od razu okazało się, jak złudny był to spokój, na jak lichych fundamentach zbudowany. Kolonializm był zły, wolność okazała się jeszcze gorsza. Najdobitniej widać to było w Ruandzie, w której odwieczna nienawiść między mniejszością Tutsich, a większością Hutu, w trzydzieści lat od pozbycia się kurateli Belgów, zmaterializowała się w postaci masowych rzezi. Miliony Bogu ducha winnych ludzi, by ująć z życiem, musiało uciekać z Ruandy do obozów w Kongo i Tanzanii.

Problemy wynikające z waśni międzyplemiennych nie były jedynym kłopotem Afryki. Istotną kwestią do rozwiązania było zacofanie cywilizacyjne. Brak odpowiednich narzędzi, a więc wiedzy, tradycji biznesowej, odpowiednich ludzi i przede wszystkim olbrzymich funduszy, które proces pogoni za resztą świata niechybnie by pochłoniął, uniemożliwiały skuteczną metamorfozę kontynentu, który, wcześniej czy później, musiał przestawić się z gospodarki samozaopatrzeniowej, zacofanej i detalicznej, w której każdy sobie rzepekę

skrobie, na gospodarkę rynkową, otwartą na świat. Zachód oczywiście mógłby popchnąć Afrykańczyków na drogę rozwoju, ale w tym celu musiałby nieodpłatnie udostępnić ludności Afryki najnowsze technologie i przeszkolić ludzi. Ale tego oczywiście, pomimo wielowiekowego wyzysku Czarnego Lądu, białasy nie miały zamiaru zrobić. Właściwie takie działanie nie byłoby „darmowym” podarkiem, jakże niezgodnym z zasadami kapitalizmu, ale należną spłatą długu, zaciągniętego wcześniej przy użyciu barbarzyńskiej siły. Jak na razie Świat Zachodni stać było jedynie na załamywanie rąk nad tysiącami dzieci umierających z głodu i pragnienia, co, biorąc pod uwagę nadprodukcję żywności w samej Unii Europejskiej, było szczytem hipokryzji. Tak naprawdę problem głodu u progu XXI wieku nie istniał. Istniał natomiast problem podziału dóbr. Ludzie zachodniej cywilizacji zawłaszczyli sobie prawo do mówienia innym co jest dobre, uznawali, że nie tylko mogą, ale wręcz ich świętym obowiązkiem jest narzucanie „dzikim”, „niewiernym” i „zacofanym” zachodniego modelu przekonań, funkcjonowania, stylu życia. Ale zawsze chcieli to robić tak, by jedynie samemu na tym korzystać. Afryka została skażona mentalnością białego człowieka, jego dążeniami i żądzami i nie było już odwrotu. Wielu Afrykanów uwierzyło, że powinni szukać lepszego życia poza własną społecznością, poza plemienną wspólnotą, która dotychczas zaspokajała wszystkie ich potrzeby. Uwierzyli, że ich przyszłość jest w fabrykach, kopalniach, portach i na plantacjach. Odchodzili ze swojej ziemi, opuszczali swoje rodziny i maszerowali do miast. Ale tam nie czekało na nich nic dobrego. Większość z nich otrzymywała jedynie rozczarowanie, nędzę, odosobnienie, samotność, głód i choroby. Bo to zawsze można było dostać za darmo. W dodatku, wbrew postępowi, który wprowadzie powoli, mozolnie, ale jednak dokonywał się lokalnie, w większości miejsc Afryki było coraz gorzej. Znaczna część kontynentu cierpiała z powodu niewyobrażalnego wręcz, z punktu widzenia reprezentanta Europy czy Ameryki, deficytu wody. W niektórych rejonach życie toczyło się wręcz wokół zdobywania i transportowania wody pitnej. I w tej kwestii znowu pojawiało się pytanie, czy susza, jaka dotykała olbrzymie połacie kontynentu nie jest aby czasem efektem działalności białasów? Jeżeli ocieplenie klimatu pod wpływem efektu cieplarnianego wywoływanego działalnością przemysłową, a więc głównie działalnością Świata Zachodniego, było faktem, a nie jedynie mrzonkami ekologów, to znowuż Afryka występowała w roli bezbronnej ofiary gwałtu. Nie korzystając niemal zupełnie z wyników światowej produkcji przemysłowej, a prowadząc ją samodzielnie w stopniu znikomym, zbierała praktycznie jedynie same uboczne, ze wszech miar szkodliwe efekty tejże działalności. Nawet przy założeniu, że klimat w Afryce i tak by się ocieplał w wyniku cyklicznych procesów, na które człowiek nie miał wpływu, to jednak przyspieszenie ocieplenia w wyniku ludzkiej, świadomej działalności, mającej na celu

aż nazbyt często nic innego poza zyskiem, można było uznać za zbrodnicze. Czy Afryka miała prawo skarżyć przed międzynarodowymi trybunałami rządy państw zachodnich o świadome ludobójstwo? Czy wysokouprzemysłowione państwa świata nie powinny czuć się odpowiedzialne za suszę, a tym samym i głód, w Afryce? Czy w ramach rekompensaty nie powinny ofiarować krajom afrykańskim instalacje do odsalania wody morskiej i pokryć całego kontynentu, oczywiście na własny koszt, rurociągami, przez które odsolona woda byłaby z wybrzeży tłoczona do centralnych rejonów kontynentu?

&&&

Obudził mnie siarczasty policzek, który od razu przywrócił mnie rzeczywistości. Wziąłem zamach, by skontrować napastnika, ale zobaczyłem, że przede mną stoi Kebanga! Okazało się, że najpewniej pod wpływem koszmaru, spadłem z hamaka. Koszmar jednak się nie skończył i pomimo upadku wciąż tkwiłem w niezdrowym śnie. Akurat wtedy nadjechał Kebanga i widząc mnie pogrążonego w czymś na kształt tańca św. Wita, nie namyślając się ruszył na ratunek. Ratunek w wykonaniu Kebangi to nie zupełnie było to, co zapewne sobie wyobrażacie. Kebanga nie szukał nigdy żeńskich pierwiastków swojej natury, jak trzeba było coś ewentualnie kogoś zadźgać dzidą, to to robił, jak trzeba było walnąć w mordę to walił. Miał prawie dwa metry wzrostu, ważył jakieś sto pięćdziesiąt kilogramów i miał chłopina krzepę, jak młody goryl. Widząc, co się ze mną dzieje nie namyślał się tylko złapał mnie jedną ręką za barchatki, stawiając na nogach, a drugą wymierzył raz z liścia. To mnie zbudziło, ale najwyraźniej Kebanga był innego zdania, bo dołożył mi z plaskacza potężną blachę w czoło.

Nie wiedząc za co zbieram, wpadłem we wściekłość!

- Ty sk... sk... - nie mogłem znaleźć odpowiedniego słowa. – Ty bambusie kręcony! – zaryczałem, usiłując go jednocześnie sięgnąć prawym zamachowym.

Kebanga uniósł mnie nad ziemię na wyprostowanym ramieniu i przyjrzał się z zainteresowaniem.

– Ty rzadki asfalcie! Ty szympanse niemyty! – rozkręcałem się powoli, cały czas próbując trafić go a to lewym, a to prawym cepem, a to kopem z nogi. – Ty troglodyto z buszu! Ty brakujące ogniwo ewolucji – zawylem histerycznie, wierzgając wściekle wszystkimi członkami.

Kebanga niespiesznie wziął zamach i ponownie prasnął mnie z plaskacza, tyle, że tym razem w okolice ucha.

- Auć! – jęknąłem żałośnie. – Chcesz mnie zabić, czy co?!
 - No, wreszcie gadasz z sensem – ucieszył się Kebanga.
- Postawił mnie na ziemi, ale nadal trzymał mocno.
- Ja tam nie wiem co ci jest, ale dać w ucho nie zaszkodzi – stwierdził z przekonaniem.
 - Nie zaszkodzi?! – oburzyłem się. – Nie dość, że jestem wrakiem, to jeszcze zebrałem łomot od kumpla! Porąbało cię?!
 - Faktycznie nie wyglądasz najlepiej, ale przynajmniej przestałeś z siebie robić widowisko.
 - Puściłbyś mnie już – zaproponowałem ugodowo.
 - A nie będziesz próbował kopnąć mnie w jaja?
 - Ugwa, przyjacielu, jakbym tylko mógł to bym cię teraz zatłukł z miłą chęcią. Ale po pierwsze wiem, że jesteś poza moim zasięgiem...
 - Mowa! – ucieszył się niezbyt mądrze Kebanga i zwolnił uchwyt.
 - A po drugie: jesteś moją ostatnią deską ratunku! Nie wolno mi pić gorzały, a w dodatku kilka dni temu dostałem telegram od Sary...
 - Od Sary, powiadasz – Kebanga wyglądał na zaniepokojonego. – I do tego abstynecja?
 - Nie inaczej!
 - To rzeczywiście masz chyba, chłopie, kłopot... A wy co się tak gapicie? – Kebanga zwrócił się z pytaniem do podwładnych, którzy się nam z zainteresowaniem przyglądali. – Nie macie nic do roboty?! To wam zaraz znajdę!
- Gapie rozeszli się od razu, a my przysiedliśmy przed moim szałasem i bez zbędnych wstępów i owijania w bawełnę zaznajomiłem Kebangę z moimi problemami.
- No i sam widzisz – powiedziałem kończąc - że teraz to już tylko ty mi zostałeś. Albo znasz jakiegoś szamana, albo... - dramatycznie zawiesiłem głos.
- Kebanga nic nie powiedział, tylko mnie złapał i powłókł gdzieś przez krzaki!
- Człowieku! – zawylem przerażony, starając się stawic bierny opór, co rzecz jasna nie miało większego znaczenia zważywszy, że Kebanga ważył dobre sześćdziesiąt kilogramów więcej ode mnie. – Czyś ty zwariował?! Dokąd mnie wleciesz?
 - A jak myślisz, biały głąbie? Usiłuję cię zaprowadzić do szamana, o którego sam prosiłeś. A ty, nie wiadomo dlaczego, rzucasz się, jakby ci ktoś afrykańskich mrówek nawpuszczał do gatek.
 - Aaaa, to co innego – uspokoilem się nieco. – Nie mogłeś powiedzieć, tylko tak człowieka od razu za wszarz łapać i ciągnąć?
 - Ja tam nie lubię za dużo gadać bez potrzeby – rzucił Kebanga i znowu mną szarpną, bo się nieopatrznie zatrzymałem.

- A nie można tak jakoś ścieżką, tylko przez te zarośla musimy walić?
- Nie.
- Ale dlaczego?!
- Bo nie ma żadnej ścieżki.
- Nie ma?! Jak to nie ma?!
- Tak to. Ten szaman, do którego cię prowadzę, to jest ostatnia instancja.
- Ostatnia? – poczułem, że mi się momentalnie na całym ciele gęsia skórka wygenerowała. -
Jak to ostatnia?!

Kebanga milczał, tylko jego uchwyt jakby uległ wzmocnieniu.

- Co to znaczy ostatnia?! – zaryczałem dziko.
- To znaczy od beznadziejnych przypadków...
- Od bebebebeznadziejnych? – zająknąłem się żałośnie.
- Absolutnie – powiedział Kebanga po polsku, jakby z warszawskim akcentem.
- A dlaczego nie ma żadnej ścieżki?! – byłem coraz bardziej podejrzliwy.
- Bo do niego się rzadko chodzi. Beznadziejne przypadki. Kapujesz? Tak rzadko, że ścieżka nie ma prawa się uchować. Wszelkie ślady zarastają. Tutaj zielsko szybko rośnie, sam wiesz. Rzeczywiście ze wszystkich stron oplatał nas gąszcz roślin, przez który przedzieraliśmy się tylko dzięki nadludzkiej krzepie Kebangi. Wydało mi się nawet, że Murzyn, pewnie od tego przedzierania, jakby się jeszcze bardziej rozrósł. Teraz to był już istny mutant. Kłębowisko mięśni, ścięgien i obrzmiałych żył o średnicach kciuka dorosłego mężczyzny.
- A nie można by tak do jakiegoś normalnego znachora? – zapiszczałem przerażony. -
Ścieżką? Do takiego, co ludziom z plemienia ziółka przepisuje?
- O Boże! – zawył Kebanga i pocałował monstrualnej wielkości krucyfiks, co mu dyndał na piersiach. – Ale się z ciebie baba zrobiła. Nie zaprowadzę cię do pierwszego lepszego znachora, bo ty potrzebujesz usługi spoza podstawowego koszyka świadczeń – mówiąc to Kebanga uśmiechnął się demonicznie.
- Spoza czego?! Puszczaj natychmiast – zawylem przerażony. – Kim ty jesteś, do cholery?!
Mówiąc to, spróbowałem sięgnąć do twarzy wlekącego mnie hominida, by zerwać zeń maskę i zdemaskować fałszywego Kebangę, ale znowu dostałem z plaskacza, tym razem centralnie w maskę, aż mi świeczki w oczach stanęły.
- Dan, chłopie, co się z tobą dzieje? Oprzytomniej! Już niedaleko.
Potrzęsnałem głową i zobaczyłem twarz wielgachnego Murzyna, który pochylał się nade mną. To bez wątpienia był Kebanga. Przytrzymał mnie jedną ręką rozciągniętego na ziemi, a

drugą zadawał niezbyt silne (o ile określenie „niezbyt silne” w ogóle w przypadku Kebangi ma jakikolwiek sens) uderzenia w facjatę. Przesnął, kiedy zobaczył, że oprzytomniałem.

- No co? Lepiej ci już?

- Lepiej? A co się stało? Gdzie ja jestem?

Siadłem na ziemi i rozejrzałem się nieprzytomnie.

- Uj, niedobrze – głos Kebangi przypominał lament. – Ujujujujuj, bardzo niedobrze!

Potrzebujesz natychmiastowej pomocy!

-Ale co się stało do k... do jasnej cholery?!

- Rozmawialiśmy i nagle odjechałeś. Nawet spadłeś z krzesła.

- Dziwnie się czuję...

- Piłeś coś?

- Nie! Przecież ci mówiłem, że nie mogę... ale zaraz! Kawa! Twoi chłopcy dali mi kawę...

No i coś na ząb...

- Chyba nie myślisz, że moi... - zirytował się Kebanga.

- Spokojnie... - przerwałem mu słabym głosem. - Może nie twoi... Widzisz, miałem dziwną przygodę w Kairze i teraz pomyślałem, że to nie musiał być przypadek! Teraz to... Może coś było w jedzeniu?! Może ktoś za mną podąża?!

- Masz paranoję!

- Słabo mi... - powiedziałem i osunąłem się na trawę.

Nagle poczułem, że zaczynam się unosić w powietrzu.

- No pięknie – pomyślałem. – Znowu się zaczyna...

Ale nie, tym razem nie był to kolejny odjazd, tylko Kebanga wziął mnie na ręce i poniosł.

- Nie dam ci tu umrzeć, przyjacielu – powiedział i ruszył przed siebie. – Zaraz zajmie się tobą Dalalumpo, największy spośród wszystkich znanych szamanów!

Cóż było robić. Dałem się ponieść Ugwie, bo i tak nie miałem wyboru. W końcu już w Polsce zakładałem, że muszę do szamana... Tylko że teraz naszły mnie wątpliwości. Taki szaman to jednak nie ma dyplomu nostryfikowanego przez kraje cywilizowane. Ba! On nie ma żadnego dyplomu! Powiedzmy sobie szczerze – taki szaman rzeźbi sobie w pobratymcach na krzywy ryj! Nie zaprzeczę – strach mnie obleciał. Bo, jeżeli nawet radził sobie dość dobrze z miejscowymi, to czy był przygotowany na białasa? A jeżeli u Czarnych organizm funkcjonuje jakoś inaczej? Moje wątpliwości zaleciały mi trochę rasizmem, ale w końcu chodziło o moje być, albo nie być! Czy miałem jednak jakąś alternatywę? Nie miałem. Niemniej, bez względu, jakbym się przekonywał, jakbym nie motywował i dowodził konieczności poddania się szamaństwu, strach było oddać się w łapy jakiegoś nawiedzonego, wioskowego znachora,

któremu zapewne pod wpływem nadmiernego używania środków odurzających świat rzeczywisty mieszał się z urojonym.

- Ty – zapytałem – a ten twój szaman to pewny jest? Nie jakiś oszołom?

- Czego ty znowu chcesz? – zniecierpliwił się Kebanga.

- No wiesz... Tak tylko pytam. Żeby nie skończyło się, jak w tym żarcie o wodzu.

- O jakim wodzu? - Kebanga poparzył na mnie z troską, zaniepokojony moimi słowami. Zapewne pomyślał, że znowu zaczynam majaczyć.

- Taki tam żart, że wódz zachorował, no i nic nie pomagało i szaman kazał Indianom, rozumiesz, żeby rozbili wodzowi jajka pod oczami.

- No i co?

- No i wódz umarł w straszliwych męczarniach...

- Ale dlaczego – zainteresował się Kebanga całkiem szczerze.

- No bo się Indianom udało jajka tylko do brzucha dociągnąć...

- Nie rozumiem – powiedział Kebanga, znowu patrząc na mnie z troską.

- Oj, no... takie nieporozumienie, rozumiesz... - brnąłem zmieszany, bo żart wydał mi się naraz okrutnie głupi i nie na miejscu. – No i... rozumiesz... Oni, ci Indianie... tego, no... pomyśleli, że to chodziło o jajka wodza... No i ciągnęli! – wrzasnąłem zdesperowany. – Rozumiesz! Ciągnęli wodza za jajka! W dobrej wierze! Tak ciągnęli, że dociągnęli do brzucha!!! I wódz skonał...

Kończąc mało się nie rozplakałem.

- Wiesz, co? – zapytał Kebanga, zatrzymując się. – Ja rozumiem, że ty jesteś chory, ale lepiej uważaj, jak już dojdziemy na miejsce, bo Dalalumpo nie lubi, jak się z niego głupa rżnie.

- Nie lubi? – zapytałem kretyńsko.

- Nie! NIE LU-BI! Lepiej, żebyś to zapamiętał i sobie wziął do serca, bo będziemy mieli kłopoty. Obaj! A Dalalumpo jest ostatnią osobą, z którą chciałbym mieć cokolwiek, a kłopoty szczególnie.

- A co jest? Taki jakiś bez poczucia humoru ten cały szaman?

- Sam zobaczysz, jak dojdziemy... Ale naprawdę tego nie roztrząsaj, tylko słuchaj Kebangi – powiedział śmiertelnie poważnie Kebanga i ruszył dalej.

&&&

Dalalumpo był mały, niezbyt urodziwy i wyglądał na złośliwego. W dodatku miał, debilowaty wygląd.

- Co ten kretyn Kebanga robi?! – pomyślałem. – Zamiast mnie ratować, prowadzi do jakiegoś gnoma imbecyla!

To była jednakże tylko pierwsza myśl, bo gdy zbliżyliśmy się do szamana, od razu zmieniłem zdanie o nim.

- Niech nie myśli! – rozkazał mi Dalalumpo, nie bawiąc się w powitalną etykietę.

Nie jestem specjalnie podatny na sugestie, ale w tym samym momencie poczułem, jak wracam do żywych. Powiem od razu – nie wierzę w parapsychologiczne bzdety, ale w wilkołaki też nie wierzyłem. Do czasu. Od gnomowatego szamana biła taka aura, że jedynie zupełne zaślepienie, najzupełniej totalny ośli upór mógłby skłaniać do zanegowania jego metapsychicznych właściwości. A ja osłem nie byłem. Czuję te fluidy, które wydzielał Kopulanda, które omywały przestrzeń wokół niego, by następnie delikatną, jak tchnienie mgłą, rozplynać się w bezmiernej, pustej, czarnej i zimnej otchłani kosmosu. Przepraszam. Trochę mnie poniosło.

Dalalumpo podszedł do mnie i naprężył się, by spojrzeć mi prosto w oczy. Jego mina mówiła wszystko - byłem idiotą! Pomimo, że stanął na palcach wyciągnięty jak struna, czubek jego głowy i tak sięgał mi zaledwie do brody.

- Ech te białasy. Nigdy nie mają szacunku dla sił wyższych, a potem jest zawsze płacz i zgrzytanie zębów.

Dalalumpo oddalił się w stronę szałasu i po chwili w nim zniknął.

- No co jest? – dobiegł głos szamana z mrocznego wnętrza. – Długo mam czekać?.

Ruszyliśmy nieśmiało w stronę szałasu.

Spodziewałem się, że zastanę w środku jakiś totalny prymityw, ziółka suszące się pod powałą, jakieś tajemnicze torebki, woreczki, słoiczki, nogi pajaków, skrzydła much, języki ropuch i tym podobny sztafaż. I kiedy znaleźliśmy się w środku doznałem małego szoku. Wnętrze, rozświetlone delikatnie przez zespoły fotodiod, przypominało raczej nowoczesne laboratorium niż dziuplę wioskowego znachora. Dalalumpo miał wprawdzie wszystkie podejrzane składniki, których się spodziewałem, ale dokładnie sklasyfikowane i pieczołowicie poukładane w klimatyzowanych szafach. Miał też nowoczesny sprzęt medyczny, a nawet komputer z dostępem do satelitarnego Internetu.

- Ale jajca – pomyślałem. – Ciekawe, jak on to wszystko zasila?

- Z baterii słonecznych – odezwał się gnom, jakby czytał w moich myślach. – Ja tam jestem za postępem. A niektóre gadżety wręcz uwielbiam.

Zachichotał radośnie, a jego śmiech brzmiał tak szczerze i bezpretensjonalnie, że i ja się uśmiechnąłem.

- Lubię sobie na ten przykład pograć na komputerze. A ty?
- Ja raczej niespecjalnie...
- Beton... - z pogardą rzucił Dalalumpo. – Trochę to potrwa, więc c mógłbyś sobie pograć na komputerze, ale jak nie lubisz, to siadaj i siedź.
- Wzruszyłem ramionami wciąż nie wiedząc, o co chodzi.
- Mogę posiedzieć...
- Co ty? Łaskę mi robisz?!
- Przepraszam! Tylko na co mam czekać?
- Jak to na co? Na leki! Co ci się wydaje? Że to jest apteka? Przychodzisz, kupujesz i wychodzisz?!
- Ale skąd wiesz czego potrzebuję? Nawet mnie nie zbadałeś...
- Wystarczyło, że ci spojrzałem głęboko w oczy, żeby wiedzieć, że ci się wątroba kończy. Był chyba faktycznie tak dobry, jak mówił Kebanga, więc nic już nie powiedziałem.
- Masz, wypij – szaman podał mi czarkę z jakimś płynem – nie będziesz marudził...
- Posłusznie wypilem i film mi się urwał.

Gdy się obudziłem, był wieczór. A zatem przespałem niemal całą dobę. A może kilka? Usiadłem i rozejrzałem się. Nie ulegało wątpliwości, że wciąż znajdowałem się w szałasie szamana. Wciąż czułem senność, ale jednocześnie już dawno nie czułem się tak rześko! Wyjrzałem na zewnątrz. Dalalumpo i Kebanga siedzieli sobie przy ognisku i śpiewali w narzeczu suahili jakieś skoczne piosenki, utrzymane jako żywo w rytmach charlestona, fokstrota i country & western . Ani trochę nie wyglądali na dzikusów z sawanny. Ich ogniskowe pienia i ubiór – obaj byli w wysokich traperach, zielonych, płóciennych szortach i koszulkach z krótkimi rękawami – bardziej przywodziły na myśl imprezę weteranów skautingu. Widok był tak dalece zaskakujący, że cofnąłem się do wnętrza pełen najgorszych podejrzeń. Czyżbym miał znowu odjazd?

- Chodźże tu do nas – dobiegł mnie głos Kopulandy. – Tym razem, koleś, to jawa, nie sen. Możesz mi wierzyć. Po prostu lubimy sobie, ja i Ugwa, czasami poharcerzyć.
- Jak samopoczucie? – zagaił Kebanga, gdy nieśmiało do nich podszedłem.
- Chyba OK...
- Chyba?! – zaperzył się szaman. – To ja się wspiąłem na szczyt szamaństwa, a ty masz mi tylko „chyba” do powiedzenia?
- Nie o to chodzi – wystękałem. – Tylko, że zmogło mnie, a teraz wstaję i tak po prostu jest po wszystkim? I do tego wy przy tym ognisku, śpiewający jakąś waszą wersję piosneczki „Płonie ognisko w lesie”? Sorry, Winnetou, ale jakoś mi się ciężko w tym połapać.

- Wyluzuj – powiedział Kebanga. – Po prostu jeszcze nie dospałeś. Wrócimy do obozu, wrzucisz kawał ścierwa na ruszt, pokimasz trochę i przywykniesz.

- Ale co się właściwie ze mną działo?

- Lepiej żebyś nie wiedział... - powiedzieli niemal chórem.

- Ale dlaczego? Zrobiłeś mi jakąś operację? Naświetlałeś czymś? Wstrzykiwałeś hormony? Masz tu tyle sprzętu, że pewnie mógłbyś konkurować nawet ze szpitalem uniwersyteckim.

- Stary – odezwał się Dalalumpo. – Jeżeli myślisz, że cię potraktowałem twardą medycyną, to po jakie licha wlokłeś się te kilka tysięcy kilometrów do wioskowego szamana, zamiast zgłosić się do internisty w swoim mieście?

- Chcesz mi powiedzieć, że nie korzystałeś z tej całej nowoczesnej aparatury medycznej?

- Ja nie chcę. Ja ci mówię!

- To po cholere ci te wszystkie klamoty? – nie wytrzymałem.

- Bo zachodnia medycyna też ma swoje dobre strony. Jeżeli przy jej pomocy mogę pomóc swoim ludziom, to pomagam. Widzisz, w przeciwieństwie do doktorów z zachodnich akademii medycznych, mędrców szkieleka i oka, którzy nie potrafią i nie chcą wyjść poza podręcznikowy przepis na leczenie, którzy często bardziej przypominają roboty zaprogramowane w określony sposób, niż myślących i czujących ludzi, ja próbuję wszystkiego, niczego nie odrzucam. W twoim przypadku medycyna zachodnia, przynajmniej w takim zakresie, w jakim ją poznałem, a ma się ten dyplom Harvardu z medycyny, mogła zaoferować ci jedynie przeszczep.

- Dyplom Harvardu?

- A jak myślisz, skąd mam ten cały sprzęt? Spadł z nieba? Miałem kilkanaście lat praktykę w Nowym Jorku z dochodami o jakich nogdy nie marzyłeś.

- OK., to co mi właściwie zrobiłeś?! – zawyłem.

- Oj, lepiej, żebyś nie wiedział... - obaj Murzyni odezwali się znowu niemal chórem.

- Ale twoje życie już nigdy nie będzie takie, jak przedtem – dorzucił Dalalumpo i obaj gromko zarechotali.

- Ale co... jak... ? – zajęczałem przerażony.

- Oj, nie bądź baba – zirytował się Kebanga.

- Twoja wątroba to wrak – spowaźniał Dalalumpo. – Mówiąc szczerze niewiele mogłem zrobić. Bez moich zabiegów przewróciłbyś się za najdalej trzy miechy, teraz pociągniesz półtora roku, może dwa lata. Ale to maks. A potem... - w tym momencie Kopulanda znacząco wskazał kciukiem ziemię. - Bez przeszczepu się nie obejdzie. Ale nie martw się. Intuicja mi podpowiada, że i z tego się wykaraskasz. A na razie zażywaj proszek, który dałem

dla ciebie Kibandze. To nic wielkiego, mieszanka kilkunastu ziół, ale pomoże twojej wątrobie radzić sobie z toksynami.

VII

W Kenii nie miałem już nic do roboty, a czas naglił. Nie wiedziałem, co spotkało Sarę, a Dalalumpo potwierdził diagnozę doktora Shreka, że z moją wątrobą nie jest najlepiej. Jeżeli miałem wykitować, to wolałem to zrobić, gdy już będę pewny, że Sarze nic nie zagraża. Do obozu nad jeziorem Kiwu miałem w linii prostej około ośmiuset kilometrów. Ugwe, twierdząc, iż jego obecność w obozie nie jest konieczna, zaofiarował się, że pojedzie ze mną. Zaproponował drogę przez Tanzanię jeepem straży parkowej. Towarzystwo przyjaciela było kuszące, ale uznałem, iż, po pierwsze: nie mogę nadmiernie wykorzystywać jego poświęcenia, a po drugie: wariant, który planowałem pierwotnie, czyli z pokonaniem części drogi łodzią przez jezioro Wiktorii, wydawał się szybszy. Ostatecznie zdecydowałem się na tę drugą trasę, licząc zresztą, że do portu Kisumu nad zatoką Kavirondo dotrę podwieziony przez Kembangę. Przygotowania zajęły nam cały dzień i dopiero późnym wieczorem, kiedy miałem stuprocentową pewność, że wszystko jest zapięte na ostatni guzik, położyliśmy się na spoczynek. Nie miała to być jednak spokojna noc.

Dzięki geniuszowi Dalalumpo złapałem ten odpowiedni luz, który umożliwia głęboki, spokojny sen. A miałem co odsypiac. Gdy znalazłem się w łóżku od razu twardo uderzyłem w kimono. Nie wiem, jak długo spałem, bo gdy przebudziłem się, było zupełnie czarno. Założyłem, że jest około drugiej, bowiem mroków nocy nie rozświetlała już poświata Księżycy. Wytężyłem słuch. Ktoś o mniejszym doświadczeniu niż ja uznałby, że panuje zupełny spokój i ponownie pogrążyłby się we śnie. Ja jednak doskonale wiedziałem, że nie zbudził mnie żaden naturalny odgłos. Coś musiało sprawić, że zadziałał mój niezawodny instykt, wzmocniony wieloletnim treningiem. Nagle z zalegającej okolicy ciszy wyłowilem to COŚ. Był to powtarzający się szmer na pograniczu słyszalności. Nie miałem problemu ze zorientowaniem się skąd dobiega. Od razu też nabrałem pewności, że nie jest wywoływany przez żadne zwierzę. Ktoś bardzo starał się, by nie robić hałasu. I zbliżał się w moją stronę! Jak się jest prywatnym łapsem tyle lat, co ja, to ma się wyostrzone wszelkie zmysły. W tym zawodzie dobór naturalny się idealnie sprawdza: przeżyć może tylko najlepiej przystosowany.

Ja byłem. Nie widziałem intruza, ale go wyczuwałem. Szmery, drganie powietrza, zapach. Mózg nietoperza wytwarza obraz świata na podstawie echa. A mówiąc bardziej szczegółowo: zwierze emituje dźwięki o dużej częstotliwości, które odbijają się od przeszkody, na przykład gałęzi, ściany budynku, owadów itp., i powracają do niego. W tym echu jest zawarta wystarczająca informacja, by nietoperz zobaczył dokładny obraz otoczenia. Właśnie tak! Zobaczyl! Jest to zapewne inny obraz niż ten odbierany przy pomocy narządu wzroku, ale jednak obraz. Nie wiem, jak działał mój mózg, ale mimo egipskich ciemności i wielkiej ostrożności nieproszonego gościa, doskonale wiedziałem gdzie jest. Niemalże go widziałem! Po jego ruchach zorientowałem się, że mam do czynienia z zawodowcem – tropicielem, ninją lub komandosem. Dałbym sobie również rękę obciąć, że intruz jest wyposażony w noktowizor. Na razie miał nade mną przewagę i nie pozostawało mi nic innego, jak czekać. Jedynym moim atutem było to, że już o nim wiedziałem, a on jeszcze nie wiedział, że ja wiem. Leżałem niewzruszony, oddychając z tempem około sześciu wdechów na minutę, takim samym, jak podczas głębokiego snu, w którym jeszcze przed kilkoma sekundami się znajdowałem. Miałem nadzieję, że podejdzie dostatecznie blisko, bym mógł go zaskoczyć. Facet oczywiście mógł strzelić. Wtedy rzecz jasna miałbym jedynie iluzoryczne szanse, ale użycie broni palnej wiązało się z hałasem. Byłem pewien, że huk wystrzału jest ostatnią rzeczą, na jakiej mu zależy. Mógł zastosować tłumik, ale z doświadczenia wiedziałem, że idealne tłumiki istnieją tylko na filmach. W rzeczywistym świecie, przez naprawdę dobrych specjalistów nie są zbyt chętnie stosowane ze względu na swą zawodność (jedyną skuteczną metodą wypróbowania tłumika jest użycie go, a tym samym zniszczenie). Ktoś z elity, biorąc zlecenie na mnie i wybierając bezpośredni kontakt zastosowałby raczej nóż, garotę ręczną, duszenie, zastrzyk. Nóż był najbardziej oczywisty i najskuteczniejszy w rękach fachowca i właśnie ten rodzaj krótkiej broni białej obstałem. Intruz był już tuż tuż. Byłem niemal pewien, że za chwile uniesie dłoń, by zadać mordercze pchnięcie. Na to czekałem. Ale się nie doczekałem. Mężczyzna wysunął w moją stronę obie ręce. „A jednak pistolet!”, przemknęło mi przez myśl. Zapewne chciał jedną ręką złapać mnie za twarz, by stłumić ewentualny krzyk, a drugą wypalić prosto w serce. Jego prawa ręka, w której trzymał broń, znajdowała się, jak czułem, w odległości najwyżej trzydziestu centymetrów od mojej piersi, gdy wyprowadziłem uderzenie. Był to dosłownie ostatni moment, by się ratować, gdyż dokładnie w tym samym momencie broń rozjarzyła się jasnioletowym blaskiem. Nie był to jednak ogień eksplozji z amunicji prochowej. Blask trwał wciąż i... rozciął właśnie pled, przy moim prawym boku. Gdybym przed ułamkiem sekundy nie zbił dłoni przeciwnika byłbym już zapewne przewiercony na wylot, a może nawet rozcięty na dwie części. Nie miałem czasu, by

zastanawiać się, co to mogło być. Zapewne jakiś nóż, skalpel laserowy zdolny błyskawicznie ciąć materię (tylko jakim cudem podręczna, lekka broń mogła mieć aż taką moc?!). Lewą dłonią złapałem napastnika za nadgarstek uzbrojonej ręki, zerwałem się na nogi i wymierzyłem mu potężny cios z bańki. Nie był to najlepszy pomysł, bo pocelowałem go czułkiem prosto w noktowizor. Jakby było choć trochę widać, mógłbym powiedzieć, że mi się ciemno zrobiło przed oczami, ale teraz, biorąc pod uwagę otaczającą nas ze wszystkich stron nieprzeniknioną czerń, nie byłaby to zbyt błyskotliwa uwaga. Na szczęście wróg albo również odczuł siłę mego ciosu i to pomimo wytłumienia okularu, albo mu noktowizor odmówił posłuszeństwa. W każdym razie agresor jakby przez chwilę stracił orientację. Teraz ja byłem górą, dominując nad nim wyraźnie pod względem fizycznym. Miałem zamiar go obezwładnić i wydusić, czego chce i kto go przysłał. Sytuacja jednak szybko uległa zmianie. W ferworze walki nie zwróciłem uwagi, że facet stara się obrócić w palcach laser. Gdy spostrzegłem jego ruch i zrozumiałem, co mnie czeka, było za późno. Poczulem potworny ból i zobaczyłem, jak fioletowy promień wnika w mój kciuk u samej nasady. Mimo bólu poprawiłem chwyt, blokując niemal zupełnie jego dłoń. W ostatnim momencie! Jeśli zostawiłbym mu choć odrobinę swobody jeszcze sekundę dłużej niechybnie odciąłby mi palec. Sytuacja uległa na tyle radykalnej zmianie, że straciłem wszelką ochotę na dalszą zabawę z moim prześladowcą. Powiem więcej - chciałem mieć go z głowy, jak najszybciej. Uderzyłem go palcami prawej dłoni w szyję, niezbyt silnie, ale jednak wystarczyło, by się trochę rozkojarzył, a następnie złapałem go oburącz za uzbrojoną rękę i wykonałem rzut przez ramię. Byłaby to bułka z masłem, gdyby nie ten cholerny laser, który w każdej chwili mógł mi zrobić kuku: rozwalić aortę, osłepić, pociąć ścięgna. Zabójca był już nade mną, więc nie miałem wyjścia i ciągnąłem sk... skurczybyka za ramię. Na szczęście przeciwnik był zbyt lekki i słaby fizycznie, żeby skutecznie skontrolować. Jednak kiedy znalazł się na ziemi od razu kopnął mnie w twarz i spróbował się wywinąć. Dobry był, ale nie na mnie. Nos łamano mi już setki razy, więc i teraz zniosłem cios i wciąż trzymałem go mocno. Nie zastanawiając się dłużej założyłem mu dźwignię na staw łokciowy i wpakowałem gnojkwowi jego własną broń prosto między oczy. To był koniec walki. Napastnik, nawet po śmierci, chował jednak jeszcze jednego asa w rękawie - w obudowie lasera zajarzyło się czerwone światełko i zaczęło mrugać z rosnącą częstotliwością. Instynktownie rzuciłem się do ucieczki. Ledwie zdążyłem nieco oddalić się od szalasu, kiedy okolicą wstrząsnęła detonacja. Była tak potężna, że fala uderzeniowa odrzuciła mnie o kilka kroków.

&&&

Po całym zajściu doszło w obozie do zupełnie niewypowiedzianego rozgardiaszu. Powiem tylko, że tylu bambusów biegających z giwerami we wszelkich możliwych kierunkach już dawno nie widziałem. Nie było mi to specjalnie na rękę, bo chciałem obejrzeć w spokoju trupa i się zastanowić. Na szczęście Kemandze udało się po chwili zapanować nad obozowym chaosem (ten to miał posłuch u ludzi!) i mogłem się poświęcić swoim sprawom. W czasie, w którym zająłem się oględzinami miejsca eksplozji, Kebanga nie tracił czasu, tylko wskoczył do jeepa i pognął po Dalalumpo. Nie miałem wiele do roboty: z szałasu zostały jedynie żalodne fragmenty, a to, co najciekawsze, czyli broń oraz jej właściciel, zdematerializowało się. I to dosłownie! Po napastniku oraz narzędziu zbrodni, którym się posługiwał, nie pozostał nawet ślad. Zmartwiło mnie to, bo przyznam, że jeszcze takiej broni nie widziałem, a byłem w tej materii ekspertem. Laserowy nóż, którym zostałem zaatakowany, musiał być absolutną nowością. Kto mógł się nim posługiwać? CIA? KGB? Mosad? Na pewno nie Brytyjczycy, bo ci przodowali tylko w serii o Jamesie Bondzie. A może Chińczycy? A może jakaś inna siła, jakaś tajna organizacja spoza głównego nurtu? Czyżby mafia wydała na mnie wyrok? Tylko, że mafia wołała tradycyjne metody, jak podkładanie bomb, akcje z karabinami maszynowymi, betonowe skarpetki. Dlaczego to draństwo postanowiono zastosować właśnie na mnie? Chcieli wybróbować nowy rodzaj broni? A może chodziło im o spektakularny aspekt zbrodni? Pociąć gościa laserem to by było coś! Ale po co? Dlaczego mieliby to robić? Złapałem się, że zaczynam mówić „o nich”. Tajemniczy ONI! Wpuszczenie się w tę koleinę nie wróżyło niczego dobrego. Przestałem więc chwilowo drażyć kwestie kto i dlaczego na mnie nastawał, a także dlaczego użył w tym celu narzędzia jakby z innej epoki, którego zasady działania nie śmiałem nawet się domyślać. W tym samym momencie, gdy stwierdziłem, że już niczego więcej nie wydedukuję, zjawił się Kebanga z szamanem. Gnom był wyraźnie przejęty całym zajściem, więc nic nie mówił, tylko zabrał się do opatrywania mojego nieszczęsnego kciuka. Posmarował ranę jakąś maścią i zaszył ją z precyzją chirurga plastycznego.

- Będzie dobrze – powiedział, gdy skończył pracę.

- Dzięki! Równy z ciebie facet.

Szaman poklepał mnie po ramieniu i kazał się Kemandze odwieźć z powrotem. Miał u siebie ponoć jakiś ważny przypadek, jeden z tych, co to każda chwila jest na wagę złota.

Ponieważ z mojego szałasu po wybuchu uchowało się jedynie kilka desek, pomaszerowałem do kwatery Kebangi i zwałem się na łóżko. Mimo przeżytych wrażeń zasnąłem od razu. Tej nocy nie przewidywałem już dodatkowych atrakcji.

Mój wewnętrzny budzik wyгнаł mnie z wyra skoro świt. Chlapnąłem sobie w twarz wodą z kubka, żeby się nieco otrzeźwić i poszedłem poszukać Kebangi. Biedaczysko spał w krzakach słodko, niczym niemowlę. Obudziłem go i przypomniałem, że mamy plan.

- Dan, czy ty nigdy nie masz dosyć? – zajęczał Kebanga. – Przez ostatnich kilka dni byłeś cierpiący. Przyjechałeś do mnie po pomoc w stanie wzbudzającym litość. Ledwo udało mi się cię odratować... z niewielką pomocą szamana, od razu wpakowałeś się niewiadomo jakim sposobem w kolejne szambo. Dan! Przed... - Kebanga spojrział na zegarek. – Przed niespełna trzema godzinami jakiś facet chciał cię ukatrupić!

- Ale mu się nie udało – odrzekłem ze stoickim spokojem.

- Nie, ale prawie oderznął ci paluch! A wiesz co jest najgorsze? Nie, ty nie wiesz. Nie wiesz, bo jak każdy białas myślisz tylko o sobie!

- Ale o co ci właściwie chodzi?

- O to, że mi się bez pytania do łóżka wpakowałeś. Naprawdę trzeba być niezdrowym na umyśle, żeby chcieć jechać taki kawał drogi po tych wszystkich nocnych przejściach, z chłaśniętym paluchem...

- Stary, a czy mam wyjście? Dlaczego zaatakowano mnie właśnie tutaj?

- Może ktoś ma po prostu na ciebie żylę?

- I lata za mną po tym zadupiu?! Przecież ostatnie tygodnie spędziłem spokojnie w kraju, pod swoim oficjalnym adresem, nudząc się jak mops. Czemu nie wtedy i nie tam, tylko tu i teraz? Pomyśl – dostaję list od Sary. Ruszam w drogę i gdy jestem już całkiem blisko celu podróży, zostaję napadnięty. Zresztą...

Nagle przypomniałem sobie moją przygodę w Kairze.

- Kłopoty miałem już w Egipcie. Ledwie uszedłem z życiem zgrai Arabów, którzy, gdyby mnie dopadli, niechybnie by zlinczowali – powiedziałem i w kilku słowach przedstawiłem przyjacielowi swoją przygodę. Wtedy rzecz jasna myślałem, że zajście było wynikiem nieszczęśliwego zbiegu okoliczności, ale teraz, przypominając sobie poszczególne sceny, zacząłem podejrzewać, że nie musiało tak być. Teraz dałbym głowę, że handlarz i dziewczyna, którzy kłócili się tak zajadle, co chwilę spoglądali ukradkiem w moją stronę. Nubijska była wyjątkowo atrakcyjna! Przypadek? Niewykluczone, ale może chodziło o to, by przyciągnąć skuteczniej moje zainteresowanie... A poza tym, czy Arab faktycznie mógł PRZYPADKIEM nie trafić zawartością wiaderka w dziewczynę, tylko we mnie? No i tutaj też przecież ktoś mi coś dosypał do żarcia...

- Wydaje mi się, że jesteś nazbyt podejrzliwy... - Kebanga nie był przekonany.

- A ja jestem pewien, że ataki na mnie mają jakiś związek z Sarą! – powiedział dobitnie. – Tylko jaki? Muszę się tego dowiedzieć, bo Sara też może być w niebezpieczeństwie. Nie rozwikłałam tego tutaj, kłapiąc z tobą dziobem, ale tam – energicznie wskazałem na zachód. – Nad jeziorem Kiwu!

Kebanga machnął ręką, widząc, że dalsze przekonywanie mnie nie ma sensu. Spakowaliśmy resztę kłopotów i wskoczyliśmy do jeepów.

&&&

Jechaliśmy w dwa wozy. W pierwszym jechałem ja i Ugwe, w drugim jeden ze strażników o imieniu Kalumba. Kalumba miał się do nas odłączyć po drodze i zająć się liczeniem słoń w jednym ze stad, które powinno było teraz znajdować się gdzieś w rejonie południowego krańca okresowej rzeki Sugutal. Jechaliśmy wolno, w dość trudnym, pagórkowatym terenie, ale zgodnie z planem. Na pierwszy biwak zatrzymaliśmy się po przebyciu niemal trzystu kilometrów afrykańskiego buszu. Podczas męczącej podróży prawie nie rozmawiałem z Ugwą, oddając się, skądinąd zupełnie jałowym, rozmyśleniom. Kiedy wreszcie zatrzymaliśmy się było już późno i trzeba było zabrać się za przygotowanie jedzenia i noclegu i na rozmowę znowu nie było czasu. Zresztą chyba żaden z nas tak naprawdę nie miał na nią ochoty. Po blisko czternastu godzinach jazdy po niewyobrażalnych wertepach każdy z nas czuł się, jak operator młota pneumatycznego po nadgodzinach. Nie wiedziałem nawet, czy moja głowa jest na swoim miejscu i wolałem tego nie sprawdzać. Po kolacji, gdy rozsiedliśmy się wygodnie z kawą wokół ogniska okazało się, że Kalumba potrafi grać na kalimbie, afrykańskim instrumencie, przypominającym kształtem niezbyt dużą drewnianą szkatułkę, która między grubymi ściankami ma rozpięte metalowe paski. Kalumba, trzymając pudełko w dłoniach i uderzając kciukami w owe paski, potrafił z zadziwiającą swobodą wydobywać całkiem sympatyczne dla ucha układy melorytmiczne. Nagle przestał i skierował się do swojego jeepa. Wrócił niebawem taszcząc chekere, instrument zwany po afrykańsku agbe i kalangu. Chekere to po prostu wysuszona tykwa, na którą nałożona jest siatka z koralikami z dużych nasion. Prostota tego instrumentu jest odwrotnie proporcjonalna do jego możliwości rytmicznych i we wprawnych rękach chekere staje się autentyczną maszyną rytmiczną. Kalumba instrument ów pozostawił sobie, a bęben kalangu podał Kemandze. Rozpoczął się koncert, jaki wysłuchać można tylko w Afryce. Moi towarzysze rozpoczęli od prostych pieśni w metrum cztery czwarte i trzy czwarte. Szybko jednak rozkręcali się. Kalumba zmienił kalimbę na chekere i rozpoczął perkusyjny popis. Uderzał w

tykwę, przechylając ją odpowiednio, a nawet podrzucając. Jego dłonie, w bezustannym ruchu, błędziły po całym instrumencie, dobywając coraz to nowe brzmienia. Kebanga starał się nie pozostawać w tyle, chociaż był zapewne gorszym muzykiem od partnera. Przede wszystkim trzymał rytm, jedynie w niewielkim stopniu korzystając z możliwości przestrajania bębna. (Kalangu, czyli afrykański bęben mówiący, to wydrążony fragment pnia drzewa o długości około siedemdziesięciu centymetrów i kształcie klepsydry, na którego końce naciągnięte są membrany ze skóry zwierząt. Przez obramowanie membran przebiega sznur, który umożliwia płynną zmianę napięcia membran, a przez to zmianę wysokości dobywanego dźwięku. Instrument na ogół trzyma się pod pachą, naciskając ramieniem na sznur strojący oraz uderzając w bęben pałką). Muzycy – moi towarzysze z pewnością w pełni zasługiwali na tę zaszczytną nazwę – rozpoczęli właśnie nową pieśń. Zdało mi się, że jest to jakiś znany mi afrykański, chyba nigeryjski taniec obrzędowy. Zacząłem klaskać i dla zabawy liczyć metrum (wyszło mi sześć ósmych), ale Kalumba wszedł na wyższy bieg, rozwijając improwizację. Wywrócił stabilny dotychczas rytm do góry nogami i pogubiłem się. Pozostało mi tylko słuchanie i przyglądanie się dwóm Murzynom. W blasku ogniska cała scena stawała się coraz bardziej nierealna, magiczna. Kołysany rytmem – usnąłem.

&&&

Noc minęła spokojnie. Albo poza zabójcą rozerwanym na strzępy poprzedniej nocy nikt za mną nie gonił, albo ci, co chcieli mnie dorwać, zmienili na jakiś czas taktykę. Może planowali właśnie jakąś skuteczniejszą akcję? Zjedliśmy małe co nieco, szybko zwinęliśmy obozowisko i ruszyliśmy w dalszą drogę.

Dochodziło południe i dojeżdżaliśmy do miejsca, w którym Kalumba miał się od nas odłączyć i rozpocząć samotną podróż, kiedy nasze nozdrza zaatakował potworny fetor.

- Chyba jakiś twój podopieczny dostał sraczki – zawołałem do Kalumby, gdy jeepy stanęły.

- To musieć być wielka sraczka, pan Dan – odpowiedział Murzyn i wyskoczył z auta.

- Tak wielki smród może być wywołany tylko wielką ilością rozkładającej się padliny – ponuro stwierdził Kebanga i szybko podążył za swym podwładnym.

- Eeee – zawołałem – co się tak spieszysz? W końcu to jest busz a nie Hilton, więc pewnie nieraz śmierdzi jak cholera. Przecież zwierzęta nie żyją wiecznie...

- Pewnie, że nie, ale też ich zwłoki nie leżą wiecznie - rzucił przez ramię.

Nie miałem nic lepszego do roboty, więc pognałem za strażnikami.

- Padlina jest na ogół błyskawicznie pożerana przez drapieżniki i padlinożerców – kontynuował Kebanga - a nawet jak w pobliżu nie ma żadnego dużego ssaka, ani gromady sępów, to są jeszcze owady: mrówki i przeróżne chrząszcze żerujące w gnijącym mięsie. W dodatku jest raczej sucho, a to też nie sprzyja takim zapachom.

Przedarliśmy się przez gąszcz karłowatych krzewów i stanęliśmy na niewielkie polanie. Smród stał się nie do opisanego, a widok dorównywał smrodowi. Na polanie leżało siedem słoń, podziurawionych z broni maszynowej, jak sita. Wszystkie miały odcięte ciosy.

- No to mam problem – powiedział spokojnie Kebanga.

Stałem oniemiały. Czułem tylko, jak krew się zaczyna we mnie burzyć.

- Skurwysyny – wydyszałem wreszcie.

- Kto? – z niezmaconym spokojem zapytał Kebanga.

- No ci... - zadławiłem się. – Te...

Nie dokończyłem, bo jedno na co mnie było stać w tej chwili, to jeden, niepohamowany bluzg.

- „Ci” i „te”, te skurwysyny, jak raczyłeś określić typków, którzy dokonali tej masakry, to zapewne przeciętni mieszkańcy jednej z okolicznych wiosek. Tacy jak ja i Kalumba. Tyle, że nam się udało dostać legalną pracę, a oni nie mieli tyle szczęścia.

- Czyli co? Nie będziesz ich szukał?!

- Ależ będę. Taką mam pracę. Tylko nie mam zamiaru ich oceniać.

Smród i widok rzezi nie pozwalały mi jasno myśleć. Chciałem zemsty. Powoli jednak zaczynała się do mojej świadomości przebijać inna perspektywa sceny, którą miałem przed oczami.

- Pomógłbym ci ich dorwać... ale sam wiesz. Musimy jechać – powiedziałem smętnie. – Ja muszę...

Pomyślałem, że może Kebanga będzie chciał od razu rozpocząć śledztwo. Zrozumiałbym to. W razie potrzeby mogłem jechać dalej sam.

- Nie przejmuj się. Zaraz pojedziemy. To nie jest pilna sprawa.

- Jak to? – zapytałem zdziwiony.

- Wiem chyba, kto to zrobił. Widzisz, na tym terenie od co najmniej dwóch lat grasuje szajka kłusowników. Łapię ich, odstawiam do Nairobi, a oni po paru dniach są z powrotem.

- Ale jak to możliwe?

- Forsa, kolego, forsa. Ty myślisz, że te czarnuchy same wpadły na pomysł, że można dobrze zarobić na kości słońskiej? Że sami się postarali o taką broń? Popatrz na te rany! – Kebanga

nagle wybuchnął i wściekle pociągnął mnie w stronę najbliższego trupa. – No? Jak myślisz? Co to było?

- A skąd mam wiedzieć, do cholery! Na pewno jakaś ręczna broń automatyczna, kaliber co najmniej dziewiątka. Może UZI? Jak chcesz mogę poszukać łusek...

- Nie trzeba. To były Kałasznikowy.

„No tak”, pomyślałem, „Kałasze się tutaj zapewne lepiej sprawdzają niż broń zachodnia. Poza tym Afryka była intensywnie zbrojona przez Ruskich, bo miał to być jeszcze jeden zakątek świata opanowany przez komunizm”.

- Mogłem domyślić się, że to Ruscy...

- Ruscy, nie Ruscy! – Kebanga przerwał mi miotając iskry z oczu. – Ty nic nie rozumiesz! Ruscy, Amerykanie, Włosi, Angole! Nie ma znaczenia jaka nacja! Takie interesy – Kebanag złapał mnie za barchatki i potrząsnął – robią tutaj wszystkie białasy. Rozumiesz?!

WSZYSTKIE!

- Kurza d... twarz! Chłopie! Ale czego ty chcesz ode mnie?! Szlag mnie trafia tak samo, jak ciebie!

- Nie tak samo – Kebanga uspokoił się. - Tobie jest żal zwierząt, a mnie jest żal także ludzi. Tych kilku czarnuchów zabija, bo chcą lepiej żyć. Być może, gdyby zaprzestali kłusownictwa ich rodziny nie miałyby co jeść. Oni to robią za jakieś parę dolców, a naprawdę wielką forszę trzepią ci, co im ten interes naraili. Biali żerują na całej Afryce. I tak naprawdę nikt nie chce nam pomóc.

Teraz dopiero dotarł do mnie sens słów Kebangi.

- Rozumiem cię, stary, nawet nie wiesz, jak cię rozumiem...

Wróciłem do jeepa i patrzyłem tępo na krzątających się strażników. Nie wiem czemu przypomniałem sobie swój kraj ojczysty z... tamtego okresu. Wtedy też byli nieosiągalni mocodawcy z bratniego narodu. I zgraja dyspozycyjnych kolaborantów. Była klika sekretarzy i generałów, bijących pokłony przed tamtymi, a pociągających za sznurki tutaj, wysyłających w bój szeregowie męty, które po prostu chciały lepiej żyć. Zawsze ktoś, gdzieś chciał lepiej żyć, zawsze ktoś to wykorzystywał i zawsze ktoś z tego powodu cierpiał. Zawsze i wszędzie.

Biali wybili u siebie co się dało, wyróżnili całe gatunki, wiele z tych, które przetrwało, zdziesiątkowali, zdewastowali naturalne siedliska zwierząt. Teraz są za ochroną przyrody w Afryce, tej ostatniej ostoje dzikiej zwierzyny na świecie, tego ostatniego megaekosystemu, którego człowiek nie zdążył jeszcze do cna zmienić. Nie przeszkadza im to jednak w niszczeniu, jeżeli stoi za tym zysk lub przyjemność. Kto handluje kością słoniową? Białasy.

Kto kupuje kość słoniową? A jakże, też białasy. Kto był zatem winny? Strzelające czarnuchy, czy zas... zafajdani biznesmeni i ich zafajdana klientela?

Zszedłem z jeepa i rzygnąłem, kryjąc się za burtą wozu. Rzygnąłem po części z koszmarnego smrodu, a po części z obrzydzenia, że należę do rasy biznesowo-rozrywkowej. Paw pozwolił mi trochę otrzeźwieć i okiełznać nienawiść, w której się sam napędzałem. Dobrze zrobiłoby mi kilka głębokich oddechów, ale w tych warunkach sanitarnych nie było to możliwe.

- Mam go! – zawołał nagle Kalumba, usiłując wyciągnąć coś z krzaków.

Ruszyłem pędem na pomoc przekonany, że strażnik złapał jednego z kłusowników.

- Spoko, pan Dan – Murzyn uspokajająco uniósł rękę. – Pan się lepiej nie wtrąca.

Po chwili Kalumbie i Kemandze udało się wyholować z krzaków... słońiatko! Maluch był tak przerażony i zrezygnowany, że nie tylko nie usiłował się bronić, ale praktycznie nie stawiał oporu. Widziałem kiedyś takie osierocone słoniki w Birmie, w specjalnie prowadzonym dla nich przytułku. Nie był to miły widok, choć pracującym tam, pełnym poświęcenia ludziom wiele słońi udało się uratować. Słonie pod wieloma względami są bardzo podobne do nas. Żyją, jak ich jakiś rządny zysku złób przedwcześnie nie zabije, mnie więcej tyle co my.

Najbardziej wiekowe osobniki przekraczają setkę, ale norma to około osiemdziesięciu lat. Są inteligentne, na ogół spokojne, ale czasami potrafią wpaść w niszczycielską furję, na ogół spowodowaną głodem. Żyją w grupach, z oddaniem opiekują się potomstwem, mają nawet podobno własne cmentarze – wybrane miejsca, do których udają się stare osobniki, by dokonać żywota. Obserwując zachowania młodych słońi w Birmie doszedłem do wniosku, że miłość i przywiązanie odgrywają w ich życiu ogromną rolę. Opiekunowie sierot musieli wykazać się niezwykłą cierpliwością i uczuciem, by przekonać maluchy, że chociaż ich matka została zabita, jednak warto żyć. Stres związany z utratą rodziców jest dla nich tak duży, że załamują się psychicznie zupełnie jak ludzie po stracie bliskiej osoby. I czasami nie potrafią się z tego smutku już otrząsnąć...

- To jednak dalej jedziesz sam – powiedział Kebanga, głaszcząc słońiatko. – Tutaj na pewno nie znajdziemy dla niego rodziny zastępczej, a zostawiając go samopas skazałobyśmy go na śmierć. Ja zostanę tu z malcem, a Kalumba pojedzie do obozu po ciężarówkę. No, Dan, wsiadaj do jeepa i jedź. Tutaj nic po tobie.

- Jasne.

Czułem, że Kebanga wciąż ma do mnie jakiś irracjonalny żal. Jego gniew był słuszny, chociaż nie uważałem, bym był najlepszym obiektem do jego wyładowywania. Poza tym wiedziałem, że mu przejdzie i znowu będziemy kumplami.

- A co z jeepem – zapytałem oschle.

- Nie martw się. Zostaw go w porcie w Kisumu. Ktoś po niego przyjedzie później.

Wsiadłem do jeepa i odpaliłem silnik.

- Trzymaj się Kebanga. Jak będę na miejscu wyśle kartkę – spróbowałem zażartować.

Wrzuciłem bieg i już miałem puścić sprzęgło, gdy usłyszałem głos Ugwy:

- Dan... Uważaj na siebie. Będę się za ciebie modlił do Allacha.

Uśmiechnąłem się blado, dałem gazu i jeep ruszył. Pomachałem ręką nie odwracając się w stronę przyjaciela. Nie chciałem by widział teraz moje oczy.

VIII

Dalsza podróż była prawdziwą drogą przez mękę. Do tej pory prowadził Kebanga, który Kenię znał jak własną kieszeń i jechaliśmy pewnie nawet wśród kanionów porośniętych rzadką roślinnością oraz przez dżunglę, oblepiającą stoki góry Kenia. Teraz pozostałem sam, skazany na własną intuicję, doświadczenie i teoretyczną znajomość topografii tego rejonu Afryki. Na szczęście rozległych rozpadlin, charakterystycznych dla wschodnich rubieży kontynentu, było coraz mniej, bo wtedy zapewne zagubiłbym się w ich labiryncie. Niemniej zarówno ukształtowanie terenów, jak i nieustannie zmieniająca się roślinność, przechodząca od gęstych lasów tropikalnych przez suche obszary trawiaste, busz, aż po wilgotne sawanny otaczające jezioro Wiktorii, solidnie dawały mi się we znaki. Co rusz pakowałem się albo w jakieś zarośla, których nie byłem w stanie przebyć jeepem, albo musiałem objeżdżać pola uprawne agawy, które tworzyły zwarte, nieprzebyte gąszcze. Wraz z mijającymi kilometrami coraz wyraźniej przekonywałem się, że obszary, przez które się przedzierałem, kształtowała nie tylko przyroda. Niemały wpływ na szatę roślinną miał też w tych okolicach człowiek.

Z końcem poprzedniego stulecia Kenię podbili Anglicy i błyskawicznie przystąpili do podziału łupu. Kolonizatorzy zajęli wyżej położone tereny kraju, obdarzone zdrowym klimatem i żyzną ziemią, zaś rdzenną ludność zepchnęli na nieurodzajne stepy oraz bagniste i malaryczne niziny. Dokonano też oficjalnego podziału ziem, w wyniku którego biali, w liczbie około trzech tysięcy, zagarnęli najlepsze tereny, a pięć milionów Afrykańczyków stłoczono na obszarze porównywalnym pod względem powierzchni do tego, który zaanektowali Anglicy, a w dodatku niemal pozbawionym wartości. Zarząd kolonii, reprezentujący bezpośrednio Koronę, aby ostatecznie uzależnić od siebie ludność tubylczą, nałożył na wszystkich kosmiczne podatki. Stworzono tym samym warunki, w których

autochtoni, aby przetrwać, musieli wynajmować się do, de facto, niewolniczej pracy na plantacjach białych właścicieli. Taka polityka białych nie tylko nie mogła podobać się kenijskim Murzynom, ale doprowadziła do walk wyzwoleniczych. Raz rozbudzonej energii nie była w stanie powstrzymać nawet armia wyposażona w czołgi i samoloty bojowe. Zjednoczone pod przywództwem Kikujusów szczepy Embu, Meru, Marabi, Wakamba i inne nie poddawały się. W drugiej połowie lat 50. w obozach koncentracyjnych na terenie Kenii znalazło się blisko sto tysięcy Murzynów, także kobiet i dzieci. Niezłomność czarnej ludności została nagrodzona w 1963 roku – kraj odzyskał niepodległość i szybko stał się lokalnym wzorem postępu i gospodarności.

Postęp i gospodarność. To były określenia, które z jednej strony miały zdecydowanie pozytywne zabarwienie, napawały wiarą w przyszłość. Z drugiej jednak strony kryło się za nimi zawsze coś złowieszczonego, niszczycielko. Postęp wiązał się bowiem na ogół z mniej lub bardziej brutalną ingerencją w przyrodę. Mnie owa podyktowana zbożnymi intencjami ingerencja coraz mniej się podobała, bo właśnie po raz kolejny utknąłem przed ścianą sizalowej plantacji. Na szczęście biegła wzdłuż niej całkiem przyzwoita, twarda i w miarę równa droga, więc mogłem z mojego jeepa wycisnąć wreszcie jakąś przyzwoitą prędkość (dotychczas przez cały dzień podróży nie udało mi się przekroczyć czterdziestu kilometrów na godzinę, a i to sporadycznie, a średnia błąkała się pewnie gdzieś w okolicach prędkości, jaką mógł rozwinąć szczęśliwy posiadacz roweru marki Ukraina i to pod górę).

Kiedy wreszcie dojechałem do skraju plantacji i mogłem znowu obrać odpowiadający mi kierunek jazdy, zaczęło zmierzchać. Byłem skonany, więc rozejrzałem się za jakimś odpowiednim, zacienionym miejscem na postój. Zatrzymałem auto pod kępą rachitycznych akacji i wysiadłem, by rozprostować kości. Szybko jednak wróciłem do wozu. Nawet ognia nie chciało mi się rozpalać ze zmęczenia. Otworzyłem tylko nową butelkę z wodą, pociągnąłem kilka łyków, zjadłem trochę suszonego mięsa antylopy, przegryzłem je plackiem z prosa, znowu popiłem i uznałem, że czas lulu. Rozłożyłem fotel i ułożyłem się wygodnie we wnętrzu jeepa.

&&&

Nazajutrz, świeżutki i wyspany, pełen niczym nieuzasadnionego optymizmu, po kubku kawy i kolejnym zbożowym placku, pogałem jeepem na spotkanie z przygodą. Droga tym razem przebiegała bez większych zakłóceń i poruszałem się całkiem sprawnie ze średnią prędkością dochodzącą do pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Dzięki temu już

wczesnym popołudniem dotarłem do Kisumu i od razu udałem się na poszukiwanie łodzi. Nie zdążyłem się nawet dobrze rozejrzeć na nabrzeżu, kiedy podszedł do mnie młody, wielki Murzyn. Nie był może formatu Kebangi, ale i tak wyglądał imponująco.

- Kutasama – powiedział, zachodząc mi drogę.

- Że co? – wolałem się nawet nie domyślać o co mu chodzi.

- Kutasama – powtórzył głośniejszym głosem, jakby z naciskiem.

- Ale kto? – postanowiłem iść w zaparte.

- Ja. Ja jestem Makumba Kutasama. Chciałem zaproponować białemu panu łódź.

Zawsze dziwi mnie, dlaczego jak biały mówi na czarnego czarny, to jest przejaw rasizmu, a jak czarny mówi na białego biały, to wszystko jest w porządku, a nawet interpretuje się taką frazeologią, jako przejaw szacunku. Może chodziło o intonację? A może po prostu czarni się źle czuli ze swoim kolorem skóry? Nigdy nie mogłem tego rozgryźć. W końcu nie można wszystkiego składać na karb kolonializmu. Jednakże o wiele bardziej zainteresowało mnie skąd ten typ domyślił się, że potrzebuję łódź. Nie mogłem wykluczyć, że po prostu nagabywał każdego faceta z walizkami, jaki pojawiał się na nabrzeżu. No tak, z moim intelektem jednak wciąż nie było zbyt dobrze. W końcu po co miałby się po porcie szwędzać facet z bagażem, jak nie z zamiarem wynajęcia łodzi? To było logiczne. Ale wcale niemniej prawdopodobna była wersja, że Kutasama po prostu nie musiał się domyślać. A nie musiał, bo WIEDZIAŁ, że się tu zjawię po łódź. W obu przypadkach nie od rzeczy było skorzystać z usług Murzyna, a przynajmniej zorientować się co oferuje i za ile. Przecież potrzebowałem łodzi, to po pierwsze, a po drugie, jeżeli Kutasama proponował mi swe usługi w złej wierze, lepiej było wsiąść na łajbę z podejrzeniami, że ktoś chce mi dopiec, bo wtedy przynajmniej zachowałbym wzmoczoną czujność, niż dać się skasować w błogiej nieświadomości czyhającego zagrożenia.

- No to pokaż, co tam masz, robaczku – odezwałem się jowialnie i wyszczerzyłem zęby w uśmiechu.

Łódź Kutasamy okazała się jedenastometrowym, solidnym kutrem, wyposażonym w potężnego Diesla i przystosowanym do rejsów po pełnym oceanie. W przypadku jeziora Wiktorii, zwanego przez miejscowych Ukerewe, miało to sens. Było to przecież pod względem rozległości powierzchni trzecie jezioro świata, po Morzu Kaspijskim w Azji i jeziorze Górnym w Ameryce Północnej, na pograniczu USA i Kanady, rozległe na blisko siedemdziesiąt tysięcy kilometrów kwadratowych, czyli niewiele mniej niż jedna piąta obszaru Bałtyku. W dodatku jest to jezioro raczej płytkie, którego maksymalna głębokość nie przekracza osiemdziesięciu metrów. Na takich akwenach, podczas porywistych wiatrów mogą powstawać nie lada fale, dochodzące do trzech, a podobno nawet i czterech metrów. W

dotatku nie są to fale, jak na oceanie, a więc o łagodnych grzbietach, ale ostre, krótkie grzywacze, gotowe wywołać nie tylko chorobę morską, ale niszczyć i rozwalać. Po wstępnym obejrzeniu kutra doszedłem do wniosku, że można w nim bez większych problemów przetrzymać nawet największy sztorm. A ponieważ cena za przewózkę do Bukoby w Tanzanii też była przystępna, nie namyślając się wiele przyjąłem propozycję Kutasamy. W dodatku w rufowej części kutra znajdowała się całkiem sympatyczna, chociaż nieco niska kajuta, którą można było zamknąć z zewnątrz na kłódkę. Najwyraźniej Kutasama był przygotowany na różne okoliczności i różne zachcianki klientów. To też mi odpowiadało, zważywszy, że wiozłem ze sobą spory arsenał. Zapłaciłem sternikowi zaliczkę, wrzuciłem walizy do kajuty i obwieściłem, że idę po kłódkę. Murzyn wrzucił tylko ramionami i powiedział, że bym się nie spieszył, bo też ma do załatwienia kilka spraw i wróci najwcześniej za godzinę. Opuściliśmy więc łódź razem, a Kutasama zamknął drzwi zejściówki na solidny zamek. Patrzyłem za nim, aż zniknął w jednej z uliczek prowadzących w głąb miasta. Nawet się nie oglądnął. Albo był z niego niezły cwaniak, albo go g... guzik obchodziło, co mam zamiar teraz robić. W sklepie żelaznym kupiłem solidną kłódkę z patentowym zamkiem za zupełnie obłąkańcze pieniądze (uznałem jednak, że taki wydatek się opłaci) i poszedłem do najbliższej tawerny zasięgnąć języka. Tawerna nazywała się Pod Zgniłym Krokodylem i okazało się, że Makumba Kutasama był w niej nie tylko dobrze znany, ale cieszył się znakomitą opinią. Od opuszczenia łodzi minęło niemal pół godziny. Wrzuciłem szybko coś na ruszt i poszedłem w stronę nabrzeża. Do powrotu Kutasamy miałem jeszcze chwilę, ale wolałem trzymać rękę na pulsie. Już z oddali zauważyłem, że przy drzwiach prowadzących pod pokład kutra majstruje jakiś facet. Biały! Ruszyłem z kopyta w stronę łodzi. Miałem szczerzy zamiar obić mu pysk i wydusić, choćby i torturami, co lub kogo chciał znaleźć. Gość jednak, jakkolwiek zdawało się, iż całkowicie pochłonięty jest zamkiem, musiał mieć nad wyraz podzielną uwagę, bo nie przebiegłem nawet dziesięciu metrów, a już mnie sk... skulati zauważył. Rzucił swoją robotę, zwinnie zeskoczył na pomost i pognał, jakby chciał pobić rekord na setkę. Nie miałem najmniejszych szans, by go dopaść, więc zwoleńłem krok. Zauważyłem, że był to postawny, wysportowany mężczyzna. Istny okaz zdrowia, siły i wytrenowania. „A więc”, pomyślałem o moich prześladowcach, „kimkolwiek są, już tu są. Najwyraźniej idą za mną trop w trop... Albo... Albo wiedzą dokąd zmierzam i przewidują każdy mój kolejny ruch”.

Wszedłem na kuter i obejrzałem zamek. Nie nosił żadnych śladów wskazujących na próbę włamania.

„Zawodowiec”, przemknęło mi przez głowę. W tym samym momencie ktoś wskoczył na pokład.

IX

Odwrociłem się gotów stoczyć walkę, ale to był tylko Kutasama. Nic nie wskazywało, by miał wobec mnie jakieś brzydkie zamiary.

- Coś się stało?- zapytał, widząc moją gwałtowną reakcję.

- Przed chwilą był tu jakiś facet i chciał się dostać do środka - odpowiedziałem.

Nie widziałem powodów, by skrywać przed nim zdarzenia z ostatnich kilku chwil.

- To pewnie drobny złodziejasek. Pełno tu takich – sternik, mówiąc to, machnął bagatelizująco ręką.

Facet wyglądał raczej na agenta służb specjalnych niż złodziejaska, ale postanowiłem, że na razie nie będę się przed Kutasamą zdradzał ze wszystkimi swoimi podejrzeniami.

Mieliśmy wypłynąć dopiero jutro rano, ale mnie upływający czas zaczynał z każdą chwilą uwierać coraz bardziej.

- Słuchaj, Makumba – zwróciłem się do sternika. – Czy nie moglibyśmy wyruszyć jeszcze dzisiaj.

- Nie chce pan zwiedzić Kisumu? To dość ciekawe miasto i...

- Może innym razem – przerwałem mu. – Trochę mi się spieszy.

Kutasama był najwyraźniej dyskretnym gościem, bo się nawet nie zająknął na temat mojej gwałtowności w zmianie planów.

- Właściwie kuter jest przygotowany, paliwo zatankowane, prowiantu mamy na cztery dni z okładem. Możemy odbijać w każdej chwili.

- No to jazda! – zawołałem i klepnąłem go ochoczo w szerokie plecy

Reszta dnia minęła nam na wodzie w sposób leniwie relaksowy, wręcz sielski. Jezioro było spokojne, kuter wyciągał bez najmniejszych problemów prędkość osiemnastu mil morskich, a Kutasama za sterem sprawiał nad wyraz kompetentne wrażenie. Mogłem więc wylegiwać się na pokładzie, rozwalony w leżaku, i podziwiać widoki, niby jakiś nowobogacki turysta na zagranicznej wycieczce. Było tak pięknie, że nawet myśleć mi się nie chciało, co uznałem za swoiste błogosławieństwo losu. W każdym razie uważałem, że stan permanentnej bezmyślności jest w tej chwili dla mnie o wiele bardziej korzystny, niż rozpoczęcie kolejnego ciągu jałowych rozważań o wszystkim i o niczym. Wystawiałem więc swe starcze ciało do

słońca, dając się kołysać falom. Gdybym był bardziej pewny Kutasamy, pewnie uciąłbym ślumra. Jednakże wydarzenia ostatnich dni rozbudziły we mnie zawodową podejrzliwość i chociaż sternik, jak dotychczas, zachowywał się nienagannie, wolałem go mieć na oku. Ponieważ absolutnie nic się nie działo, podzemywałem trochę, zachowując cały czas niezbędną czujność. Tak nadszedł zmierzch.

- Szefie – usłyszałem głos Kutasamy, dobiegający zza koła sterowego. – Szefie, nie przejąłby pan steru? Zmierzcha się i warto byłoby chyba coś przetrącić. Pan by popilnował kursu, a ja szybko coś upitraszę.

- OK – zgodziłem się ochoczo, bo muszę przyznać, że już mi się to moje byczenie zaczynało nudzić. – Skoczę tylko na chwilę na dół i zaraz jestem.

Zbiegłem do swojej kajuty i na wszelki wypadek zajrzałem do waliz z bronią. Wszystko było w porządku. Wziąłem do ręki pistolet i przez chwilę zawahałem się. Wprawdzie sternik był jak na razie wzorem cnót wszelakich, ale nadchodziła noc. Wzruszyłem ramionami. A co mi tam, lepiej dmuchać na zimne. Sprawdziłem stan magazynka i wsunąłem broń za pasek od spodni. Zamknąłem walizkę i wyszedłem z kajuty. Na drzwiach zatrzasnąłem patentową kłódkę i lekkim krokiem wybiegłem na pokład.

- No, jest pan – ucieszył się Kutasama. – To jak, szefie? Posteruje pan trochę?

- Z czystą przyjemnością, synu.

Odebrałem od niego ster.

Kuatasama zniknął pod pokładem i po chwili z kambuza dobiegły mnie odgłosy krzątania. Zostałem sam z kutrem, sterem i beżmiarem wód. Poczułem się, jak chłopiec, marzący o nieznanym i niewypowiedzianym. Byłem samotnym żeglarzem zmierzającym na spotkanie przygody. Ocean toczył swe fale. W głębi czaiły się krwiożercze monstra o wielu mackach, horyzont skrywał nieznanne lądy: wyspy skarbów, zaginione cywilizacje, archipelagi zasiedlone przez prehistoryczne giganty, dinozaury, owady wielkości samochodu, cyklopy. Wszędzie czekały niezgłębione tajemnice, a ja płynąłem ku nim, by odmienić swoje życie. Miałem pięćdziesiątkę na karku, niejedno widziałem i niejedno przeżyłem, nieraz dostałem baty i nieraz musiałem spuścić lanie swoim przeciwnikom, przygodami, które przeżyłem można by było obdarzyć gromadę mężczyzn, prowadzących zwykle, nudne, szare życie. A jednak teraz, stojąc za sterem kutra, gdzieś na środku jeziora Wiktorii, przyłapałem się na tym, że wciąż siedzi we mnie ten sam marzyciel i romantyk, ten sam niespokojny duch, który pchnął mnie bez mała trzydzieści lat temu w szeroki świat. I nagle, zdradziecko i bez ostrzeżenia ogarnęła mnie nostalgia. Zalała mnie fala sentymentalnych wspomnień z dzieciństwa, z młodości, z tego zapyziałego kraiku realnego socjalizmu, zagubionego gdzieś

na marginesie (a być może nawet poza nim) Wielkiej Starej Cywilizowanej Europy. Przypomniałem sobie „matchboxy”, które załatwiała mi spod lady mama koleżanki z klasy, giełdę książek pod Halą Targową, na którą biegałem, by kupić to, czego nie było w księgarniach, wyprawy mojej mamy do sklepu mięsnego o drugiej w nocy, która po odstaniu ośmiu godzin w kolejce, wracała do domu z kawałkiem kielbasy, albo konserwowej szynki, pierwszego psa, pierwszą poważną lekturę, czyli powieść Sienkiewicza „W pustyni i w puszczy”, do której potem wracałem wielokrotnie, zapach szynki na święta (takiej prawdziwej, co najmniej pięciokilowej, ze sterczącym ze środka gnatem, obwiązanej sznurkiem, wędzonej w jałowcu, a wywalczonej przez babcię w sposób, który dla mnie, małolata, pozostawał tajemnicą), panią z księgarni Wydawnictwa Literackiego, która chowała dla mnie książki Lema, moją pierwszą prawdziwą miłość (Joannę pamiętam do dzisiaj i za każdym razem, jak o niej pomyślę, szlag mnie trafia, że wtedy, w podstawówce, nie potrafiłem zrozumieć, co do niej czuję), moją pierwszą płytę z jazzem, wydaną przez czechosłowacki Supraphon, na której śpiewały: Ella Fitzgerald, Billie Holiday, Sara Voughan i Lena Horn...

- Szefie – wspomnienia przerwał mi głos sternika. – Szefie, kolacja gotowa.

&&&

Po kolacji ustaliłem z Makumbą że będziemy płynąć całą noc, wartując przy sterze na zmianę. Zależało mi na czasie. W Bukobie czekały mnie poszukiwania transportu na dalszą część podróży (z tanzańskiego portu pozostawało mi jeszcze ciągle do przebycia około czterystu kilometrów sawanny). Kutasama bał się trochę o łódź i wcale nie zapalił się do mojej propozycji, bym pełnił rolę drugiego sternika. Kilkakrotnie upewnił się, czy miałem już kiedyś do czynienia z żyroskopem i czy na pewno poradzę sobie z nocną nawigacją i utrzymam kurs (do najbliższego brzegu mieliśmy w tej chwili znacznie ponad sto kilometrów). Przekonałem go, że tak. Pierwszy wachtę pełnił Makumba, wyciskając z Diesla ile się dało. Zszedłem do siebie, zamknąłem porządnie drzwi i walnąłem się na koję. Słyszac mozolną pracę silnika pomyślałem, że Makumba, jeżeli tylko wytrzyma całą noc na posterunku, będzie chciał zapewne sam dociągnąć do Bukoby. Jednak nie miał zaufania do moich kwalifikacji motorowodniaka. Przez myśl mi nawet nie przeszło, żeby się tym przejmować. Jeżeli mógłbym przespać aż do celu rejsu, tym lepiej. Przyłożyłem głowę do poduszki i film mi się urwał.

Ze snu wyrwał mnie narastający powoli szum.

- No tak – pomyślałem. – Wszystko wyglądało zbyt sympatycznie, by mogło trwać...

Zerwałem się na nogi z przekonaniem, że coś się do nas zbliża.

- Co się dzieje? – zawołałem w stronę Kutasamy, wyskakując na pokład.

- Jakaś łódź wali w naszą stronę – odpowiedział zza steru. - Sądząc po prędkości to chyba jakiś ślizgacz.

Jego głos zdradzał niepokój.

- Ciekawe jakim cudem nas namierzyli – bąknąłem pod nosem, krzywo patrząc na Kutasamę.

- A może to tylko przypadek, he?

Sternik nie zwrócił na moje słowa uwagi.

- Dogonią nas najdalej za kwadrans – powiedział, manipulując przepustnicą.

Próbował najwyraźniej wydusić z silnika jakieś rezerwy mocy, ale maszyna tylko kaszlnęła ostrzegawczo.

- To dobra łódź, ale nie na wyścigi – głos Makumby brzmiał tak, jakby chciał usprawiedliwić swój kuter za tę jego niezawinioną opieszałość.

Nie miałem wątpliwości, że spotkanie z łodzią zmierzającą w naszym kierunku jest tyleż nieuniknione, co nieprzypadkowe. Najgorsze było jednak to, że nie wiedziałem, czy moimi wrogami są tylko ludzie na tamtym jachcie, czy jest nim też Makumba. Całe jego zachowanie oraz moja intuicja podpowiadały mi, że mogę na nim polegać. A jeżeli tak było w istocie, pozostawienie go w nieświadomości byłoby draństwem. Przecież w tym momencie facet narażał życie w nie mniejszym stopniu niż ja. I to z mojego powodu. Postanowiłem postawić wszystko na jedną kartę!

- Makumba – wypaliłem – masz broń?

Odwrócił się w moją stronę. Jego oczy były jak dwa spodki.

- To jest aż tak źle? – zapytał. – Co to za ludzie?

- Nie czas na szczegóły. Zresztą sam nie wiem. Ale jest prawie pewne, że to o mnie im chodzi. Przepraszam, że cię wpakowałem w tarapaty, ale Bóg mi świadkiem, iż nie przypuszczałem, że będą się uganiać za mną po wodzie.

- Ale co pan im zrobił do cholery?! Zabił pan kogoś? – Kutasama mówiąc to zacisnęła pięści.

- Wręcz przeciwnie, synu – starałem się odpowiedzieć możliwie jak najspokojniej. – Jestem prywatnym detektywem. Zostałem poproszony o pomoc przez jedną ekolożkę, naukowca zajmującego się badaniami i ochroną goryli. Jestem właśnie w drodze do niej, ale ktoś chyba nie chce, żebym dotarł na miejsce. Był już jeden zamach...

- Szlag! – wyrwało się Makumbie. – W co ja się wpakowałem? Dobra dziadku – zmienił nagle ton – wali mi, kim jesteś, do kogo jedziesz i kto na ciebie dybie. Chcesz być zbrojnym

ramieniem Greenpeace'u, twoja wola. Ale ja chcę po prostu jeszcze trochę pożyć! – zaryczał mi prosto do ucha. - Rób co ci się zamarzy, ale ja mam zamiar ratować własną dupę.

- To znaczy?

- Nie mam zamiaru się mieszać. Jak nas dołapią, to spierdzielam pod pokład.

- To może nie być takie proste...

- Co?!

Makumba był młody, zapalczywy, a do tego albo robił w gacie z przerażenia, albo miał wybitny talent aktorski.

- Posłuchaj synu...

- Kurwa, dziadek – jego głos przeszedł niemal w dyszkant – nie jestem twoim synem!

- Jasne chłopie. Nie denerwuj się...

- Jak się mam nie denerwować, jeżeli za chwilę dopadną nas jakieś oprychy i zrobią nam z tyłków wiatrak?! Nie! Co ja wygaduję – nie nam. Nie nam! Tobie!

- Właśnie o tym mówię, a ty mi przerywasz. Myślisz, że jak uda im się zrobić mi kuku to ciebie zostawią w spokoju? Nie łudź się...

- Mam to w duuuupieeee – zawył Makumba.

W tym momencie pokład zasypał grad kul z broni maszynowej. Porzuciliśmy ster, kryjąc się za burtą. Na szczęście była gruba i solidna.

- Ja pierdziu, dziadek, coś ty zrobił?! Zajebią nas obu!

- Widzę, że zaczynasz rozumieć. I z pewnością nie masz w d... w d... w czterech literach, że cię tamci faceci niechybnie nafaszerują ołowiem tak samo, jak mnie. Jedno co możemy zrobić, to się bronić. Jak podwinimy ogon pod siebie, to nas wybiją, jak kaczkę. Wolisz kuszę, czy obrzyna?

- Cooooo? – zajęczał Makumba i mało nie rzygnął z emocji.

- Osobiście polecałbym ci obrzyna. Prosta obsługa – łamiesz lufę, ładujesz dwa patrony i walisz. Zero filozofii. A kusza, widzisz, to jednak wyższa szkoła jazdy. Chyba, że już kiedyś strzelałeś? No?! Decyduj się szybciej, bo są tuż tuż.

Makumba wyjrzał zza burty. Nie był to dobry pomysł, bo mało brakowało, a by w główkę zaliczył. Na szczęście jezioro falowało i ci ze ślizgacza nie mogli dobrze celować.

- Widziałeś?! – oburzył się Makumba (chyba budziła się w nim męska ambicja). – Dostałbym kulkę! Ja im pokażę! Dawaj, dziadku, tego obrzyna. Zobaczą z kim zadarli!

Jednym skokiem rzuciłem się do zejściówki i zjechałem po schodach pyskiem do przodu.

Szybko mi poszło, ale trochę niefortunnie, bo wyrznąłem czółkiem w drzwi. „Cholera”, zakląłem w duchu i pogałem do swojej kajuty. Teraz już zupełnie wyraźnie mogłem

odróżnić ryk silnika wrażej łodzi, od miarowego stukotu naszego, poczciwego Diesla. Ślizgacz musiał być bardzo blisko. Usiłowałem wydobyć klucz od kłódki, klnąc w duchu własną przezorność, ale się drań zaplątał gdzieś na dnie kieszeni. W końcu wyszarpnąłem go, rozrywając portki. Na szczęście ręce wciąż miałem pewne, nawet mi nie drgnęły, kiedy wkładałem klucz do zamka. Zerwałem kłódkę i dopadłem walizy. Otwarłem ją, złapałem w garść kuszę i obrzyna, drugą ręką porwałem woreczek z krótkimi, piętnastocentymetrowymi brzeszczotami oraz pudełko z nabojami i pognałem z powrotem. Czas był najwyższy, bo naszą łódź zalewało ostre światło (reflektor na ślizgaczu musiał mieć z tysiąc watów mocy), a nieszczęsny Makumba zasypywany był gradem kul z odległości nie większej, niż sto metrów. W biegu rzuciłem obrzyna i naboje sternikowi, a sam ułożyłem strzałkę w łożu. Dopadłem burty i siadłem do niej tyłem, wygodnie opierając się plecami o drewno.

- I co teraz? – zajączał żałośnie Makumba. – Tak grzeją, że się nawet czubka głowy nie da wystawić.

- Naładuj broń, siedź i się nie ruszaj – poinstruowałem go.

Ustawiłem lusterka celownicze i zakręciłem korbką, napinając cięciwę. Wychyliłem kuszę nad krawędź burty, starając się złapać w lusterka cel.

- G... guzik widać – stwierdziłem. - Musimy im najpierw ten reflektor rozwalić, bo nas teraz mają, jak na widelcu.

Ustawiłem kuszę dokładnie w kierunku światła. Już miałem strzelić, ale wystraszyłem się, że mogę nie trafić bezpośrednio w żarówkę, a jedynie rozwalić szybkę. Zauważyłem, że ślizgacz zwolnił, ale walił cały czas prosto na nas tym samym kursem. Zapamiętałem dokładnie miejsce, w którym wspierałem kuszę oraz kąt, jaki tworzyła z burtą i odłożyłem ją.

- Dawaj obrzyna.

Nie czekałem na reakcję Makumby, tylko wyrwałem mu broń. Ułożyłem ją dokładnie w takim samym położeniu, jakie zapamiętałem w przypadku kuszy.

- Kurwa, dziadek – załkał Makumba – mózg ci robaki zeżarły?

- Zamknij się – warknąłem.

- O Allachu! Zlituj się nade mną! Stary pierdziel będzie strzelał siedząc tyłem do celu...

Też bym się pomodlił, jakbym miał do kogo. Pociągnąłem za spust. „A może jednak jest jakiś Bóg sprawiedliwy, co pasie baranki swoje”, pomyślałem, bo w tym samym momencie zrobiło się ciemno, jak u Makumby w d... spodniach.

&&&

Goście ze ślizgacza nie ustawiali w wysiłkach i walili w nas ile wlezie, tyle, że wali teraz na ślepo. Na szczęście nie mieli bazooki, bo niechybnie byłoby już po nas. Nadmiernie bystrzy też nie byli, bo tłukli twardo wciąż w to samo miejsce, czyli w nasze pozycje, które zdradził im reflektor. Kazałem się Makumbie przemieścić poza zasięg skoncentrowanego ostrzału, a i sam zrobiłem podobnie, odgryzając się uprzednio kilkakrotnie z obrzyna, by jeszcze bardziej skoncentrować ich ogień. Gdy zajęliśmy nowe pozycje pchnąłem strzelbę po pokładzie w stronę Murzyna i pokazałem mu, żeby na mój znak zaczął haratać w ślizgacz ile wlezie. W lusterkach sprawdziłem jeszcze raz, skąd leci ogień, sprawdziłem czy kusza jest nabita i pokazałem Makumbie, że już. Czekałem na spektakularny wyczyn w stylu Rambo, ale się nie doczekałem.

- Wal chłopie! – wydyszałem w jego stronę teatralnym szeptem. – Ognia! Za ojczyznę!
Nic. Cisza. Żadnej reakcji. „Cholera jasna”, pomyślałem nieco spanikowany, „chyba nie dostał?!”

- Ej, synu! Makumba! Żyjesz?

- Mmm... mmmm... - brzmiało to trochę, jak odpalenie silniczka modelarskiego. -

Mmmmówiłem ci już dziadygo, że nininieeeeeee jestem twoim synem! – zasyczał Makumba, najwyraźniej spietrany w cztery d... jak jasny gwint.

- Dobra, dobra, ale czemu nie strzelasz? Filmów akcji nie oglądasz? Nie jara cię taka jazda? Możesz pokazać kmiotkom, żeś twardziel!

- Ty jesteś, dziadek, nienormalny...

- Może. Tylko, że jak się nie sprężysz, to za chwilę chłopcy ze ślizgacza zrobią ci tatara z twarzy.

- Ale ja nie dam rady...

- K... kurde mol, gościu! Nie bądź łajza! Pomyśl o sławie Zulusów i strzelaj.

- Mam w dupie Zulusów! Zresztą oni byli wrogami mojego plemienia...

- To pomyśl, że na ślizgaczu siedzą sami Zulusi, wódz Zulusów, syn wodza Zulusów, i że możesz im wszystkim dokopać! Za przodków! I zacznij, do kurwy nędzy, wreszcie strzelać!!! (I obiecaj tu człowieku mamusi, że nie będziesz przeklinał, jak taki na baranka strzyżony, bambus kędzierzawy, sr... wali w pory, zamiast się męstwem wykazać!)

Kutasama zebrał całą odwagę, jaką w sobie, niebożę, szczęśliwie był posiadał, wysunął koniec flinty nad burtę i zaczął walić na oślep, trochę w ślizgacz, ale zdecydowanie bardziej trochę w niebo. Ogień z patronów był taki, a także i obrona przez Makumbę trajektoria, że

ktoś o mniejszym doświadczeniu bojowym mógł wziąć grzmoty z obrzyna za ostrzał moździerzowy. Musiałem też przyznać Kutasamie, że uwijał się jak w ukropie i ładował i strzelał raz po raz. Wyczyny mojego druha w niedoli musiały zbić z tropu prześladowców, bo ściana ognia nieustannie wałęsa w kuter, gwałtownie osłabła. „Nic dziwnego”, pomyślałem, „sam bym zdębiał, jakbym miał stawać przeciwko takiemu modelowi”.

Nie było na co czekać. Moment był korzystny, być może jedyny. Zerwałem się na nogi z kuszą gotową do strzału i wpatrzyłem w dryfujący ku nam ślizgacz. Szybko namierzyłem jednego z napastników i spuściłem cięciwę. Strzał był celny. Facet dostał nieco z boku w czachę tak, że nawet nie zdążył jęknąć. Zwalił się na wznak, czego jego kumple szczęśliwym trafem nie zauważyli. Szybko założyłem kolejną strzałkę, pokręciłem korbką i praktycznie bez celowania trachnąłem w gościa, który stał na rozstawionych nogach przy burcie w centralnej części łodzi. Strzał nie był tak precyzyjny, jak pierwszy. Mężczyzna dostał w brzuch, skulił się, okręcił wokół siebie i fiknął do wody.

„Krokodyle się ucieszą”, przeleciało mi z satysfakcją i bez sensu, bo krokodyle raczej nie wypuszczają się na otwarte wody.

Przeładowałem jeszcze raz i palnąłem byle szybko, bo byłem przekonany, że obsada ślizgacza nie może się składać z aż takich debili, by w końcu któryś z nich nie zorientował się, w czym rzecz. Strzał był jeszcze gorszy niż poprzedni – kolejny zbój dostał w udo, całkiem blisko pachwiny, ale niestety nie w samo sedno. Chłopcy pokapowali się wreszcie, co jest grane i zaczęli się chować po kątach. Na moje oko na ślizgaczu zostało jeszcze dwóch sprawnych napastników. Wciąż miałem nadzieję, że się któryś zechce popisać małajecką odwagą, wystawi nieostroźnie trochę ciała na widok publiczny i uda mi się wtedy takiego chwata zdjąć. Niestety goście zmienili taktykę. Przestali do nas drutować z automatów, dopadli steru i kryjąc się za owiewką wzięli kurs prosto na nas.

Zderzenie było nieuniknione i modliłem się tylko, by ich łajba nie była równie solidna, jak chyża. Mierzyli prostu w śródkręcie z całą mocą, jaką zdolny był z siebie wykrzesać monstrialny silnik. O ile się znałem na budowie łodzi, to rokowania nie były dobre. Jeżeli udałoby się im utrzymać dotychczasowy kurs, a nie miałem pomysłu, jak miałbym im w tym przeszkodzić, powinni nas byli rozplatać na części. Łódź nieprzyjaciela była coraz bliżej! Katastrofa wydawała się nieuchronna! Gdy...

- Osłaniaj mnie – usłyszałem głos Makumby.

Odwróciłem się w jego stronę. Murzyn rzucił mi pukawkę, a sam skoczył do steru.

Wypaliłem. Ślizgacz już niemal się w nas wbijał. I wtedy Kutasama dał gazu i zakręcił kołem sterowym. Zrozumiałem, co chce zrobić. Kuter zaczął się obracać, ale zdawało mi się, że zbyt

wolno, że ślizgacz walnie w nas centralnie i będzie po ptakach. Potopimy się tu wszyscy w cholere! Wszystko przebiegało jakby na zwolnionym filmie. Bardzo zwolnionym... A jednak nie było wątpliwości: kąt między obiema łodziami ostrzył. Ostrzył! Kutasama był mistrzem. Uratował nas! Kiedy ślizgacz, który zarzucałem wciąż ogniem zaporowym, dopadł nas, uderzenie poszło burta w burtę. Wstrząs zwałił mnie z nóg. Zanim pozbierałem się, zobaczyłem osiłka, który zdążył już przeskoczyć na kuter i zmierzał w stronę Makumby. „Szybki sk... skurczybyk”, pomyślałem z podziwem o napastniku, gramoląc się z pokładu. - Uważaj! – zawołałem w stronę sternika.

Więcej nie mogłem zrobić, bo zwałił się na mnie drugi (i na szczęście ostatni!) z oprychów, którzy pozostali na chodzie. Musiał być ufny we własne siły, bo zabrał się za mnie gołymi rękami. Poważny błąd. Nap...walka na pięści to był mój żywioł. Zablokowałem jego kopa, którym celował w skroń. Był dobry, szybki. Ale nie aż tak, by mi dopiec. Postanowiłem go trochę rozochocić i zachwiałem się, jakby jego cios zrobił na mnie wrażenie. Dał się nabrać i ruszył śmiało wyprowadzając strzał z obrotu. Na to czekałem. Skróciłem dystans, złapałem go za nogę i strzeliłem w orzechy. Musiało mu to sprawić przykrość, bo mu się buźka wykrzywiła w charakterystyczny sposób. Opanował usiłującego mu się wyrwać z paszczy pawia, wybił się i zawadził mnie z buta w czółko. Twardziel! Przyznam, że tego się nie spodziewałem. Jego cios nie był silny, ale dobrze podziałał na jego morale, bo natarł na mnie z nową energią. Pobawiłbym się z nim chętnie, ale kątem oka dostrzegłem walkę Makumby z osiłkiem. Zresztą co ja gadam?! To nie była walka, to była egzekucja! Z Kutasamy też był kawał chłopca i myślałem, że szanse są wyrównane. Jednakże oprych, z którym przyszło mu walczyć, był jakimś cholernym mutantem. Właśnie złapał nieszczęsnego Murzyna za wszarz i cisnął, jak szmacianą kukłą. Makumba p... pierdyknął o pokład, aż deski jęknęły.

„No, waść, czas kończyć”, pomyślałem, podkręcając tempo walki.

Wpuściłem mojego przeciwnika w zwanie, zablokowałem jego ciosy, odskoczyłem i wyprowadziłem morderczą kontrę. Gość zmieknął, ale nie padł. Poprawiłem sierpowym w szczękę i było po balu.

- Słodkich snów, skarbeńku – rzuciłem w stronę leżącego faceta, szczerze zadowolony z siebie.

Jednak krzywy uśmiech złośliwej satysfakcji szybko zniknął z mojej twarzy. Zobaczyłem bowiem, jak Makumba śmignął właśnie po raz kolejny w powietrzu i po efektownym locie wylądował za burtą.

Osilek ruszył na mnie. Od razu poznałem, że lubi swoją robotę. Też nie mam nic przeciwko dobrej, amerykańskiej nawalance, ale pod warunkiem, że siły są w miarę równo rozłożone.

Byłem pewien, że teraz nie są. Był coraz bliżej, a jego plan był prosty: chciał mnie sponiewierać dokładnie tak samo, jak przed chwilą Makumbę.

- Stój koleś, bo ci zrobię dziurkę w głowie – zawołałem, sięgając za pasek po pistolet.

Broń w mojej dłoni nie wywarła na napastniku najmniejszego wrażenia. Zrobił krok w moją stronę i lewą ręką uderzył mnie w nadgarstek. Cios był precyzyjny, wyprowadzony bez zamachu, błyskawiczny. Pistolet potoczył się po pokładzie, a ramię przeszył mi paraliżujący ból. Zdarzało mi się walczyć z karatekami, potrafiącymi pięścią, kantem dłoni, a nawet palcami kruszyć cegły, ale jeszcze nigdy nie potykałem się z przeciwnikiem, który miałby tak twarde ręce. Osilek w pełni zasługiwał na miano „żelaznej pięchy”. Zamiar szybkiego unieszkodliwienia wroga nie powiódł się, ale nie miałem zamiaru tanio sprzedać skóry. Gość miał ogromną siłę, więc roboczo założyłem, że podstawą sukcesu będzie nie dać się złapać. Okazało się, że, jakkolwiek był z niego tytan krzepy, to ja górowałem sprawnością ruchową. Postanowiłem, że zanim czegoś nie wymyślę nie od rzeczy będzie pozostawanie poza zasięgiem jego ramion. Cofałem się więc, robiłem zwód, albo unik i kiedy się dało wyprowadzałem krótki cios, cały czas dbając, by nie mógł mnie chwycić. Być może rozłożyłbym go, gdybym wyprowadził uderzenie z pełną siłą i poparł je akcją całego ciała. Boks jednak ma swoje zasady. Nokautującą akcją trzeba sobie wypracować, a mój aktualny przeciwnik nie był amatorem. Dostawienie nogi i skrócenie dystansu równało się wejściu w bezpośredni kontakt z jego mocarnymi grabami, a tego przecież chciałem akurat uniknąć za wszelką cenę. Kółko zamykało się więc: ja nie mogłem go odpowiednio mocno uderzyć, on nie potrafił mnie capnąć. Był tylko jeden problem – kuter to nie Błonia. W ograniczonej przestrzeni nie da się uciekać w nieskończoność, tym bardziej, że facet zdawał się mieć niespożyte siły i odporność na ciosy bite na odczepnego. Smutna prawda była taka, że wcześniej, czy później musiałem popełnić jakiś błąd, wcześniej czy później, któraś z jego szarż musiała zakończyć się powodzeniem. W dodatku drugi napastnik też mógł oprzytomnieć w każdej chwili. A gdyby rzucili się na mnie wspólnie w zespole, moja dola byłaby przesądzona. Jeżeli nie chciałem przegrać, musiałem zaryzykować większą aktywność. Po kolejnym jego ataku, uciekając spod burty z unikiem pod jego lewym ramieniem, okręciłem się i z całej siły grzmotnąłem go w ucho. Uderzenie musiało zrobić na nim wrażenie, bo po raz pierwszy w całej walce głucho zawarczał. Odwrócił się, zapewne z przekonaniem, że będzie mnie musiał znowu zagonić w narożnik. Tym razem jednak nie cofnąłem się, tylko korzystając z zaskoczenia, kopnąłem go w kolano, aż przykląkł. Już miałem do niego doskoczyć i zadać cios w głowę, ale machnął niedźwiedzią łapą na odlew, zmuszając mnie do odstąpienia. Nie trafił, ale ostrzeżenie było skuteczne. Odskoczyłem i

zaczęłam tańczyć wokół niego. Wstał powoli, wściekły, i pokuśtykał w moim kierunku. „Tu cię mam”, pomyślałam. Skakałam mu przed nosem, jakbym był z gumy i czekałam na sposobność. W pewnym momencie łódź bujnęła nieco mocniej. Osilek zachwiał się i przeniósł cały ciężar ciała na obolałą nogę. Na to czekałam. Kopnąłem go z półobrotu pod to samo kolano, co poprzednio. Zszedłem bardzo nisko, podpierając się o pokład rękami, ale ryzyko opłaciło się - napastnik stracił równowagę i poleciał do tyłu. Moja chwilowa przewaga musiała go rozsierdzić jeszcze bardziej, bo zerwał się na nogi i mimo bólu, który niechybnie rozsadzał mu staw, rzucił się na mnie z zaskakującym impetem. Znowu mnie osaczył, zaganiając na sam dziób, w narożnik między zbiegające się burty. Tym razem jednak zmienił taktykę. Nie spróbował mnie złapać, ale zaczął atakować ciosami prostymi. Miał przewagę zasięgu ramion, więc musiałem się zdrowo nagimnastykować, by mnie nie trafił. W końcu jednak zawadził mnie. To było zaledwie muśnięcie, a i tak miałem wrażenie, jakby mi właśnie urwano ramię. Napastnik włożył w zamach chyba całą siłę, bo zachwiał się, zostawiając mi trochę wolnej przestrzeni. Rzuciłem się w nią, ale nie dość szybko – zdążył odwinąć się i strzelił mnie na odlew w plecy. Rozpostarłem ramiona i poszybowałem, starając się odzyskać oddech. Uderzenie było tak potężne, że nim gruchnąłem o pokład, przeleciałem niemal przez całą długość kutra. Leżałem obity, wciąż nie mogąc złapać oddechu. Gdy w końcu udało mi się wciągnąć powietrze, poczułem, jak klatkę piersiową przeszywa mi ostrze bólu. Już nieraz miałem połamane żebra, więc wiedziałem, że da się z tym jakoś żyć. Nie miałem zresztą czasu na wylegiwanie się i uzalanie nad sobą. Dinozaur nie miał zamiaru poprzestać na lekkim skopaniu mi tyłka. On chciał mnie rozerwać na strzępy i znowu parł w moją stronę. Generalnie nie wpadam w panikę, ale tym razem sytuacja była wyjątkowa. Przez moment rozważałem nawet możliwość desperackiego skoku za burtę, by tylko nie wpaść w łapy mojego prześladowcy, ale mój wzrok przypadkiem padł na bosak zawieszony na burcie kutra. Nie zastanawiałem się, co robić. Łapnąłem z całych sił za drzewce i zagryzając zęby z determinacją natarłem na wroga. Wpadłem na niego z takim impetem, że już pierwsze dźgnięcie było skuteczne. Przebiwszy mu ciało w miejscu, gdzie ramię łączy się z torsem, napierałem nadal, aż stracił równowagę. Siadł, opierając się plecami o burtę, a ja przyszpiliłem go do niej bosakiem, wbijając ostrze w deski poszycia najgłębiej, jak tylko potrafiłem.

Zatoczyłem się do tyłu i padłem niemal bez życia pod przeciwległą burtą, na wprost niego. Ból rozrywał mi klatkę, tak, że ledwo mogłem zapać, ramię, w które strzelił mnie mutant, zanim udało mi się go przygwoździć, pulsowało i najwyraźniej napuchło. Gdzieś poprzez zmęczenie przebijała myśl, że powinienem rozejrzeć się za Makumbą, ale nie miałem

siły się ruszyć. Ba! Nie miałem nawet siły, by cieszyć się, że udało mi się unieszkodliwić tak groźnego przeciwnika. I wtedy usłyszałem... Co ja właściwie usłyszałem? Ni to ryk, ni jęk stłumiony, prymitywny, przerażający, z którego emanowała jakaś nieludzka, tytaniczna moc. I do tego chrzęst, chrupanie i mlaskanie, jakby ktoś rozrywał żywe mięso, rwąc ścięgna i kości. A z tego wszystkiego, z samego centrum tej kakofonii dźwięków wylał się piskliwy zgrzyt tarcia metalu o metal. Podniosłem głowę i w tym samym momencie poczułem, jak wszystkie włosy na całym ciele ożyły i usiłują się gwałtownie odłączyć od mojej skóry. Facet, który siedział przyszpilony po drugiej stronie kutra, wlepiając we mnie ziejące gwałtem i śmiercią oczy, usiłował się uwolnić. Zdrową ręką ciągnął z całej siły za drzewce. Wyrwał je już z drewna, ale ciągnął nadal, wyrywając sobie hakiem bosaka fragmenty ciała z ramienia. Z rozprutych mięśni tryskała krew, ale nie to było najgorsze. Z mięsa sterczały jakieś druty, kable, stalowe cięgna, sam nie wiem co, ale coś nieludzkiego, coś, co przejmowało grozą.

„Jezus Maria!”, pomyślałem (no tak, jak trwoga, to do Boga!), ten typ, to jakiś p... p... posrany terminator, czy co?!

Patrzyłem na tę scenę, jak zahipnotyzowany, niezdolny do zrobienia choćby najmniejszego ruchu. W końcu dziwoląg wyrwał bosak z organizmu i zamierzył się nim na mnie. Zerwałem się na nogi, spostrzegając jednocześnie pistolet, który postradałem w walce i który szczęśliwym trafem leżał teraz jakieś trzy metry ode mnie. Mutant zamachnął się. Skoczyłem tygrysim w stronę broni, złapałem ją w locie, przekoziołkowałem i strzeliłem. Facet dostał w pierś, opuścił bosak, ale znowu go podniósł. Wycelowałem pewnie, trzymając broń obiema rękami. Huknął strzał. Kula rozerwała mu ramię i bosak padł na pokład. Wypaliłem jeszcze raz, znowu celując precyzyjnie, tym razem w udo. Na twarzy mężczyzny nie było widać najmniejszych oznak bólu, zniknął też z niej wyraz wściekłości. Nasze oczy spotkały się. Od razu domyśliłem się, że rozumie. Pokazał mi wyprostowany, środkowy palec i przechylił do tyłu. Wody jeziora Wiktorii zamknęły się nad nim cicho, bez jednego plusku.

Odwróciłem się w stronę burty, oparłem o nią rękami i ile sił w obitych płucach zawołałem:
- Makumbaaaa! Makumba, synu, odezwij się! Makumbaaaaaaa!

Wołałem tak, krztusząc się z bólu i kiedy straciłem już nadzieję, że usłyszę odpowiedź, z mroku dobiegł mnie znajomy głos:

- Dżizas, dziadek, ile razy mam ci powtarzać, że nie jestem twoim synem!

Do Bukoby dotarliśmy przed południem. Byłem tak zmaltretowany, że ruszenie natychmiast w dalszą drogę nie wchodziło w rachubę. Na szczęście Makumba miał w mieście sporo znajomych i bez problemu znalazł mi pokój. Ponieważ zebrałem srogie manto, zaraz po zakwaterowaniu ułożyłem sobie na łóżku stertę z poduch tak, bym mógł pólżeć i wyciągnąłem się wygodnie.

Starłem się zebrać siły i myśli. Miałem spokój (a tego właśnie w tej chwili potrzebowałem najbardziej), a także czas, bo Makumba, który zaofiarował się, że zorganizuje mi transport na dalszą część podróży oświadczył, że bym się go nie spodziewał przed wieczorem.

Kiedy, po nocnym boju, wyciągnąłem Makumbę z toni jeziora Wiktorii byłem przekonany, że sternik szczerze mnie znienawidził. Prychał i miotał się po całym pokładzie, klnąc okrutnie i wygrażając pięściami. Przyglądałem się temu dziwnemu spektaklowi zrezygnowany z przekonaniem, że Makumba w końcu zorientuje się w moim opłakanym stanie i z ochotą jeszcze bardziej mi dokopie. Ale nic takiego nie nastąpiło.

- Aleśmy im dali łupnia! Co, dziadek?! – odezwał się z entuzjazmem w głosie, gdy w końcu przestał się miotać. – Widzałeś jak do nich grzałem? Było gorąco, ale Makumba nie z takich opresji wychodził cało!!

Tokował tak jakiś czas, najwyraźniej przekonany o własnym bohaterstwie, rozgrzewając się coraz bardziej.

- A widziałeś, jaki manewr zrobiłem kutrem? Widziałeś?! No, dziadek, nie chwaląc się – uratowałem nam dupską!

Z tym akurat mogłem się zgodzić.

- A widziałeś jak walczyłem z tym gorylem? To była walka, co?! Mówię ci, dziadek, dałbym mu radę, jakby tylko grał fer. Ale widział, że z nim krucho, więc wypchnął mnie podstępnie za burtę. Mięczak!

Kiwnąłem głową bez entuzjazmu, widząc, że się nie odczepi zanim nie potwierdzę jego wersji.

- Ale wiesz co? Ty też sobie całkiem dobrze radziłeś... zważywszy na twój wiek – dodał Kutasama, siadając koło mnie.

Obśmiałybym się, jakbym tylko mógł. Ale nie mogłem. Połamane zebra mi nie pozwalały.

No i tak zdobyłem nowego kumpla. Znajomość ze mną i nocne zmagania dobrze wpłynęły na męskie ego Makumby, a także na poziom jego życiowego entuzjazmu. Już w porcie zaczął wszystkim naokoło opowiadać o naszej przygodzie, o tym kim jestem, a przede

wszystkim o swoich co nieco wyolbrzymionych zasługach (wyszło na to, że musiał się mną, tetrykiem, z narażeniem życia opiekować i wyszliśmy z opresji cało tylko dzięki jego męstwu, sile i inteligencji). Potakiwałem tylko głową. W końcu naraziłem go na śmiertelne niebezpieczeństwo, więc coś mu się ode mnie należało. A chłopak dzięki barwnym opowieściom mógł nabrać trochę prestiżu w oczach lokalnych lumpów. Poza tym miałem nadzieję, że jeszcze mi się uda jego dobry nastrój jakoś wykorzystać.

Leżałem sobie zatem i rozmyślałem.

Po skończonym boju, kiedy Makumba wreszcie trochę ochłonął, obejrzelśmy sobie ślizgacz. Miałem nadzieję, że znajdę na nim jakieś wskazówki, które przybliżą mnie do rozwiązania zagadki, kto na mnie dybie. Bo teraz byłem pewien, że ktoś chciał mnie dorwać i że nie odpuści, aż mu się nie uda. Sadząc po środkach, jakimi dysponował i jakie angażował w rozgrywkę ze mną, musiał to być ktoś (lub jakaś organizacja, co wydawało mi się nawet bardziej prawdopodobne) potężny i bezwzględny. Ktoś, kto nie cofnie się przed niczym, by osiągnąć swój cel. Tym celem niestety byłem ja. Reguły tej gry były proste: nie było żadnych reguł. Wszystkie chwytły były dozwolone, cel uświęcał środki. Byłem pewien, że albo zginę, albo dorwę tego (lub tych), którzy chcieli się mnie pozbyć. Tylko jak miałem ich dopaść, skoro nie wiedziałem ani kim są, ani nawet czym im podpadłem?!

Oględziny ślizgacza nie dostarczyły mi ani jednego śladu, ani jednej wskazówki. To była autentyczna łódź widmo. Nie miała żadnych oznakowań, żadnego dziennika pokładowego, żadnych dokumentów. Nawet numer fabryczny silnika został skutecznie usunięty. Gdyby podobna bitwa przydarzyła mi się w Europie lub Ameryce mógłbym doholować ślizgacz do przystani (tak zresztą chciał uczynić Makumba, w nadziei na spory zysk ze sprzedaży ślizgacza, ale wybiłem mu to zgłowy ze względu na jego własne bezpieczeństwo i ostatecznie zatopiliśmy łódź), a tam spróbować zidentyfikować trupy, zebrać odciski palców, a może nawet poddać analizie genetycznej krew napastników. Miałem tu i tam swoje kontakty, kilku przyjaciół z koneksjami, paru znajomych gliniarzy i agentów winnych mi przysługę. Tutaj, w Afryce, moje możliwości nie sięgały aż tak daleko. Powiem więcej – z różnych względów wolałem nie pchać się przed oczy oficjalnym władzom. Pozostawała mi więc nadzieja, że kluczem do rozwiązania zagadki jest Sara i jej praca w Kongo. Tak mówiła mi intuicja i na razie musiałem na tym poprzestać.

Zacząłem zastanawiać się kim (lub czym?!) mógł być facet-terminator, z którym miałem tyle kłopotów. Gość fiknął za burtę i nie dał mi możliwości ani żebym mu się bliżej przyjrzał, ani żebym mógł go solidnie przesłuchać. (Pozostałych dwóch żywych oprychów też się gdzieś ulotniło, czego w ogólnym zamieszaniu początkowo nie zauważyłem. Najwyraźniej, widząc,

że przegrali, woleli się potopić, niż dać złapać!) Tortury nie są moją ulubioną zabawą, ale jak bandzior chce mi z pełną premedytacją wypruć flaki, to muszę przyznać, że moje skrupuły w tym względzie słabną. Facet był nie tylko silny, ale i niegłupi. Od razu zorientował się, dlaczego go nie rozwalilem, tylko postrzeliłem tak, by nie był już dla mnie groźny. Domyślił się też, że jak nie będzie mówił, to go przycisnę na całego. Dlatego fiknął do wody, co biorąc pod uwagę odludzie, na jakim się znajdowaliśmy, w praktyce równało się samobójstwu. Spokoju nie dawała mi jednak nie jego determinacja, ale nadludzka siła i „instalacje”, które sterczały mu z rany zadanej bosakiem. Czy były to jakieś sztuczne wzmocnienia? Jakież siłowniki? Zakrawało to trochę na pomysły rodem z filmu sy-f y kategorii B, ale z drugiej strony medycyna z każdym rokiem coraz śmieiej wkracza na tereny jeszcze do niedawna zupełnie fantastyczne! Przeszczepić można przecież już nie tylko narządy wewnętrzne, jak płuca, nerki, wątroby, pikawy, ale także skórę, a nawet całe kończyny! Jakby tego było mało podjęto już pierwsze próby z wszczepianiem mechanizmów. I nie mam na myśli takich drobiazgów, jak rozruszniki serca, stalowe fragmenty zastępujące pogruchotane kości, stawy i kręgi kręgosłupa z tworzyw i metali, ale sztuczne ręce i nogi nie przypominające nawet w najmniejszym stopniu dawnych, nieruchomych protez. Nadchodziła epoka skomplikowanych mechanizmów sterowanych przez system nerwowy człowieka! Sam na własne oczy widziałem mężczyznę, który stracił całe ramię, a w jego miejsce miał wmontowaną sztuczną rękę, cud techniki i medycyny, w której cały system sterowników i siłowników aktywowany był przez odpowiednio napinane mięśnie piersiowe nieszczęsnego delikwenta. Wymagało to od niego wielu ćwiczeń, ale po kilku miesiącach nauki facet był zdolny tą sztuczną ręką precyzyjnie podnosić szklankę z wodą i pić! Ba! Nauczył się nawet grać na gitarze! Prowadzone są też próby ze sztucznym wzrokiem, w którym oko zostaje zastąpione przez implant wykonany z płytek światłoczułych podłączony do nerwu wzrokowego. Na razie tego typu urządzenia są bardzo niedoskonałe i można dzięki nim odbierać jedynie mocno uproszczony obraz rzeczywistości, niemniej w przypadku osób niewidomych, nawet taki obraz lepszy jest niż żaden. A prace trwają. Technika rozwija się w oszałamiającym tempie. Co roku pojawiają się nowe wynalazki, szczególnie w dziedzinie elektroniki. A zatem napastnik, który omal nie wykończył mnie i Makumby mógł mieć sztuczne ramiona! Albo posiadać wszczepione w żywą tkankę (na podstawie obserwacji ta wersja wydała mi się nawet bardziej prawdopodobna) jakieś mechanizmy, które były przyczyną jego ponadludzkiej siły. Tak, to było możliwe.

Już od dawna byłem przekonany, że oficjalna nauka i technika jest zawsze o krok za tym, co dobrze ukryte przed publicznym widokiem, że wszelkie nowatorskie badania są

szczegółowo nadzorowane przez rządy i-lub przez wojsko. Służby specjalne zawsze miały i mają swoje tajemnice, prowadzą rozgrywki, z czego zresztą nie zawsze zdają sobie sprawę nawet najwyższe osoby w państwie. Takie dziedziny, jak technologie i eksploracja kosmiczna, przemysł elektroniczny, chemiczny, genetyka jakkolwiek działają oficjalnie pod egidą cywilnych, często prywatnych instytucji, bacznie monitorowane są przez różne tajne służby, które nie koniecznie ograniczają się jedynie do zbierania informacji. Mogą też istnieć organizacje przestępcze dysponujące odpowiednimi funduszami, by prowadzić własne badania, albo też kupować lub po prostu wykraść wyniki interesujących eksperymentów prowadzonych przez różne instytuty badawcze. Prawo nigdy nie sięga wszędzie, zresztą nie taka jest jego rola. Oficjalne stanowisko władz nie zawsze odpowiada prawdzie. W końcu nie po to się je wygłasza, by informować, ale wręcz przeciwnie. Większość naprawdę istotnych badań jest tajna i tylko o niektórych z nich, w bardzo ostrożny sposób, informuje się obywateli. Efekty tylko niektórych z nich upowszechnia się. Nauka i technika tylko w niewielkim stopniu przekracza stopień nieoficjalności i przyczynia się do wzrostu poziomu życia przeciętnego Kowalskiego. Bo przecież nie po to jest!

Tak, wiem. Jeśli wierzę w to wszystko to znaczy, że jestem oszołomem. Tylko, że owa „wiara” już zbyt wiele razy uratowała mi życie, bym miał się przejmować epitetami. Zresztą rozumiem ludzi, którzy wolą nie dopuszczać do świadomości myśli, że świat jest inny, niż się go pokazuje w wieczornych wiadomościach. Z błogim przekonaniem, że jest jakaś realna władza, która się o nas troszczy i chce dla nas jak najlepiej po prostu łatwiej jest żyć. A zresztą, co tam, może i jestem oszołomem. Ale facet-terminator mi się nie przyśnił. Ja go widziałem! I pewne było, że technologicznym zawansowaniem swoich mechanicznych łapek wyprzedzał powszechnie spopularyzowaną medycynę co najmniej o kilka, a może nawet kilkadziesiąt lat.

A to rodziło pytanie. Bardzo niepokojące pytanie: z kim przyjdzie mi się jeszcze zmierzyć podczas mojej podróży przez Afrykę?!

XI

Świtało. A zatem musiałem przespać ładnych kilkanaście godzin. Mógłbym powiedzieć, że „czuję się świetnie, jest mi wspaniale”, gdyby nie: zebra, ręka, wątroba i pięćdziesiątka na karku...

Wyszedłem przed dom zaczerpnąć świeżego powietrza (niestety, jak to w bezpośredniej bliskości portu, zajeżdżało rybą) i uśmiechnąłem się widząc, że Makumba spisał się na medal. Na podwórku stał UAZ, zapewne stary jak świat, ale solidny.

- I jak? Może być? – usłyszałem za sobą znajomy głos. – Podstawiłem go już wczoraj wieczorem, ale tak smacznie pan spał...

Najwyraźniej minęły emocje związane z dramatycznymi wydarzeniami poprzedniej nocy i Murzyn znowu zaczął odnosić się do mnie z większym szacunkiem.

- Pan? To znowu jestem „panem”, a nie „dziadkiem” ani „starym pierdzielem”?

Byłem przekonany, że Makumba poczerwieniał na twarzy, choć z oczywistych względów nie było tego widać.

- Ja... ja chciałem pana p...

- Daj spokój - nie dałem mu dokończyć. – Przeszliśmy razem tyle, że... Eeee, szkoda gadać. Mów mi Dan!

Podszedłem do niego z wyciągniętą dłonią, którą serdecznie uściskał.

- A zatem, Dan, jak ci się podoba wózek? Niestety nie udało mi się załatwić nic lepszego.

- Ujdzie – powiedziałem grobowym głosem - o ile nie rozsypie się gdzieś po drodze.

Makumba zmarkotniał. Zaśmiałem się zadowolony, że udało mi się go nabrać.

- Tylko żartowałem – uspokoiłem go. – Znam to auto i myślę, że spokojnie dowiezie mnie do celu podróży. Niemniej mały przegląd techniczny nie zawadzi.

Makumba zgodził się ze mną, a ponieważ na silnikach i wszelkiej mechanice zarówno jachtowej, jak i samochodowej znał się jak mało kto w okolicy, zabraliśmy się razem do pracy. Po trzech kwadransach roboty, która ograniczyła się do oględzin, testów i drobnych regulacji, doszliśmy zgodnie do wniosku, że jakkolwiek sowiecka terenówka cudem techniki może i nie jest, to jednak spokojnie nadaje się, by ruszyć nią nawet w podróż dookoła świata. Wróciliśmy do domu, zadowoleni ze swej pracy.

Wewnątrz czekało już na nas śniadanie. Posiłek składał się z zupy rybnej oraz zawijanych placków kukurydzianych nadziewanych rybną sałatką, które mogłyby stać się popisowym elementem menu najlepszych, ekskluzywnych restauracji. Jedliśmy długo i dużo, delektując się kulinarnymi specjałami, a następnie wyszliśmy przed dom, przycupnęliśmy na drewnianej kłodzie i popijaliśmy w milczeniu mocną kawę. Uzmysłowiłem sobie, że chciałbym jeszcze zostać w tym zacisznym miejscu. Uśmiechnąłem się smętnie do swoich myśli, bo znowu dopadło mnie poczucie nieubłaganego upływu czasu. Chciałem tu zostać. Ale nie mogłem. Musiałem ruszać w dalszą drogę. Na spotkanie Sary i mojego przeznaczenia.

Dopiłem kawę, wstałem i poczłapałem do pokoju po bagaż. Załadowałem walizy na UAZa, siarczyście wyściskałem Makumbę i wskoczyłem do auta (chciałem, żeby wyglądało to lekko i od niechcienia, ale lepiej bym zrobił, jakbym się nie popisował, bo zebra, szelmy, od razy sprowadziły mnie na ziemię). Odpaliłem silnik, wrzuciłem bieg i potoczyłem się powoli po podwórku.

- Do widzenia – zawołałem.

- Do zobaczenia – odpowiedział Makumba.

- Na pewno, przyjacielu! Na pewno jeszcze tu kiedyś wrócę!

&&&

Byłem przygotowany na najgorsze, ale pozostała część podróży minęła bez niemiłych niespodzianek. O dziwo nikt na mnie nie dybał w krzakach, nikt mnie nie śledził, nikt nie próbował mi obić buźki ani nie celował do mnie z karabinka snajperskiego. Byłem nawet tym pozostawieniem mnie w spokoju nieco rozczarowany. Inna sprawa, że sama droga, oraz spartańskie wyposażenie UAZ, a w szczególności jego ascetyczne siedziska (na określenie „fotele” buntował mi się cały organizm) – to były wystarczające atrakcje. Jak chcesz kolego zobaczyć, co to są autentyczne sporty ekstremalne, wybierz się po afrykański bezdrożach ruskim dżipem i do tego z połamanymi zębami. Jeżeli to przetrwasz, znaczy żeś twardziel. Ja byłem. Dojechałem na miejsce w trzy dni, co nawet pomijając moje urazy, było niezłym wyczynem.

Zbliżał się wieczór. Do obozu, w którym miałem nadzieję odnaleźć Sarę, pozostało mi jeszcze około dwudziestu kilometrów. Oczywiście zakładając, że miałem prawidłowe współrzędne jego lokalizacji. Swoją pozycję byłem w stanie określić niemalże z aptekarską dokładnością. W końcu od czego był GPS? Wprawdzie od momentu ataku na kuter aż do chwili obecnej nie zaobserwowałem nic niepokojącego, ale wolałem być czujny.

Zamaskowałem więc UAZa w zaroślach, a sam wybrałem dogodne miejsce do obserwacji.

Jeżeli ktoś by za mną jechał, musiałby się teraz na mnie nadziać. Z kuszą i sztucerem wyposażonym w celownik na podczerwień, czatowałem cierpliwie, aż zapadł mrok.

Siedziałem w bezruchu, wsłuchując się w odgłosy przyrody. Czas mijał godzina za godziną.

Oprócz pokrzykiwań zwierząt nie usłyszałem nic niepokojącego. Gdy noc zaczęła szarzeć,

pewien, że nikt nie podąży moim tropem, ruszyłem pieszo w stronę obozu. Wolałem najpierw

przeprowadzić cichy zwiad, a nie walić od razu z pełną pompą. Było przecież całkiem prawdopodobne, że moi prześladowcy, zamiast uganiać się za mną po buszu, mogli spokojnie czekać na mnie u celu podróży. Jeżeli realizowali właśnie taki plan sytuacja Sary i jej ludzi byłaby bardzo niewesoła. W takim przypadku jedynym moim atutem mogło być zaskoczenie i przebiegłość. Po prostu musiałem wiedzieć, co dzieje się w obozie, zanim pokażę się w nim oficjalnie. Po czterech godzinach marszu natrafiłem na cztery drewniane chaty. To było to. Ukryłem się w bezpiecznym miejscu, cierpliwie obserwując życie obozu. Były w nim teraz zaledwie dwie osoby: Sara i jakiś starszy, szczupły Murzyn. Przyglądałem się z niekłamaną przyjemnością jej codziennej, rutynowej krzątaniu. Wciąż była piękna! Obszedłem ostrożnie obóz wokół. Jeśli byłby w okolicy jeszcze jakiś podglądacz, oprócz mnie, niechybnie musiałbym go zdemaskować. Ale i tym razem na nikogo nie natrafiłem. Zabrałem się więc z powrotem, starając się dotrzeć do UAza, jak najszybciej. Biegłem, klnąc p... pieprzonego terminatora, który tak niesympatycznie mnie załatwił. Kiedy w końcu odnalazłem samochód, wskoczyłem do niego z dużą ulgą. Bez namysłu odpaliłem silnik i pogałem w stronę obozu, nie zważając na wertepy. Sowiecką machiną starała się wyekspediować mnie prosto w niebo, niczym jakiś wściekły byk podczas rodeo. Zajechałem na miejsce z fasonem, hamując z piskiem opon przed chatynką zajmowaną przez Sarę, aż zarzuciło auto, a chudemu Murzynowi wypadła z japy fajka, którą właśnie pykał. Z obłoków kurzu, który wzniciłem, wynurzyła się Sara Metcalf. Gdy mnie ujrzała przez jej twarz przebiegł grymas, zdradzający ambiwalencję uczuć. Nie zdziwiłem się. Na jej miejscu też nie wiedziałbym, czy cieszyć się na mój widok czy płakać. W końcu jedna z emocji zwyciężyła i na jej twarzy zagościł niepodzielnie wyraz politowania. Patrząc na mnie bezczelnie i bez słowa, machała sobie ciągle przed twarzą jedną ręką, strając się rozproszyc unoszący się tuman. W drugiej trzymała jakieś zawiniątko. Nie byłem ekspertem w tych sprawach, ale wydawało mi się, że jest to pielucha.

„Ależ... tuman z ciebie, ty gamoniu” pomyślałem, mając na uwadze swoje wejście... tyleż efektowne, co idiotyczne. „Ty smętny, podtusiały, żalosny szpanerze”, obsobaczałem siebie dalej w myślach „nie dało się choć raz normalnie, jak człowiek, podjechać i się przywitać, bez tej całej samczej zgrywy?! W dodatku po jakie лихо się napinam...?”

Musiałem wyglądać jak skończony debil, bo Sara w końcu nie wytrzymała i parsknęła śmiechem. Wygramoliłem się (tym razem naprawdę wygramoliłem się, powoli, niezdarnie, żadnej efekciarskiej gry muskułami, żadnych podskoków w typie jaki to ja nie jestem kogut) i podszedłem do niej powoli. Wciąż stała na podeście, u wejścia do chaty, a ja z poziomu gruntu jeszcze nie zdążyłem zebrać się po dzielących ją ode mnie trzech schodkach, zresztą

nie wiedziałem, czy to ja powinienem wspinać się do niej, czy ona zechce zejść do mnie, w każdym razie jej bufory wisiały mi nad głową, jak dwie bomby, gotowe w każdej chwili spaść mi na twarz. Spryciula wiedziała jak to wygląda, bo się jeszcze wypięła nimi w moją stronę. Chyba pół dżungli usłyszało, jak przelykam ślinę.

- Nie spieszyłeś się – odezwała się, nadymając wargi, jak mała, naburmuszona dziewczynka.

- Nie napisałaś, że mam być zaraz...

- Ale wysłałam telegram, do cholery!

Chyba miała prawo się złościć. W końcu nie miała pojęcia, co się działo ze mną przez ostatnich kilka dni.

- Masz rację – zacząłem pojednawczo. – Ale musiałem załatwić kilka spraw. Jakbyś jasno napisała, że jestem potrzebny natychmiast, to bym się może szybciej uwinął.

- Może?!

- No wiesz... Nie wszystko zależy od nas, ode mnie. Los, rozumiesz, pewne determinanty... - zacząłem gubić się w zeznaniach.

- Ty się bałeś tu przyjechać?! – wystrzeżiła nagle ni to twierdząco, ni pytająco, ale na pewno z mocnym wykrzyknikiem. – Bałeś się, że...

- Nie, nie bałem się. Ale telegram od ciebie... Wiesz przecież, jak było... I jest! – wystrzeżiłem.

- Nic nie rozumiem. Przecież nie jestem ślepa i jeżeli żywisz jakieś uczucia do mnie to bym obstawiła niechęć...

- To niezupełnie tak... Ale jak się rozstaliśmy, to musiałem się z tym jakoś uporać... jakoś to załatwić...

- Załatwić?! A ja? A co ja mam zrobić? Zjawiasz się po... Ile to lat minęło? Pięć? Sześć?

- Jakoś tak... Chyba sześć...

- Sześć lat...

Na jej twarzy pojawił się smutny uśmiech, ale zaraz wróciła do agresywnego tonu, pełnego wyrzutu.

- A więc zjawiasz się po sześciu latach i myślisz, że co? Że ja jestem jakimś cholernym automatem?! Że nic nie pamiętam? Że nic nie czuję?!

I zrozum tu kobietę. Sama chciała, żebym przyjechał, a teraz mi zmywa głowę...

„A może...”, nagle natchnęło mnie, „a może ona chciała wrócić do tego, co było? Może dlatego mnie ściągnęła? Może wcale nie miała żadnych kłopotów?!”

- A więc czy ty...? Czy nic... tutaj... To znaczy nic się nie dzieje, tylko... nie mogłaś wytrzymać beze mnie?

- Ludzie! – zawołała Sara, choć w okolicy nikogo nie było, poza starym Murzynem, który przyglądał się nam z coraz większym zainteresowaniem. – Stary Danio zwariował!

Wiedziała, że nie znoszę, jak się na mnie mówi per „Danio” i dlatego tak powiedziała. Złośliwa jankeska!

- O nie, moje drogie, moje słodkie, walerianowe Danio! Nigdy bym tego nie zrobiła! To znaczy nie wzywałabym cię, jakbym nie musiała. Ale... moje uczucia, moje... pragnienia... A ty... Po prostu jakby nigdy nic! Nigdy bym nie przypuszczała, że rozprawisz się ze mną w swoim sercu tak łatwo. Tak... bezboleśnie. Ty gnojku!

No tak. Z kobietami zawsze jest tak samo. Nie wiedziała co się ze mną działo, jak się poświęcałem i narażałem, by do niej dotrzeć i tak naprawdę guzik ją to obchodziło! Po prostu wkurzała się, bo dotknąłem jej babskiej próżności!

- Mówiłem ci już, że to nie tak... Załatwiłem po prostu kwestie relacji między nami...

- Załatwiłeś!? – nie dała mi dokończyć. – Ty „załatwiłeś kwestię”, a pomyślałeś, co ze mną?

- Jeżeli ma cię to męczyć, jak sobie nie dajesz z tym rady, to mogę rozwiązać i ten problem – wypaliłem, bo mnie już zaczynała męczyć swoimi irracjonalnymi pretensjami.

- Taaak?! A ciekawe jak?

- Dam ci po prostu parę razy gnatem ze strusiej nogi w kalarepę i będzie po sprawie!

- Coooo?! No wiesz! Wiedziałaś, że jesteś gruboskórny... czasami, ale okazuje się, że z ciebie jest zwykły cham! Prostack!

Zamachnęła się nagle zawiniątkiem i cisnęła nim we mnie, a następnie uciekła w głąb chaty. Teraz nie miałem już żadnych wątpliwości. Zawiniątko rzeczywiście było pieluchą, w dodatku z zawartością. Błeee. Cieputnąłem pamperssem za siebie i podreptałem nieśmiało za Sarą. Siedziała na krześle w głębi izby, łokcie miała wsparte o blat stołu, w dłoniach skrywała twarz, a przez jej plecy przebiegały drżenia.

„No i popłakało się babsko”, pomyślałem bez entuzjazmu (bo nigdy nie lubiłem, jak kobiety płaczą) a jednocześnie z... miłością. Tak! Z miłością! Byłem pewien, że ją kocham, tę małą, kruchą dziewczynę, o rudych włosach, pełną życiowej pasji i dobroci. Kochałem ją najczystsza, najbardziej szczerą miłością, jaką sobie można wyobrazić!

Objąłem ją i zacząłem mówić, nieskładnie, chaotycznie, szarpanymi pół zdaniami.

- To nie jest tak jak myślisz... skarbie, nie płacz... ten twój telegram.. widzisz... przeciez wiesz jak było i ja... mnie wtedy znowu, jak tam, na wyspie... wszystko wróciło... tak cię chciałem! Ale nie mogłem przyjechać tu, do ciebie od razu, bo... Nie jest ze mną dobrze, skarbie...

Chciałem jeszcze powiedzieć, że wciąż ją kocham, ale sobie przypomniałem tę nieszczęsną pieluchę i wyznanie zamarło mi na ustach.

- Ale ty przecież masz dziecko? – zapytałem niepewnie, zdziwiony tym swoim nagłym odkryciem.

- Co mam? – oczy Sary zrobiły się okrągłe ze zdumienia. – Dan, kochanie, przepraszam cię. Nic nie rozumiem z tego, co powiedziałaś, ale widzę, że musiałaś dużo przejść. Nie, nic nie mów. Teraz wiem, zawsze wiedziałem, że mogę na ciebie liczyć, że przybyłeś najszybciej jak mogłeś. Po prostu twój widok... Jeszcze raz przepraszam cię, że tak na ciebie naskoczyłam. Na pewno jesteś zmęczony i chcesz odpocząć. Zaraz poproszę Mobutu, by przygotował ci izbę.

- Saro... powiedz mi prawdę – poprosiłem.

- Ale o czym? – w jej głosie znowu zabrzmiało szczere zdziwienie.

- O dziecku...

- Przecież...

- Och, przestań kręcić – powiedziałem zrezygowany, bo poczułem nagle niewymowny smutek. – Przecież widziałem. Zapomniałaś? Cisnęłaś we mnie pieluchą...

Twarz Sary skamieniała na chwilę, ale zaraz potem rozpogodziła się i dziewczyna wybuchnęła perlistym śmiechem.

- Pielucha, ja nie mogę, pielucha! Oj trzymajcie mnie, bo pęknę. Słyszałeś Mobutu? Mój przyjaciel zobaczył pieluchę i myślał... - sara aż zatoczyła się ze śmiechu. - Dan, kotku, zaraz zobaczysz to... dziecko.

Sara, wciąż zaśmiewając się do rozpuku, wyszła z chaty, zostawiając mnie z Mobutu, który też najwyraźniej miał ze mnie niezły ubaw, bo się szczyrzył, jak koń do obroku. Dziewczyna za sekundę już była z powrotem, trzymając w rękach becik.

- Popatrz, Dan. To moje dziecko!

Wstałem. Na miękkich nogach podszedłem do Sary, zupełnie zdezorientowany z ciekawością zajrzałem do becika i sam zacząłem się śmiać. W zawiniątku słodko spało gorylątko.

XII

Siedzieliśmy na tarasie i popijali kawę. Zrobiłem odstępstwo i kawa była z prądem, u mnie raczej niewielkim, ale z przyjemnością odnotowałem znajomy, ostry smak, miło drażniący język i podniebienie. Sara nie żałowała sobie. Wyglądało, że chce się upić i to w

moim towarzystwie. Tylko, że ja postanowiłem wytrwać w postanowieniu i marny był ze mnie kompan.

- O czym myślisz?

- A takie tam...

- Schudłeś...

Nawet się nie zapytała skąd moja wstrzemięźliwość do alkoholu, ani co jest ze mną nie tak, tylko walnęła prosto z mostu „schudłeś”. „Schudłeś” oczywiście nie znaczyło „schudłeś”, tylko „zestarzałeś się”. Tak po prostu, bez najmniejszych ceregieli, prosto w oczy wywaliła mi, że się chylę, że mi coraz bliżej, że po prostu stary dziad ze mnie. Zaczynałem sobie przypominać, że jakbym jej nie wielbił, to rozmawiać nigdy z nią nie mogłem...

- Nieee, wydaje ci się. Brzuchał mi nawet jakby urósł. Ale trzymam się, trzymam. Ty za to nic się nie zmieniłaś.

Uśmiechnąłem się nieszczerze, bo nagle zacząłem dostrzegać, że się również posunęła przez te szesć lat. Miała kurze łapki pod oczami. Zmarszczki na szyi. Jak sięgała po coś, to marszczył się jej także dekolt. Musiała przybrać kilka kilo. Rzekłbym nawet, że zrobiła się taka trochę mamuszkowata (sam mi się tak jakoś nasunął obraz Sary karmiącej piersią to małpiątko, co je widziałem kilka chwil temu). I w ogóle była zapuszczona. Jak to w dżungli. Pomyślałem sobie, że na pewno ma skorupę na piętach. Była to czysta, intuicyjna spekulacja i na niej też poprzestałem. Wołałem się nie przyglądać. Czyżbym się bał, że się rozczaruję?! Że ta miłość to fikcja? Że uleciała już?!

- Rzekłbym nawet, że wyszlachetniałaś, wypiękniałaś... – dodałem.

- Och, daj spokój... - zaprotestowała, ale nie brzmiało to przekonująco, od razu było widac, że komplement ją ucieszył (jak to niewiastę). – Teraz jest ze mnie stara, zaniedbana wsiowa dziewczucha... od małp.

- Od małp człekokształtnych – dodałem trochę bezmyślnie, bo mi się znowu przyplątał ten obraz Sary z gorylem przy cycku.

- Wiesz, to czasami jest nawet gorzej... - jej głos zadrżał w charakterystyczny sposób. – One są... te maluchy, jak... jak ludzkie niemowlęta...

- Chciałabyś mieć... własne dzieci?

- Tak, ale... Ale nie o to chodzi. Jakbyś był z nimi tyle lat co ja, poświęcił tym małpom tyle czasu... Jakbyś widział, jak żyją, jak się wzajemnie... jakie są relacje między nimi...

- Jestem w stanie sobie to chyba w jakimś stopniu wyobrazić... chociaż pewnie nie tak, jak ty to czujesz.

- One żyją, jak w raju, rozumiesz? To znaczy... jakby nie ludzie. Gdyby im tylko nie przeszkadzać, pozwolić istnieć. Po prostu dać im spokój! One tak pięknie żyją! Tak potrafią się wszystkim cieszyć i mają takie niewielkie wymagania. Jedzą, bawią się, rozmnażają, wychowują dzieci... Są jak... jak my zanim skalał nas grzech pierworodny... A my to niszczymy! Niszczymy je i ich świat...

- My? – zapytałem głupio, chociaż doskonale wiedziałem, co ma na myśli.

- No my, ludzie. Czy wiesz, że w trzech parkach narodowych na terenie Konga i Ugandy żyje obecnie zaledwie około siedmiuset goryli górskich?

- To chyba i tak lepiej niż przed kilkunastu laty?

- Owszem, rzeczywiście przybyło kilka stad, ale na tych zwierzętach i tak ciąży wyrok śmierci. Nie wybija się ich już wprawdzie masowo, polowania są sporadyczne, ale decyduje o tym biznes.

- To znaczy?

- Nie zarabia się dużej forsy na sprzedaży trofeów, nie wylapuje młodych do ogrodów zoologicznych, chociaż i teraz zdarzają się incydentalne przypadki odławiania pojedynczych osobników dla prywatnych inwestorów, nadzianych gnoi, którzy chcą mieć u siebie goryla na pokaz. Za to rozwija się turystyka, a to z kolei prowadzi do przenoszenia się drobnoustrojów chorobotwórczych z ludzi na zwierzęta.

- A układ immunologiczny goryla zapewne nie radzi sobie ze wszystkimi ludzkimi mikroorganizmami...

- No proszę, jeszcze się okaże, że nie tylko lejesz ludzi po pyskach, ale masz gdzieś w szufladzie schowany doktorat z mikrobiologii.

- Jak się nie jest głuchym na proste prawdy historyczne, to sobie akurat takie wnioski łatwo można dośpiewać. W końcu konkwista była tak skuteczna nie tylko dzięki sile karabinów. Inkowie zostali przecież ostatecznie zgładzeni nie tyle przez samych Hiszpanów, co przez przywlezione przez nich bakterie i wirusy.

- No tak, w tobie, pod powłoką zabijaki, zawsze krył się wrażliwy, odczytany i inteligentny facet... I to właśnie mi się w tobie najbardziej podobało. Ale to jeden z problemów...

„O rety”, przeraziłem się „teraz znowu zaczniesz analizować nasz związek”. Szybko jednak okazało się, że Sarze nie chodziło o problemy ze mną, ale po prostu powróciła do przerwanej wątku.

- Innym jest ekspansja rolnictwa, a co za tym idzie wycinanie lasów. Dla goryli z roku na rok jest coraz mniej miejsca. Potrzebne są pieniądze, by powstrzymać ten proces, a tych nie ma.

Pomyślałem, że były to najbardziej charakterystyczne cechy pieniędzy: po pierwsze - stanowiły jedyny sposób na rozwiązywanie problemów znany współczesnemu światu; po drugie – nigdy nie było ich tam, gdzie najbardziej były potrzebne. Już miałem pogрузić się w niewesołych rozważaniach, ale dźwięk słów, które właśnie wypowiedziała dziewczyna, włączył mój wewnętrzny alarm

- W dodatku przed kilkoma tygodniami zaczęły się dziać dziwne i straszne rzeczy...

- Taaak? – zapytałem z napięciem, czując, że rozmowa przestaje być jedynie pogawędką niedysiejszych kochanków, że zaczyna nabierać konkretnego wymiaru.

Byłem pewien, że dowiem się wreszcie, po co tłukłem się z Polski taki kawał świata.

- Chodzi o to, że jakiś miesiąc temu moi ludzie znaleźli pierwsze zwłoki...

- Goryla? – zapytałem, chociaż byłem pewien, co za chwilę usłyszę.

Pewnie znowu jakaś zgraja skretyniałych białasów, miłośników mocnych wrażeń, postanowiła zapolować. Wynik mógł być tylko jeden. Tym bardziej, że goryle, wbrew przypisywanym im, wręcz mitycznym cechom, nie są nawet odrobinę agresywny i zawsze więcej na widok obcego człowieka. (Podkreślam, że obcego, bo na przykład z Sarą, a więc osobą, która dużo czasu przebywała w ich pobliżu, mogły się nawet na swój sposób kumplować). A jeżeli zdobywają się na zaprezentowanie swojej siły, to nigdy nie czynią tego w sposób dosłowny i brutalny, ale umowny – urządzają pokaz krzepy uderzając dłońmi o pierś, pozorują szarżę, szarpia za gałęzie itp. Goryl, pomimo swoich rozmiarów (dorosłe samce często ważą grubo ponad dwieście kilogramów i mierzą około dwóch metrów wzrostu) oraz wielkiej siły, w konfrontacji z człowiekiem uzbrojonym w karabin nie ma najmniejszych szans.

- Nie, nie goryla. Człowieka! – ku mojemu zaskoczeniu sprostowała Sara.

- A co na to miejscowa władza?

- Miejscowa co?! Pogięło cię? Władza na tym zadupiu? Poza tym chodzi o to, że ten człowiek... ten człowiek był rozerwany na strzępy.

Poczułem charakterystyczne mrowienie w okolicach karku, które zawsze pojawia się u mnie, gdy sprawa, którą się mam zająć, naznaczona jest tajemnicą i niesamowitością.

- Na strzępy?! Jak mam to rozumieć?

- Dosłownie. To było straszne, ale w końcu jestem naukowcem do cholery! Dokładnie przyjrzałam się więc zwłokom, a właściwie ich poszczególnym fragmentom. Bo denat był dokładnie, precyzyjnie pokawałkowany. Napastnik, ktoś lub coś, bo nie mam pojęcia, co to było, kto byłby zdolny do wykonania tak potwornej, a jednocześnie tak precyzyjnej pracy, oderwał od korpusu głowę oraz wszystkie kończyny. Głowa została zmiażdżona. Ręce i nogi

zostały dodatkowo porozrywane w stawach na mniejsze części tak, że ramiona, przedramiona, dłonie, stopy, uda i łydki leżały osobno. Brzuch ofiary został rozplątany, część miedniczna oderwana od reszty tułowia, zaś z klatki piersiowej zostało wyszarpane serce i nabite na odłamaną gałąź drzewa.

- Wygląda to na pierwszy rzut oka na jakiś mord rytualny – powiedziałem, by przerwać ciszę, która zapadła po makabrycznym monologu Sary, chociaż sam nawet odrobinę nie wierzyłem w tą swoją żalną teorię.

- Ty chyba mnie nie słuchałeś. Albo starość ci doskwiera... To co mówię, mówię precyzyjnie. Przecież jestem...

- Tak, wiem, przecież jesteś naukowcem – przerwałem jej dość brutalnie, ale miałem mętlik w głowie i - nie wiem dlaczego – krew zaczynała się we mnie burzyć.

- Powiedziałam więc wyraźnie, że zwłoki zostały POROZRYWANE. Nie pocięte. Do fragmentacji nie użyto żadnego narzędzia, noża albo siekiery. W dodatku kończyny miały bardzo charakterystyczne ślady wybroczynowe w kształcie... - głos uwiązł na chwilę Sarze w gardle, ale szybko zebrała się i kontynuowała – w kształcie dłoni. Ludzkich dłoni.

- Skąd pewność, że były to ludzkie dłonie, a nie na przykład dłonie goryla?

- Mam taką pewność z oceny kształtu i proporcji tych śladów. Były co prawda bardzo duże... ogromne! Ale z pewnością ludzkie!

- OK., niech będzie. Ale co z tego? O czym to świadczy?

Zaczynałem się domyślać, jak zginął ów człowiek, ale chciałem to usłyszeć od niej. W końcu była naukowcem.

- Jeszcze nie rozumiesz? Wszystko wskazuje, że oprawca łapał każdą z kończyn po kolei z obu stron przy każdym stawie i rozrywał je tak, jak się rozrywa kurczaka!

Niby wiedziałem, jak wyglądał mord jeszcze zanim usłyszałem ostateczną diagnozę od Sary, a jednak dopiero teraz pot zaczął mi spływać stróżkami z czoła. Nie to żebym się bał, ale...

Jakąż potworną siłą musiał dysponować osobnik, który był w stanie w ten sposób rozszarpac dorosłego mężczyznę?! Czyżby w okolicy grasowało więcej takich koleś, jak ten, który zaatakował mnie na kutrze? Czyżby w starej, pocziwie zacofanej czarnej Afryce nagle zaroilo się od krwiożerczych cyborgów?!

- Ale to nie koniec. Szczątki nie były bezładnie rozrzucone, ale ułożono z nich...

Przypominało to trochę napis.

- Napis?!

- No tak. Tyle, że znaki, te litery były jakieś dziwne. No nie wiem. Tak mi się skojarzyło, że to napis, ale rozumiesz, sytuacja była taka... Dan, to była jatka. Po prostu nie mogłam... nie zastanawiałam się nad tym. Dopiero później...

- Umiałabyś odtworzyć ten napis?

- Nie, raczej nie. Może pojedyncze znaki...

- Postaraj się. To może być ważne.

- Na pewno było 0. Chyba też coś jak odwrócone h, a także duże S. Tyle. Więcej nie pamiętam.

- Dobra. Coś jeszcze?

- Ofiara była uzbrojona. Zresztą pokażę ci.

Sara skierowała się do szafy, a po chwili położyła na stole niewielki, zgrabny karabin maszynowy MP-5.

- Ładna zabawka. A mimo to facet dał się przerobić na karmę dla hien...

Sprawdziłem magazynek. Był prawie pusty. „Nieźle”, pomyślałem i odruchowo zacisnąłem szczęki. Wszystko wskazywało, że na tym cholerny zadupiu czeka mnie jeszcze niezły ubaw.

- I jeszcze to...

Sara położyła przede mną dziwnie znajomy przedmiot. Dałbym sobie rękę odciąć, że podobnym szpejem zostałem zaatakowany w obozie Kebangi (tyle, że ten był zdecydowanie większy). Tym samym upadła moja robocza teoria o bandzie terminatorów terroryzujących okolicę, bo byłem pewien, że typy, które mnie atakowały, a więc ten w obozie Kebangi i ten na kutrze, grały w jednej drużynie. A więc i facet w strzępach, z racji podobnego uzbrojenia, musiał mieć z nimi coś wspólnego. Co zatem mu się przydarzyło?! Kto lub co dokonało na nim tak okrutnej operacji pomimo, że był uzbrojony po zęby w niewyobrażalnie nowoczesny sprzęt?! Nie miałem dość danych, by odpowiedzieć na to pytanie, więc zabrałem się za badanie tajemniczego przedmiotu.

- Próbowalaś się tym bawić? – zapytałem Sarę.

- Ani mi to było w głowie!

- No i całe szczęście. Odsuń się, proszę – powiedziałem i wziąłem broń do ręki.

Przyjrzałem się jej uważnie. By nie wdawać się w nadmiernie rozbudowane opisy powiem tylko, że przypominała trochę rączkę kija narciarskiego (tyle, że była dłuższa i bardziej pękata), albo rękojeść floretu. To ostatnie porównanie jest nawet lepsze, tylko kto widział floret? Pozostajmy może zatem przy kijku? Jak widać przedmiot ów w stanie spoczynku wyglądał całkiem niewinnie. Trzeba było go dopiero uaktywnić, by zdradził swoje prawdziwe przeznaczenie. Właściwie ktoś obdarzony mniejszym doświadczeniem i wyobraźnią mógł w

ogóle nie zainteresować się przedmiotem, który właśnie miałem w dłoni. Doprawdy intuicja Sary mogła imponować! Ale przecież była naukowcem... Przyglądałem się broni usiłując odnaleźć jakiś przycisk aktywujący ją, ale niczego nie znalazłem. Mechanizm blokujący musiał być sterowany w jakiś bardzo sprytny sposób. „Rączka od kijka” nie miała żadnych ruchomych elementów, które można by było wcisnąć, przesunąć, bądź przekręcić.

- Cholercia... - bąknąłem pod nosem przekonany, że z tajemniczym ustrojstwem nie pójdzie mi łatwo.

Zupełnie machinalnie wykonałem nadgarstkiem ósemkę i...

- O w mordę jeża! Ja cierpię dołą! – zawołałem z Sarą jednocześnie (kto z nas co zawołał nie ma chyba większego znaczenia), bo z rękojeści wystrzelił skoncentrowany snop światła. Całe szczęście, że nie trzymałem broni skierowanej w drugą stronę, bo bym się nią rozplątał. Z łaski boskiej nic też nie stało się Sarze – koniec śmiertelniegroźnego fleszu zatrzymał się zaledwie kilkadziesiąt centymetrów przed jej uroczym biustem!

- Uważałbyś z tym draństwem trochę! – warknęła na mnie przestraszona, a jednocześnie zafascynowana widokiem.

Przyznam, że mnie też opadła szczeka, ale, jakby nie było, dzierżyłem w ręce, ni mniej ni więcej, tylko miecz świetlny jako żywo wyjęty z „Gwiezdných wojen”!

&&&

Pokusa by wypróbować broń była zbyt duża. Wstałem i rozejrzałem się za czymś, w co mógłbym wycelować mordercze ostrze.

- Mam nadzieję, że nie będzie ci żal tego krzesła – zwróciłem się do Sary, wskazując mebel stojący po drugiej stronie stołu.

Nie czekając na odpowiedź wziąłem delikatny zamach i bez najmniejszego wysiłku odciąłem oparcie. Następnie wykonałem pchnięcie wymierzone w siedzenie. Świetlna klinga bez problemu przeszła drewno, pozostawiając po sobie niewielki, okrągły utworek o gładkich ściankach. Rozochocony efektami wyprowadziłem fintę prosto w ścianę chaty. Tym razem efekt nie był natychmiastowy. Od momentu zetknięcia klingi ze ścianą do całkowitego jej przebicia upłynął jakiś mierzalny czas, na tyle jednak krótki, bym wyczuł go nie tyle wrażeniowo, co intuicyjnie.

Zaspokoiwszy pierwszy pęd eksperymentatorski, dezaktywowałem broń i zwróciłem się do Sary:

- Fajny gadżet, nieprawdaż? Dalej tylko nie rozumiem, jakim cudem facet wyposażony najwyraźniej w absolutny high tech militarny dał się tak smętnie załatwić? Masz może jakąś teorię na ten temat?
- W końcu to ty jesteś od takich teorii...
- Na razie czuję się zupełnie zagubiony –mówiąc to sam zdziwiłem się swoją szczerością. – Jakbym wieczorem tankował z tobą, to bym myślał, że mam regularną delirkę. Ale jestem trzeźwy jak świnia i jeżeli całe życie nie jest jakimś p... cholernym matrixem, to muszę uznać, że wszystko co się dzieje od momentu, jak dostałem list od ciebie, jest rzeczywistością. Kompletnie porąbaną, ale jednak rzeczywistością. Na razie nie mam kompletnie pojęcia, co się dzieje i dlatego pytam ciebie. Może masz jakieś pomysły, wskazówki? Może zdarzyło się jeszcze coś dziwnego? Dla mnie każda informacja, każdy ślad może być cenny.
- Te... szczątki znalezione w dżungli, to rzeczywiście nie wszystko. Potem ludzie zaczęli mówić różne rzeczy... Ale chyba najlepiej będzie, jak zacznę do początku?
- No to dawaj, mamy czas – ośmieliłem Sarę, bo w jej oczach pojawiła się niepewność i obawa.
- A więc, ja już kiedyś pracowałam w tym rejonie. Jako doktorantka byłam zafascynowana pracą Diany Fossey. Chciałam wnieść jakiś konkretny, wymierny wkład w ochronę i poznanie ginących gatunków. Przyjechałam do Konga, ale nie wytrzymałam długo. Nie byłam gotowa...
- Na co?
- W ogóle... Na warunki, na relacje z miejscowymi władzami, na... Nie potrafiłam nabrać dystansu, a wiesz, jak się za bardzo zaangażujesz, jak zacznasz obiekt badań traktować emocjonalnie... Byłam wtedy niedojrzała, nazbyt miękka. Ale to teraz nie ma znaczenia. Nie przerywaj mi tylko pozwól mówić.
- Skinąłem głową.
- Po kilku miesiącach wyjechałam, a właściwie uciekłam stąd – Sara kontynuowała opowieść.
- Robiłam różne rzeczy, poznałam ciebie... A potem... Potem przyjechałam tutaj z powrotem. Coś ciągnęło mnie do tego miejsca i do tych zwierząt. To głupie, ale wydawało mi się... wydaje, że jestem im coś winna... za innych. Nieważne. Jak przyjechałam okolica niby była taka sama, ale... Jakieś trzydzieści kilometrów stąd, w kierunku zachodnim, odkryłam bazę, której wcześniej nie było. To był dla mnie szok, bo to nie było kilka drewnianych chatek, jak tutaj, tylko aluminiowe hangary, nowoczesne pawilony, a w dodatku wszystko ogrodzone wysoką siatką i dokładnie strzeżone. W sumie, tak na oko, co najmniej kilka

hektarów ziemi niedostępnej dla zwykłego śmiertelnika. W pierwszym momencie myślałam, że to baza wojskowa, ale szybko zorientowałam się, że nie, że to jakiś prywatny obiekt. To jedno. Nie wiem, czy to ważne, ale taka baza, w środku dżungli, to chyba jednak podejrzana sprawa?

- Być może... nawet na pewno. Jeszcze coś?

- Widzisz, tu kiedyś był znaczny ruch turystyczny, ale w pewnym momencie urwał się...

- Urwał?

- No tak. Bez powodu. A przynajmniej ja takiego nie widzę. Jakby władze wydały jakiś zakaz... Zresztą nas też próbowano wyrugować, ale po paru nieskutecznych próbach nacisku...

- Ktoś was zastraszał?!

- Och, ty od razu z tymi swoimi... fobiami. To nie było zastraszanie. Raczej perswazja, szukanie braków w dokumentach... Takie tam. W końcu dano nam do zrozumienia, że możemy zostać, ale pod warunkiem, że nie będziemy wściubiac nosa w nie swoje sprawy.

- Kto naciskał?

- Urzędnicy, a także jacyś faceci... w czerni. Wyglądali, jak ważniacy z CIA.

- Dobra... Co było dalej?

- Naszym podstawowym zadaniem jest liczenie goryli. Poza tym ja starałam się do nich zbliżyć, poznać ich życie od wewnątrz, jak Diana. No i od razu zorientowałam się, że goryle znikają...

- Znikają?!

- Znikają, przecież wyraźnie mówię. Na ogół młode osobniki, często zaraz po urodzeniu, rzadziej dojrzałe. To znaczy, żebyś nie rozumiał, że masowo. No i to było jednak dość dawno temu, na początku mojego pobytu. Przypuszczam, że w ciągu kilku miesięcy, może roku, zniknęło około dwunastu sztuk. Zwierzęta znikają bez śladu. Potem właściwie przez lata nic się nie działo, krążyły tylko pewne plotki, aż do momentu, kiedy odnaleziono tego... w kawałkach. Wtedy ludzie zaczęli gadać na całego, ale po kątach.

- Murzyni?

- No a kto? Moi współpracownicy to wyłącznie czarni. Najwyraźniej czegoś się bali. Tutaj pracowało kilkanaście osób, ale większość zwiłała po odnalezieniu trupa. Został tylko Mobutu i dwóch młodszych mężczyzn: Mugabe i Mzimu. Aha, bo to też może być ważne...

- Słuchaj, przepraszam, że ci przerywam, ale nagle o czymś pomyślałem, a wiesz, stary jestem, jeszcze potem o tym zapomnę... Skąd się wziął u ciebie ten mały goryl?

- Toż właśnie chcę ci o tym opowiedzieć!

Pomyślałem sobie, że jest jednak między nami jakieś sprzężenie... metapsychiczne.

- Na kilka dni przed tym makabrycznym odkryciem doszło do... no może nie aż tak, ale też nieprzyjemnego... tragicznego incydentu. Mzimu znalazł w lesie martwego goryla, samicę. A przy zwłokach matki – młode. Ponieważ był pewien, że reszta stada uciekła i że malec nie może liczyć na opiekę ze strony ziomków, zabrał go do obozu.

- Czy w miejscu, w którym znalazł tego goryla, coś zwróciło jego uwagę?

- Tak. Twierdził, że musiała się tam rozegrać jakaś walka. Wszędzie było pełno krwi, zarośla były stratowane. Znalazł też łuski po nabojach.

- Zarośla mogły zostać stratowane przez goryle, uciekające w panice. Krew też mogła należeć do postrzelonych zwierząt...

- Nie tylko!

- Skąd możesz to wiedzieć? – zapytałem szczerze zdziwiony pewnością w głosie Sary.

- Bo tam byłem! Wybrałem się w miejsce wskazane mi przez Mzimu jeszcze tego samego wieczora. Wzięłam stamtąd próbki krwi. Po analizie okazało się, że oprócz krwi goryli...

- Była tam także ludzka krew?! – wyrwałem się.

- I ludzka. Ale nie tylko...

- Nie tylko?!

Goryle nie atakują ludzi, boją się ich. Wiedziałem o tym z całą pewnością. Huk wystrzałów musiał w nich wzbudzić totalną panikę. Powinny były rzucić się do bezładnej ucieczki.

Miałem taką pewność, więc wiadomość o odnalezieniu na miejscu zdarzenia krwi ludzkiej była wystarczająco zaskakująca. A tu masz babo placek! Jakby tego było mało, Sara twierdziła, że była tam jeszcze jakaś inna krew! Nie ludzka i nie goryla! A więc kogo do k... jasnej flaneli? Kogo?!

- Dobrze słyszysz – powiedziała Sara dobitnie. – Wśród próbek przebadanych przez mnie była jeszcze krew... - Sara zawahała się. – Jakiegoś... innego organizmu.

- Innego? Co to znaczy innego? Innego zwierzęcia?

- W pewnym sensie... być może... Pewnie można tak powiedzieć...

- „Być może”, „w pewnym sensie” – powtórzyłem za nią zdenerwowany. – Szlag mnie trafi! Mogłabyś trochę jaśniej? Kosmita jakiś grasuje po krzakach?! Jakiś p... p.... cholera, jakiś zakichany Predator, czy co?!

- Kosmitów raczej bym wykluczyła – z pełną powagą odpowiedziała Sara. – DNA z tej trefnej próbki z pewnością było ziemskie. Tyle, że...

- Tyle, że co?! Zmiłuj się kobieto, bo jak będziesz dalej tak opowiadać, to sobie zrobię seppuku tym posr... zafajdanym mieczem Jeday!

- Ale ja sama nie wiem! – wydarła się na mnie Sara. – To DNA nie było ludzkie. Bardzo zbliżone, ale nie ludzkie. Nie było też zwierzęce... Było jakby... Jakby pochodziło z jakiejś hybrydy!

- No to pięknie... - wydyszałem pełen obaw, że jednak nie jestem przy zdrowych zmysłach. Może jednak mi się to wszystko śniło? Może to był matrix? Tylko jak się miałem o tym przekonać?! Jak?! Ponieważ nie ma sposobu, by odróżnić jawę od odpowiednio wyrafinowanej ułudy, musiałem przyjąć wszystko, co usłyszałem, za fakt dokonany. Zaakceptowanie tej prostej prawdy wcale nie poprawiło mi humoru. Miałem dość. Serdecznie dość.

- Dan?

Moje imię, nieśmiało wypowiedziane przez Sarę, przebiło się do mnie, jakby zza grubej kotary. Dziewczyna najwyraźniej dostrzegła mój stan.

- Jeszcze coś?

- Umhm, ale to już naprawdę koniec.

- No to wal śmiało. Dobij starego Dana...

- Zarośla w miejscu, w którym spoczywał zabity goryl, były wygniecione w wielu miejscach, jakby po obwodzie okręgu. W kilku takich miejscach widniały krwawe smugi, jakby ktoś kogoś włókł w krzaki...

Jęknąłem i błędnym wzrokiem rozejrzałem się wokół siebie. Byłem przekonany, że za chwilę rzuci się na mnie POTWÓR!

&&&

Był późny wieczór. Sara poszła do siebie. Stary Mobutu wartował z flintą na zewnątrz. A ja siedziałem przy stole, przyświecając sobie lampą naftową i gmerałem przy świetlnym mieczu. Doszedłem już do siebie po niesamowitej opowieści Sary, a ponieważ nie było w pobliżu żadnego Yody, który zdradziłby mi sekret tak wyrafinowanej broni, musiałem sobie radzić sam. Musiałem się dowiedzieć, jakim cudem to draństwo działa. Jak jest skonstruowane. Skąd czerpie energię. Początkowo skupiłem się na samej promienistej klindze. Wykonałem kilka prostych eksperymentów i doszedłem do wniosku, że ostrza nie tworzy wiązka laserowa, jak początkowo (najzupełniej odruchowo) założyłem, ale cząsteczki plazmy uwięzione w odpowiednio ukształtowanym polu magnetycznym. W przekonaniu do nowej teorii utwierdziła mnie igła kompasu, która w pobliżu uaktywnionej broni dostawała

kompletnego amoku. Gdy wyczerpałem możliwości zewnętrznych badań, postanowiłem dobrać się do wnętrza. Wiedziałem, że nie popuszczę, aż nie zajrzę do środka. Taki już byłem. Trochę jak mały chłopczyk, który musi rozebrać na kawałeczki każde napotkane urządzenie, choćby miał je zniszczyć i pokaleczyć sobie paluszki. Pamiętałem, co stało się z nożem laserowym. A to był miecz! A zatem, jeżeli też był wyposażony w mechanizm autodestrukcji, a zapewne był, ładunek niszczący musiał mieć o wiele większą siłę rażenia. Wiedziałem, że grozi mi niebezpieczeństwo, ale nie mogłem inaczej. Musiałem go wypatroszyć! A zresztą... Przecież i tak najprawdopodobniej nie pozostało mi więcej, jak kilka miesięcy życia...

Próbowałem dobrać się do broni na różne sposoby, ale nie poddawała się. Trik, który umożliwił rozłożenie jej był najwyraźniej równie sprytny, a pewnie i prosty, jak metoda aktywacji. Mijały godziny, a mnie nie udawało się wdrzeć do wnętrza. Lampa błyskała, wzrok mi mętniał, pociły mi się dłonie. Leciałem ze zmęczenia na nos, ale uparcie próbowałem i próbowałem. Byłem wk... rozdrażniony do granic wytrzymałości! Trafiał mnie szlag i zalewała mnie krew! „To cholerstwo jest gorsze nawet od roweru z zapieczonym wolnobiegiem!”, pomyślałem wściekle. Przypominałem sobie walki, jakie staczałem w młodości z rowerem marki Pasat, przy okazji przeprowadzania rutynowych konserwacji po każdym sezonie kolarskim. Dobranie się do bebechów łożyskowania tylnej zębátky, złośliwie zakleszczonych na amen, to było nie lada wyzwanie i na ogół nie obywało się bez ostrej nap... nawalanki młotem, rzucania mięsem (a bywało, że i narzędziami) oraz pokrwawionych paluchów. Młot! To było to! „Przecież bez majzla i młota, to nie jest robota”, przemknęło mi przez umysł nadwerżony późną porą, emocjami dnia oraz nadmiernym wysiłkiem intelektualnym. Wyskoczyłem przed chatę i zawołałem w stronę Mobutu:

- Eeeee, Mobutu! Macie wy tutaj młotek?!

- Młotek? – zapytał zdziwiony Mobutu.

- No młotek, rozumiesz, takie żelazne ustrojstwo zamocowane na drewnianym drążku, służące do nap... służące do wbijania.

- Przecież wiem, co to młotek, nie jestem idiotą – wymamrotał pod nosem Mobutu i powłókł się w stronę szopy, w której najwyraźniej trzymano narzędzia.

Po chwili powrócił wlokąc za sobą młot zaj... monstualnych rozmiarów, na oko ważący co najmniej dziesięć kilogramów. Przyznam, że nie tego się spodziewałem. Liczyłem na jakiś normalny, warsztatowy młotek, którym bym mógł opukać delikatnie broń. Rozważałem też możliwość użycia wieloostrowego scyzoryka, z którym się nigdy nie rozstawałem, jako dłuta i popukania go młotkiem. Młot, który przytaszczył Mobutu ani do jednaj, ani do drugiej

funkcji się nie nadawał. Nadawał się jedynie do ostatecznej rozpiarduchy. Byłem w takim stanie ciała i ducha, że tylko uśmiechnąłem się szatańsko, porwałem kafar i posapując zniknąłem we wnętrzu chaty.

- No to teraz zobaczymy kto kogo – powiedziałem i ułożyłem dezaktywowany miecz na środku stołu.

Wziąłem zamach i... wtedy naszła mnie pewna dość zasadnicza wątpliwość. A właściwie nie była to wątpliwość. To było OBJAWIENIE! Dotarło do mnie z całą dramatyczną bezwzględnością, że jak trafię tym p... cholernym młotem w tą j... za... zaaaa... zakichaną broń, to jest prawie pewne, że w tym samym momencie wylecę w powietrze. A ze mną być może także stary Murzyn i moja luba! Chciałem powstrzymać mordercze uderzenie, ale było już za późno - obuch przekroczył najwyższy punkt paraboli i nieuchronnie opadał w dół.

Jedno, co mogłem zrobić, to skorygować tor jego ruchu o tyle, by nie trafił w miecz.

Napiąłem się całą siłą swoich starych, ale wytrenowanych mięśni, ale wciąż wydawało mi się, że katastrofa jest nieuchronna. Młot pomimo moich wysiłków wciąż zmierzał w stronę broni.

Zrezygnowany zamknąłem oczy i odwróciłem głowę (jakby mi to mogło w czymkolwiek pomóc!). Rozległ się straszliwy łoskot uderzenia i jęk pękającego mebla. Niemal w tym samym momencie przez zamknięte powieki moje oczy zaatakowała oślepiająca jasność. „No to po mnie”, pomyślałem. Czekałem na straszliwe uderzenie żaru eksplozji. Dopiero po chwili dotarło do mnie, że jakbym miał wylecieć w powietrze, to nic bym nie usłyszał i nic nie zobaczył, bo bez zbędnych wstępów zostałbym natychmiastowo i bezboleśnie rozmazany na suficie w postaci marmolady. Otwarłem oczy, ale od razu zamknąłem je, oślepiony. Po omacku wyszedłem przed chatę, wpadając w ramiona Mobutu, wykrzykującego coś bezładnie. Łypnąłem jednym okiem. Obraz wciąż był niewyraźny, ale byłem pewien, że mój wzrok nie uległ jakiemuś groźniejszemu porażeniu, że dysfunkcja oczu, z których ciurkiem ciekły mi łzy, ma tylko chwilowy charakter. Groźniejszy wydawał mi się teraz Mobutu, który, z niejasnych dla mnie przyczyn, gwałtownie potrząsał mną trzymając za barchatki. W dodatku cały czas wykrzykiwał przeraźliwie coś, co nie pozwalało mi się skupić.

- Zamknij się w końcu, do k... cholery! – ryknąłem na niego i odepchnąłem.

Potarłem oczy i rozejrzałem się dokoła. Najpierw zobaczyłem Murzyna, który, wciąż z fajką w gębie, padł na kolana i, zaciskając zębiska na cybuchu, zawodził, jakby się za chwilę miał świat skończyć, a potem Sarę, która wyrwana ze snu, nadbiegała w naszą stronę w mocno niekompletnym stroju. A wszystko to widziałem, choć był środek nocy, skąpane w tryskającym na wszystkie strony pomarańczowym świetle. Szczególnie nie skrępowane

niczym, powiewające w biegu bimbalki Sary, robiły w takim oświetleniu piorunujące wrażenie! Aż Murzynowi faja wypadła z rozdziawionej japy!

- Jezus Maria! Co tu się dzieje?! – zawołała przerażona Sara.

- Nie wiem... ale się dowiem – odpowiedziałem wzruszając ramionami. - Chwilowo chyba nic strasznego.

- Ale to światło!

- No cóż, chyba mnie trochę ułańska fantazja poniosła... - powiedziałem nieco zmieszany, drapiąc się po głowie. – Jak masz jakieś ciemne okulary, a jeszcze lepiej maskę spawalniczą, to daj. Bo bez tego może być cienko...

- Ale...

- Żadne ale... Widzisz przecież, że ci się w chałupie jara, jakby ktoś próbował aparaturę przed imprezą typu światło i dźwięk. Zważ kotku, że ja tam przed chwilą byłem i mało nie straciłem wzroku, więc mi zaufaj i leć, po co cię proszę.

No i poleciała. Wróciła po chwili i z jednym i z drugim. Ubrałem okulary, ale maskę też wzięłem. Na wszelki wypadek.

Powoli wspiąłem się po schodkach i ostrożnie zajrzałem do środka. Przez szybkę maski. Jednoczesne użycie okularów i maski spawalniczej okazało się zbyt ostrożności – tak zabezpieczony ledwie mogłem rozróżnić szczegóły. Opuściłem więc maskę i rozejrzałem się po wnętrzu. Na samym środku izby leżały resztki stołu, który rozpadł się pod uderzeniem kafara. Sam kafar, zgodnie z tym, czego można się było spodziewać, spoczywał w pobliżu potrzaskanego stołu. Wzrok jednak przyciągało zupełnie co innego. Było to ostre światło, które wydobywało się z kąta pomieszczenia. Podszedłem w tamtym kierunku i pochyliłem się nad światłem. Było tak jasne, że tym razem maska przydała się. Zgodnie z przewidywaniami rozpoznałem broń. Obudowa była otwarta, a we wnętrzu... gorzało miniaturowe słońce!

&&&

Najwyraźniej jednak nie trafiłem kafarem w świetlny miecz, jedynie rozplątałem stół. Jednakże sam upadek broni, wstrząs lub ruch spowodował, że odkryła ona swoje wnętrze. A było ono zdumiewające. Nie byłem fizykiem, ale zawsze interesowały mnie nauki ścisłe i różne problemy techniczne, w wolnych chwilach lubiłem sobie poczytać artykuły i książki popularnonaukowe. I teraz, gdy w moje ręce wpadł tak wyrafinowany produkt, nie mogłem powstrzymać się od domysłów. Rzecz jasna wiadome było, że nie uda mi się rozgryźć jego wszelkich tajemnic, ale od razu, rzekłbym, że odruchowo, zacząłem spekulować na temat

zasady działania tego zadziwiającego narzędzia zbrodni. Z dostępnej mi wiedzy teoretycznej oraz obserwacji tego, co działo się we wnętrzu broni wynikało jedno: miecz świetlny zasilany był miniaturowym reaktorem termojądrowym. W każdym razie nie potrafiłem znaleźć innego wyjaśnienia, dla ogromnej ilości promieniowania emitowanego przez broń. Podobieństwo jej świetlnego epicentrum do słońca było uderzające.

Reakcja termojądrowa polega na syntezie, a więc łączeniu jąder atomowych pierwiastków lekkich w cięższe. Reakcje takie zachodzą w sposób naturalny w gwiazdach. Pierwotny obłok wodorowy, ulegając coraz większemu skupieniu w wyniku działania siły grawitacji, zaczyna zapadać się, a w jego wnętrzu rośnie ciśnienie i temperatura. W końcu, w temperaturze rzędu milionów stopni i ciśnieniu rzędu milionów atmosfer dochodzi do „zapalenia się” wodoru. Następuje początek reakcji termojądrowej, w wyniku której jądra wodoru łączą się w jądra helu. Synteza jąder atomowych pod względem energetycznym jest najbardziej wydajną ze wszystkich reakcji znanych współczesnej fizyce. Dość powiedzieć, że teoretycznie szklanka wody, zawierająca zaledwie jedną setną grama deuteru, czyli ciężkiego izotopu wodoru, byłaby wystarczająca do wytworzenia energii równoważnej tej, jaka wydzieliliby się podczas spalania około stu litrów benzyny! W syntezie termojądrowej drzemie ogromna moc. W sposób namacalny, a nie jedynie teoretyczny, ludzkość przekonała się o tym po raz pierwszy w roku 1952, gdy na atolu Eniwetok w archipelagu wysp Marshalla dokonano próbnego wybuchu bomby wodorowej. Energię takiej bomby mierzy się w megatonach, gdzie jedna megatona odpowiada milionowi ton konwencjonalnego środka wybuchowego, jakim jest trotyl! A zatem jedna bomba jądrowa o mocy jednej megatony jest równoważna milionowi jednotonowych bomb konwencjonalnych. Świat (a może tylko człowiek?!) jest tak perfidnie skonstruowany, że wynalazki niszczycielskie powstają łatwo, szybko i przyjemnie. W przeciwieństwie do odkryć służących poprawie warunków życia!

(Ale to już jest chyba bardziej temat do rozważań dla teologicznych filozofów, bądź filozoficznych teologów. Mnie się zawsze nasuwało jedno spostrzeżenie w tej kwestii: o ile Bóg istnieje, to, przynajmniej z czysto ludzkiego punktu widzenia - zapewne istnieją inne takie punkty, ale nasz jest jeden, jedyny i nieprzekraczalny, spoza którego nie jesteśmy w stanie wyrzucić - musi być z niego wyjątkowo perfidny dziadunio. Ale czy jakkolwiek sens miało założenie, że Bóg, wszechmocna i wszechwiedząca istota wyższa, kieruje się ludzkim punktem widzenia? Ponieważ nigdy nic mi z takich rozważań nie wychodziło poza umacnianiem się w przekonaniu, że nie warto sobie nimi zaprzętać głowy, brałem się za nie jedynie, gdy kac nie dawał mi spokoju, a pod ręką nie było klina).

Bomba wodorowa udała się zatem ludzkości prosto i łatwo w przeciwieństwie do reaktora termojądrowego. O ile było mi wiadomo do powszechnej opinii nie przeniknęła jak dotychczas żadna informacja o powstaniu takowego reaktora, który byłby wydajny w sensie ekonomicznym, a więc wytwarzał więcej energii, niżby pobierał. Prace w tej dziedzinie znajdowały się wciąż na poziomie naukowych eksperymentów. O ile reakcję jądrową, a więc reakcję rozpadu jąder atomowych daje się stosunkowo łatwo kontrolować, to synteza jąder jest niesforna niczym żreback na łące. Jak na razie energia zużywana do zapoczątkowania reakcji, a następnie do utrzymywania rozpalonego pieca termojądrowego w ryzach potężnych pól magnetycznych wciąż była większa od uzyskanej. (We współczesnych Tokamakach energia oddawana jest dwa razy mniejsza od pobieranej). A więc cała zabawa, jak na razie, jest nieopłacalna. Wprawdzie w 2005 roku zapadła decyzja, że na terenie Francji, zbiorowym wysiłkiem kilku państw wysoko rozwiniętych i nakładem około 30 miliardów dolarów ma powstać pierwszy, efektywny pod względem ekonomicznym reaktor termojądrowy, produkujący energię na skalę przemysłową, ale jego uruchomienie przewidywano pierwotnie na rok 2016, później na 2025, a być może miało się skończyć... „misiem na miarę naszych potrzeb”, czyli ostrym przekrętem... W dodatku ma to być ogromny Tokamak, a w przypadku broni miałem do czynienia z czymś najzupełniej miniaturowym... A może...? Może w jakimś tajnym laboratorium udało się nareszcie doprowadzić do tak zwanej zimnej fuzji?! Być może powiodły się próby z laserową kompresją plazmy (w metodzie tej plazma ostrzeliwana jest z dużą częstotliwością impulsami laserowymi, co prowadzi do zagęszczenia plazmy, aż do przekroczenia progu syntezy i rozpoczęcia reakcji termojądrowej) lub skuteczna okazała się metoda piezoelektryczna (w niej z kolei na końcach specjalnego materiału pojawiać ma się ogromna różnica potencjałów, co może prowadzić do zapoczątkowania oczekiwanej reakcji)? Być może...

Miałem przed sobą broń, której zaawansowanie technologiczne powinno było wprawić mnie w przerażenie, byłem poobijany i niewyspany, miałem połamane żebra, ktoś potężny zagiął na mnie parol i usilnie chciał zgładzić, cudem uniknąłem przerażającej śmierci w ramionach futurystycznego składaka: krzyżówki człowieka i maszyny, Sara, moja kochana Sara opowiedziała mi historię rodem z horroru i wszystko wskazywało na to, że i jej może zagrazać śmiertelne niebezpieczeństwo, a ja nagle poczułem radość. Tak, radość! Bo przecież jeżeli udało się okiełznać reakcje termojądrowe, jeżeli prace nad zimną fuzją wyszły z poziomu eksperymentów laboratoryjnych i osiągnęły poziom technologiczny, to... To by znaczyło, że ludzkość weszła w nową fazę rozwoju! Głód energetyczny, ten nieustanny straszak cywilizacyjny, odszedłby do lamusa! Energia pozyskiwana w reaktorach

termojądrowych nie dość, że tania i praktycznie niewyczerpana, byłaby w dodatku idealnie czysta. Spełniłoby się marzenie ekologów! Zniknęłyby dymy i wszelkie inne zanieczyszczenia, powstające w procesie spalania paliw konwencjonalnych, a także odpady promieniotwórcze powstające podczas pracy reaktorów jądrowych, a więc takich, w których do uzyskania energii wykorzystuje się rozpad jąder atomowych pierwiastków promieniotwórczych: uranu i plutonu.

Ziemia znowu mogłaby stać się zielonym rajem!

Ale mój cały entuzjazm, euforia wręcz, której gwałtownie się poddałem, równie gwałtownie się ulotniła. Coś tu śmierdziało! Mój nos detektywa nie pozwolił mi zbyt długo rozkoszować się nadzieją. Jeżeli broń była zasilana reaktorem termojądrowym, to by znaczyło... Nie, to nie mogła być prawda. Świat nie mógł być aż tak zakłamany. Ale nawet jeżeli plazmowa broń, którą zostałem zaatakowany nie była zasilana przez miniaturowe słońca, jeżeli zimna fuzja nadal była w powijakach, to jednak miałem przed sobą technologiczny cud! Co by to nie było – było naukową rewelacją. A zatem moje podejrzenia, że jedynie żałosna cząstka wiedzy dostępnej człowiekowi jest stosowana z pożytkiem dla całej ludzkości była prawdą! Teraz miałem na to niezbity dowód!

XIII

Nie zauważyłem świtu, bo w mojej chatynce było jasno, jak we dnie. Już jakiś czas temu zaprzestałem dociekań na temat domniemanego reaktora. Byłem potwornie zmęczony. W dodatku na drodze spekulatywnej, czysto intelektualnej, nie byłem w stanie wymyśleć nic więcej ponad to, co już sobie uroiłem. Tak, uroiłem. W końcu nie byłem specjalistą, nie miałem ani odpowiedniej wiedzy, ani narzędzi, by złamać tajemnicę miecza, zdeszyfrować jego kwantowy kod, odkryć fizykalną zasadę stanowiącą podstawę generowania, a następnie okiełznywania tak ogromnej mocy. Dalsze rozważania tej kwestii nie miały najmniejszego sensu. Trwałem więc w jakimś bezmyślnym, tępym odrętwieniu, pozbawiony najmniejszej choćby chęci do jakiegokolwiek samodzielnego działania. Stan ten jednak nie trwał długo. Do mych uszu zaczęły bowiem dobiegać alarmujące odgłosy. Z początku nie potrafiłem ich zidentyfikować, skojarzyć z czymś konkretnym. Po chwili zrozumiałem jednak, że było to wołanie. Skoczyłem do walizy, złapałem za obrzyna i wybiegłem przed chatę. Czekałem gotów na najgorsze. Z mgły wyłoniła się postać. Zmierzała w moją stronę. Oczy wciąż mnie bolały i nieco łzawiły, wizja nie była więc najlepszej jakości. Krzyknąłem ostrzegawczo i wycelowałem. Postać jednak nie zatrzymała się, lecz szła nadal. A właściwie ślaniała się.

Przetarłem oczy i dopiero teraz zobaczyłem, że kieruje się ku mnie młody, czarnoskóry mężczyzna. Zataczał się i potykał co chwilę. Ponad wszelką wątpliwość był albo ranny, albo skrajnie wycieńczony.

- Pani Saro! Pani... Pani Saro, pomocy!

Dopiero teraz zrozumiałem słowa wypowiedane przez Murzyna. W tej samej chwili z chaty obok wybiegła Sara.

- O Boże! Mugabe! – krzyknęła i rzuciła się w stronę nadchodzącego mężczyzny.

Złapała go pod ramiona, a on zawisł na niej niemal całym ciężarem. Skoczyłem Sarze w sukurs, bo było pewne, że jeszcze moment i przewróci się pod jego ciężarem. Współ w zespół powlekliśmy pozbawione sił ciało w stronę jednej z chat.

- Co się stało?! – zapytała Sara, gdy w końcu udało nam się zatańczyć mężczyznę do izby i ułożyć go na łóżku. – Gdzie Mzimu?!

- Straszne! – wysapał Murzyn. – To było straszne!

- Co?! Co było straszne? – wypaliliśmy z Sarą chórem.

- On... Oni... Oni chcieli nas zabić i wtedy on... Ale Mzimu... dostał...

Tylko tyle udało nam się dowiedzieć, bo Mugabe zemdlął.

- Muszę... muszę go znaleźć – zawołała Sara.

Już miała wypaść z chaty, ale złapałem ją za ramię.

- Kobieto! Spokojnie. Kogo chcesz szukać? Gdzie?

- Mzimu! On tam gdzieś jest!

- Spokojnie – powtórzyłem, biorąc ją delikatnie za ramiona. – Ty na pewno nigdzie nie pójdziesz...

- Ale przecież nie mogę go tak zostawić...

- Ja pójdę. Ty zostań z Mugabe. Marnie chłopina wygląda. Tutaj z pewnością bardziej się przydasz.

- Ale ty nie wiesz... nie znasz... Ja znam teren, ja muszę iść!

- Ty chyba zapomniałeś kim jestem. Powiedz mi tylko, skąd wrócił Mugabe i o nic się nie martw. Jeżeli Mzimu jest jeszcze w jednym kawałku, to obiecuję ci, że go tutaj sprowadzę!

&&&

Sara podała mi prawdopodobną lokalizację miejsca, z którego powinni byli wracać jej współpracownicy. Sprawdzając własną pozycję przy pomocy GPS-u gnałem przed siebie rozklekotaną terenówką, nie przejmując się chaszczami, które atakowały auto i mnie z zjadłą zaciętością. Po kilkunastu kilometrach szaleńczej jazdy nadziałem się na samochód Murzynów. Zatrzymałem się i podbiegłem do rozbitego wozu. W środku, skurczony na podłodze w pozycji embrionalnej, zasłaniając głowę rękami, leżał Mzimu. Był nieprzytomny. Z rany postrzałowej delikatnie sączyła się krew. Trafienie nie było na szczęście groźne: kula przeszła na wylot między łopatką a kręgosłupem, nie uszkadzając żadnych ważniejszych organów. Przyjrzałem mu się dokładnie i stwierdziłem, że nawet obojczyk był cały. Miał chłopina fart, bo gdyby dostał kilka centymetrów w prawo, pocisk uszkodziłby kręgosłup. Z kolei strzał kilka centymetrów w dół przeszyłby płuco lub rozerwał pikawę. Złapałem się na tym, że takie rozważania „co by było gdyby” nie mają większego sensu. Przecież mógł dostać kilkanaście centymetrów w górę i w prawo skos i kula rozłupałaby mu czachę, a siła wyrzutu rozmazałaby jego mózg po przedniej szybie. Z kolei jakby strzelec walnął bardziej w lewo, to by w ogóle nie trafił, a jakby przygrzmocił metr w prawo, to teraz leżałby tutaj Mugabe, a Mzimu omdlewał w obozie. A więc był to zupełny idiotyzm, ale człowiek już tak jest skonstruowany, że zawsze spekuluje na zasadzie: „a jakby... to by...”. Po co to komu? Niestety nie miałem czasu na filozofowanie. Całe zajście musiało wyglądać w taki sposób, że Murzyni, uciekając przed swoimi prześladowcami, wyciskali z maszyny ile się w tym terenie dało. Niestety Mzimu, który kierował pojazdem, dostał postrzał, nie opanował wozu i walnął w drzewo. Zemdlał zapewne od razu, a Mugabe, zresztą całkiem trzeźwo i słusznie, nie namyślał się wiele, tylko dał z buta w długą. Teren z pewnością nie był bezpieczny i trzeba było zabrać stąd rannego gościa jak najszybciej. Tym bardziej, że od kiedy zatrzymałem auto, miałem przemożne uczucie, że ktoś, lub coś, mi się przygląda. A na ogół nie myliłem się w tym względzie. Byłem pewien, że w krzakach coś się czai!

- Ej, Mzimu, pobudka – mówiąc to, delikatnie potrąciłem ramię Murzyna.

Mężczyzna jęknął, łypnął na mnie spomiędzy palców okiem wybałuszonym i zdradzającym śmiertelne przerażenie, wrzasnął na mój widok i ponownie zemdlał. Cóż było robić. Wziąłem go na ręce i zaniósłem do swojego auta.

Z powrotem jechałem spokojnie, mając na uwadze zdrowie Mzimu. Inna sprawa, że facet cierpiał nie tyle z powodu postrzału, co robił w gacie ze strachu. Miałem podstawy, by tak sądzić. Mzimu, którego ułożyłem na tylnej kanapie wozu, najwyraźniej odzyskał świadomość, bo spełznął z siedzenia i teraz udawał trupa pokurczony na podłodze wozu. Widziałem już wielu spanikowanych koleś, wiedziałem, że powiedzenie „umrzeć ze strachu”

ma całkiem mocne, realne podstawy, ale Mzimu musiał ktoś naprawdę potężnie dopieć. Chłopina powinien się być już zorientować, że jest w miarę bezpieczny i powoli dochodzić do siebie. On jednak wciąż był w stanie ciężkiego stresu pourazowego, który, nie opanowany odpowiednio szybko, mógł przekształcić się nawet w psychozę reaktywną, przybrać postać zespołów paranoidalnych bądź schizofrenicznych. Miałem nadzieję, że widok Sary w obozie go otrzeźwi, ale w głębi ducha obawiałem się, że i to może nie wystarczyć.

Dojechałem wreszcie do obozu i rozładowałem auto. Tak, rozładowałem. To było najlepsze określenie. Mzimu był w takim stanie, że nie prezentował się jak żywy, czujący człowiek, ale przedmiot, albo co najwyżej owad. W istocie zachowywał się jak chrząszcz, który w obliczu zagrożenia pozoruje własną śmierć: wytaszczyłem go z wozu nieruchomego i zeszywniałego, z nogami ułożonymi do ciała pod kątem ostrym i zgiętymi kolanami, przykurczonymi ramionami, które były jednocześnie nieznacznie rozłożone na boki. Palce dłoni miał rozcapierzone, nieco zgięte, jakby chciał się czegoś złapać. Układ jego dłoni i rąk przypominał w jakiś karykaturalny sposób niemowlęcy odruch Moro.

- Boże Świąty! Co mu się stało? – zawołała Sara na widok Mzimu i załamała ręce.

- Po prostu jest spietrany w cztery d... jest przeraźliwie spietrany – postanowiłem zbagatelizować problem. – Gdzie go zanieść?

- Nie wiem... w tym stanie... Może do mojej chaty?

- Tak będzie najlepiej. Ja mu raczej na razie zejść z oczu, bo chłopczyzna zemdłał na mój widok. Czyżbym był aż taki brzydki? – mówiąc to puściłem do Sary oko.

Dziewczynie nie było jednak do śmiechu, bo popatrzyła na mnie ponuro. Na jej twarzy malował się lęk.

- Mów do niego – poinstruowałem Sarę, gdy już złożyłem sztywnego Mzimu na łóżku. – Może wtedy go puści... Jak z Mugabe? Wciąż nieprzytomny?

- Śpi, ale chyba jest z nim już lepiej. Był po prostu bardzo wyczerpany. I przerażony. Dojdzie do siebie.

- Chyba będę go musiał zbudzić i pogadać...

- Rozumiem, ale zrób to ostrożnie – poprosiła Sara i odwróciła głowę w stronę Mzimu.

Słyszałem jak do niego gada, gdy wychodziłem. Tak przemawiać potrafią tylko kobiety. Był to głos matki chcącej uspokoić swe dziecko. Pomyślałem, że biedny Mzimu został w dobrych rękach i zwawiej udałem się do chaty, w której spał Mugabe.

&&&

Uzbrojony po zęby jechałem przez dżungłę do miejscach, w którym, według relacji Mugabe, rozegrała się prawdziwa bitwa. Z opowieści Murzyna, który po przebudzeniu wydawał się być w całkiem niezłej formie, dowiedziałem się kilku interesujących rzeczy. Interesujących, o ile ktoś interesuje się horrorami. Wprawdzie nie przepadałem za tą formą rozrywki, ale tym razem nie miałem wyboru. Znajdowałem się w stanie wyższej konieczności. Niestety. Mzimu i Mugabe wyruszyli jeepem dwa dni temu. Ich zadaniem było dotarcie do stada goryli, znajdującego się jakieś dwadzieścia kilometrów od obozu w kierunku południowo-zachodnim. Namiary mieli dość precyzyjne, bo jedno ze zwierząt miało wszczepioną sondę radiolokacyjną. Początkowo wszystko przebiegało zgodnie z planem. Murzyni dotarli na miejsce i rozbili prowizoryczny obóz. Bez problemów odszukali stado liczące kilkanaście osobników i nie narzucając się zbytnio zwierzętom ze swoją obecnością, zabrali się do rozstawiania sprzętu. Zamontowanie kilku zdalnie wyzwalanych kamer, w tym dwóch pracujących w podczerwieni i przeznaczonych do nocnego filmowania, zajęło im w sumie kilka godzin niespiesznej pracy. Noc upłynęła spokojnie, również następny dzień minął im na leniuchowaniu, filmowaniu z ręki i nadzorowaniu komputerowo sterowanych urządzeń. Następnego dnia mieli zamiar wracać o świcie, więc jeszcze wieczorem zdemontowali większą część sprzętu, pozostawiając jedynie kamery na podczerwień. Aby się wyspać, położyli się wcześniej, bo koło dziesiątej. W środku nocy wyrwały ich jednak ze snu jakiś potworny, przerażający ryk. Mugabe twierdził, że przypominał on trochę ostrzegawczy okrzyk goryla. Wybiegli przed namiot i natychmiast zostali ostrzelani. Rzucili się do auta, szczęśliwie umykając kulom. Pościg jednak był coraz bliżej. W dodatku wóz, nie dość, że leciwy, to na domiar złego ponad wiek wyeksploatowany, nie chciał zapalić. Kule świstały im koło uszu, tłukły w blachy nadwozia. Prześladowcy byli tak blisko, że mogli ich zobaczyć. Morderczy krąg zacieśniał się. I wtedy tych, którzy strzelali do Mzimu i Mugabe, zaatakował jakiś stwór. Wypadł z zarośli, błyskawicznie dopadał jednego z ludzi i zanim pozostali zdążyli w niego odpowiednio precyzyjnie wycelować, zniknął w gąszczu. Po chwili jednak ponownie zaatakował, ale już w zupełnie innym miejscu. A potem znowu i znowu, działając podług tej samej taktyki. Wszystko działo się niezwykle szybko. Ludzie, którzy jeszcze przed chwilą chcieli zabić obu Murzynów, teraz sami stali się ofiarami. Bezradni, eliminowani jeden po drugim, zaczęli strzelac we wszystkich kierunkach, kosząc otaczającą ich roślinność. Mugabe uznał to za przejaw paniki, która niechybnie wkradła się w szeregi zbrojnych. Ja jednak byłem przekonany, że nie mogąc ustrzelić tego, co ich tak skutecznie atakowało,

postanowili położyć ogień zaporowy uznając, że jest to jedyna metoda ratunku. Bez trudu mogłem sobie wyobrazić tę fazę walki: zbitą garstkę ludzi, ustawionych do siebie plecami i osłaniających nawzajem swe tyły, siekących okolice gradem kul. Metoda ta wydawała mi się skuteczna, oczywiście do momentu wyczerpania amunicji. Biorąc pod uwagę, że musieli to być zawodowcy, a analizując ich taktykę, byłem o tym przekonany, byli zapewne uzbrojeni po zęby i mieli spory zapas amunicji. A jednak gdzieś popełnili błąd. Z relacji Mugabe wynikało, że Mzimu wreszcie udało się odpalić wóz. Ruszyli, kierując się w stronę obozu. Było ciemno, a teren trudny, ale strach zmuszał Mzimu, by gnał na złamanie karku. Nie ujechali nawet kilometra, gdy kanonada ucichła, a po chwili zobaczyli za sobą światła goniącego ich pojazdu. Padł strzał. Mzimu zwałił się na kierownicę, stracił panowanie nad jeepem, który w sekundę później uderzył w drzewo.

W tym momencie opowieści Mugabe puściły nerwy i rozplakał się. Przekonany, że kolega został zabity, rzucił się do panicznej ucieczki. A teraz, wiedząc, że Mzimu żyje, nie mógł sobie wybaczyć, że go porzucił. Powiedziałem mu, że danie w długą było jedyną rozsądną rzeczą, jaką mógł zrobić w tak dramatycznej sytuacji. Gdyby został i tak nie byłby przecież w stanie pomóc Mzimu. Tylko dzięki temu, że jego samotny bieg przez dżunglę powiodł się, mogłem pojechać po rannego i go uratować. Moje słowa nieco uspokoiły Mugabe, zapłakanego i zasmarkanego niczym mały Bambo, który właśnie dostał klapsa. I całe szczęście, bo dorosły facet, umazany własnymi glutami, chlipiący, niczym stara baba na pogrzebie, to doprawdy widok mało estetyczny, wręcz obrzydliwy i jakby dalej tak ohydnie ślomczył, to bym w końcu nie wytrzymał i mu lutnął.

To była mniej więcej cała opowieść Mugabe. Uciekając Murzyn usłyszał jeszcze jedynie kilka rozdzierających krzyków, ale nikt go już więcej nie atakował, nikt nie gonił. Pędził do utraty tchu przez kilka godzin, aż bliski utraty przytomności najpierw zobaczył mnie, a potem Sarę. Tyle. Z jego relacji nie wynikało kto strzelał do niego i Mzimu, jakież to tajemniczy stwór zniweczył plany napastników, dlaczego strzały ustały tak szybko i dlaczego nikt nie kontynuował za nim pościgu.

Jechałem więc na miejsce zdarzeń, by odpowiedzieć na kilka pytań, rozwiac nurtujące mnie wątpliwości. A przede wszystkim przejrzeć materiał z kamer, o ile jakaś zachowała się w jednym kawałku.

Zatrzymałem się koło jeepa, w którym odnalazłem nieprzytomnego Mzimu. Murzyni część sprzętu zwinęli jeszcze poprzedniego dnia. Wynikało to z mojej rozmowy z Mugabe. Miałem więc nadzieję, że znajdę w nim kamery i filmy. Ale auto było puste. Najwyraźniej ktoś myszkował już w nim przede mną i zabrał wszystkie materiały, mogące rzucić trochę światła

na wydarzenia sprzed kilku godzin. Wsiadłem do wozu i pojechałem dalej. Po mniej więcej pięciu minutach spokojnej jazdy dotarłem do miejsca, które niechybnie musiało być areną gwałtownych zmagania. Drzewa i krzewy były miejscami wręcz poszatowane przez ogień z broni maszynowej, wszędzie było pełno łusek, krwi i porozrywanych fragmentów ludzkiej tkanki. Na miejscu nie było ani zwłok, ani broni, ani samochodów, ani w ogóle jakiegokolwiek sprzętu. Ktoś musiał być w tym miejscu przede mną i trochę posprzątać. Nie podobało mi się to. Zresztą nic mi się nie podobało. Na kwadrans zamarłem w bezruchu i nasłuchiwałem. Było cicho, jak w miejskiej kostnicy. Gdy nabrałem przekonania, że jestem zupełnie sam, zabrałem się do dzieła. Systematycznie, uważnie i bez pośpiechu analizowałem ślad po śladzie. Po kilkudziesięciu minutach intensywnej pracy zaczął się wyłaniać prawdopodobny scenariusz wydarzeń. Wiedziałem już skąd nadciągnęli mordercy. Odnalazłem też ślady wskazujące skąd nadeszła niespodziewana odsiecz. A były to ślady mrozące krew w żyłach. Pojawiały się nagle, w odległości zaledwie kilkudziesięciu metrów od polany, na której doszło do walki. Były wielkie i głębokie, jakby... stwór spadł w tym miejscu z powietrza. Potem biegły kuliście, nakładając się na siebie. Najwyraźniej to coś okrężyło strzelających ludzi, napadało, a następnie zmieniało kierunek, by ponownie wypaść z gąszczu i zaatakować w najmniej spodziewanym miejscu. Odciski stóp były bardzo zbliżone do ludzkich, ale o wiele większe, szersze. Bez wątplenia tajemnicze stworzenie od czasu do czasu pomagało sobie w biegu ramionami, podpierając się podczas dłuższych skoków, jak małpa. Po oględzinach centralnego punktu walki, nabrałem przekonania, że stwór musiał doskonale poruszać się po drzewach, zapewne posługując się mocarnymi i długimi ramionami. Wiedziałem już też, dlaczego strzały ustały gwałtownie. Ludzie nie wzięli pod uwagę, że atak może nadejść z góry! Gdy zbrojni otworzyli ogień zaporowy stwór niechybnie przemieścił się po konarach drzew i spadł na nich. Zaskoczenie musiało być pełne, a walka krótka. Teraz chciałem ustalić, co stało się z napastnikami, którzy gonili Mzimu i Mugabe. Miałem wprowadzić pewną teorię na ten temat, ale chciałem mieć pewność. Wsiadłem więc do jeepa i wróciłem do rozbitego wozu. Byłem przekonany, że poprzednio przeoczyłem coś ważnego. Nie szukałem długo. Nie dalej niż pięćdziesiąt metrów od miejsca wypadku odnalazłem identyczne ślady stóp, co poprzednio, wielkie i głębokie. Przyjrzałem się jeszcze raz śladom opon i wszystko stało się jasne. Wydarzenia przebiegały najprawdopodobniej według następującego scenariusza: za wozem Mzimu i Mugabe jadą napastnicy, zbliżają się: pojazdy znajdują się w terenie, w którym roślinność jest rzadsza i napastnicy dostrzegają ścigany wóz; jeden z napastników celuje, pada strzał; ugodzony Mzimu traci kontrolę nad wozem, dochodzi do kraksy; mniej więcej w tym samym czasie z drzew, w niewielkiej

odległości przed pojazdem napastników, spada stwór, natychmiast odbija się i atakuje; auto napastników wpada w zarośla (dlatego go nie dostrzegłem, ratując Mzimu); po krótkiej i zwycięskiej walce stwór zbliża się do wozu, w którym leży ranny Mzimu; Murzyn dostrzega stwora i mdleje ze strachu; stwór odchodzi; po jakimś czasie nadjeżdżają inni ludzie, kompani tych wymordowanych przez stwora; zabierają swoje auto i sprzęt z samochodu Mzimu; odjeżdżają; koniec.

Wiedziałem już co się wydarzyło, ale nie wiedziałem dlaczego. Pojawiły się też nowe niewiadome. Dlaczego stwór nie zabił Mzimu? Dlaczego nie gonił Mugabe? Czyżby bronił ich przed tamtymi?! Czy chciał się upewnić, że Mzimu żyje i że nic mu nie będzie?

Wsiadłem do wozu i powróciłem na miejsce walki. Po obozie Murzynów nie pozostał nawet ślad, ale chciałem się jeszcze rozejrzeć. Marne były szanse, że coś znajdę, bo ludzie, którzy byli tu przede mną najwyraźniej zabrali co się dało, niemniej warto było spróbować.

Postanowiłem się skupić na poszukiwaniach kamer na podczerwień. Dane z nich były wprowadzane na bieżąco transmitowane do komputera, ale mogło się przecież zachować trochę zdjęć w ich pamięci buforowej. I tu szczęście się do mnie uśmiechnęło. Gdy miałem już wracać, zdobyłem się na ostatni wysiłek i desperacko wcisnąłem się w najgęstsze zarośla. Przedzierając się przez nie nadepnałem na coś. Schylając się poorałem sobie twarz o chaszczę, ale... Bingo! Trud opłacił się. Trzymałem w rękach swoją upragnioną zdobycz - kamerę. Nie wyglądała dobrze. Prawdopodobnie została strącona pociskiem z drzewa, ale chociaż uszkodzona (na szczęście ekranik do podglądu był cały!), dała się uruchomić. Obraz był nieciągły i rozmazany. Zobaczyłem jednak wystarczająco dużo, by żołądek odmówił mi posłuszeństwa.

Kiedy trochę ochłonąłem i kiszki, pobudzone scenami rodem z jakiejś piekielnej jatki, przestały podjeżdżać mi do gardła, wsiadłem do wozu i wróciłem do obozu. Makabry było za dużo nawet, jak na mnie.

Złamałem narzuconą sobie zasadę o abstynencji i zabrałem Sarze cały monopol, jaki jeszcze jej pozostał.

&&&

Siedziałem na tarasie drewnianej chaty, w tropikalnym przedpieklu tego zielonego, ociekającego sokami życia i śmierci, opętanego organizmu, jakim jest dżungla, i piłem. Nie powinienem był, a jednak piłem.

Od dnia, w którym ordynator Shrek zabronił mi zaglądać do kieliszka, nie wziąłem do ust ani kropli alkoholu (no, poza odrobiną wlaną do kawy pitej z Sarą, dla towarzystwa). Ale dzisiaj musiałem sobie golnąć. I to solidnie. Byłem pewien, że wdepnąłem w miękkie po same uszy. Czułem wszystkie swoje stare blizny, wiekowe zrosty połamanych kości. Czułem, że znowu pogrążam się w bagnie nikczemności. Czułem smród gnijącego mięsa. Czułem strach. Nie, nie swój. Nie pamiętam już, kiedy ostatni raz się bałem. Czułem strach żywych stworzeń, ludzi i zwierząt. I wściekłość. Wściekłość była moja, ale nie tylko. W tym dzikim zakątku działo się coś niedobrego. W dżungli czaiła się istota, której żądza mordy była nienasycona. Wiedziałem o tym. Nie wiedziałem tylko, czy zostały wyzwolone jakieś pierwotne, potężne i niszczycielskie siły, czy wśród zbitego gąszczu roślinności rozszalał się niehumaniczny żywioł niepojętego, polował niesyty nigdy krwi demon, czy też dotarła w to miejsce... cywilizacja. Przed zaledwie dwiema godzinami wróciłem z miejsca kaźni, gdzie oglądałem dokumentalny zapis video tak potworny, jak nic, co widziałem wcześniej. Nigdy w życiu nie dotarło do mnie tak dobitnie, jak nietrwałym, wilgotnym, słabym i cielesnym, nie, nie cielesnym, mięsnym tworem jest człowiek. Przed dwiema godzinami wróciłem z jatki, w której rolę bydła i trzody odegrali ludzie. Dlatego piłem. Skasowałem już dwie półlitrowki i nie miałem zamiaru przestać.

Nadal nie wiedziałem kim byli faceci z giwerami, którzy chcieli zabić Mzimu i Mugabe. Nadal nie wiedziałem kim lub czym był fantastyczny stwór, żywcem wyjęty z filmów grozy. Ale konkluzja, gdzie mam szukać odpowiedzi, była oczywista. Nawet dla mnie, chwilowego abstynenta nawróconego na ostry gaz.

XIV

Nie wiem nawet kiedy zwałem się na ziemię. Po prostu klasycznie urwał mi się film. I tak dobrze, że nie wziąłem się w pijanym widzie za robienie porządków z potworem rozrywającym ludzi na strzępy, facetami o mechanicznych ramionach i rycerzami Jedy, którzy przeszli na złą stronę mocy. Na szczęście nachlałem się do nieprzytomności i organizm odmówił mi posłuszeństwa w nieodwołalny sposób.

W nocy obudziłem się tylko raz. A przynajmniej tak mi się zdawało. Poczułem na twarzy oddech, a właściwie chuch jakiś koszmarny (jeżeli nie był to jedynie pijacki majak, to właściciel tak morderczego oddechu, musiał sobie higienę osobistą wybitnie ważyć lekce).

Otwarłem oczy i zobaczyłem go. Patrzył na mnie z zainteresowaniem, a nawet z odrobiną sympatii. Chciałem coś zrobić: zerwać się, zasłonić, walnąć go w nos, ale byłem zbyt pijany. Uniosłem tylko nieco głowę i od razu zwałem się z powrotem na poduszkę. Na więcej nie było mnie stać. Wybełkotałem coś, a on fuknął na mnie, jeszcze bardziej zbliżając się do mojej twarzy. Jeszcze moment, a puściłbym pawia. Byłby to zapewne arystokrata wśród pawia (a może nawet paw królowej?!), ale zbawcza utrata świadomości, znowuż mnie dokładnie znieczuliła. Kosmaty pysk zniknął, dzięki czemu moje treści żołądkowe pozostały na miejscu.

Ocknąłem się następnego dnia z potwornym kacem. Rura suszyła mnie chyba jak jeszcze nigdy w życiu. Niemniej okrutnie nap...napieprzał mnie łeb. Rozglądałem się za jakimś lekarstwem, ale w zasięgu wzroku nie udało mi się zlokalizować żadnej flaszki. Siadłem na wyrku, a ból zaatakował moją nieszczęsną kalarepę ze zdwojoną siłą. Na domiar złego poczułem złowróżbny ucisk w okolicach wątroby.

„No pięknie”, pomyślałem, „tylko tego mi potrzeba, żebym znowu dostał ataku...”

Byłem w nie lada kłopotcie. Potrzebowałem się napić, żeby zneutralizować kaca. A z drugiej strony dostałem poważne ostrzeżenie. Dotarło do mnie, że każda kolejna chlapnięta seta może być tą ostatnią.

„Pić, czy nie pić? Oto jest pytanie!”

Rozważyłem wszelkie za i przeciw i wyszło mi, że jeżeli chcę się Sarze na coś przydać, to muszę zniwelować skutki kaca. Ryzyko było duże, ale czas naglił. W każdej chwili mogła się w obozie pojawić większa grupa krzepkich facetów z giwerami, pluton półautomatycznych milusińskich, kolesie w poduszkowcach z termojądrowymi dzidami, a może nawet jacyś totalni mutanci z miotaczami antimaterii. Akcja rozwijała się szybko, więc i tego ostatniego wariantu nie mogłem wykluczyć. W dodatku w krzakach czał się pitekanthrop zdolny rozszarpać dorosłego mężczyznę gołymi rękami. Wprawdzie intuicja (bo nocnej zjawy ze względu na swój stan nie mogłem brać na poważnie) podpowiadała mi, że stwór nie ma wrogich zamiarów ani wobec mnie, ani wobec Sary. Ale mogłem się mylić. Powiem wprost – jakby ten małpoczek, to brakujące ogniwo ewolucji nagle spadło nam na głowy i zrobiło z nas tatarą z cebulką wcale bym się nie dziwił.

To, co widziałem wczoraj, ech... Obraz, który ukazał się na wyświetlaczu uszkodzonej kamery był porwany, zamazany. Niektóre fragmenty w ogóle były nieczytelne. Jednakże to, co zobaczyłem, było aż nadto poruszające wyobraźnię, emocje i... żołądek. Po kilku pierwszych kadrach, niemożliwych do odcyfrowania zapewne i przez specjalistyczną aparaturę, następowało całkiem dobre ujęcie wojaków zbitych w jednym miejscu i rażących pociskami teren wokół siebie. Widać było, jak coś spada na nich. Coś dużego, o kształtach

zadziwiająco przypominających ludzką formę. Wtedy też najprawdopodobniej jedna z wystrzelonych w panice kul ugodziła w kamerę. Urządzenie musiało spaść i zatrzymać się w chwiejnej pozycji na jednej z niższych gałęzi. Zmienił się także zoom filmowania i obraz centrum zmagania zbliżył się na tyle, że pojedyncze postacie ledwie mieściły się w kadrze. Przebieg walki stał się tym samym nieczytelny, ale z odgłosów i tego, co mogłem ujrzeć domyśliłem się, że spustoszenie w szeregach zbrojnych w równym stopniu siał stwór, co miotane na oślep kule. Ludzie, zdjęci nieopanowanym, wszechwładnym przerażeniem, starając się zabić napastnika, grzali gdzie popadnie, mordując niechcący swych towarzyszy. Zgiełk walki szybko ucichł, a zaraz po nim pojawiły się dźwięki o wiele gorsze. To wyli ranni dobijani przez człekopodobną bestię. W oku kamery znajdował się czasami przelatujący, bezkształtny ochłap mięcha, czasami fragment kończyny, głowa oderwana od tułowia... Na jednym ujęciu widać było kawałek stwora, który właśnie wyrwał jakiemuś człowiekowi ramię. Nieszczęśnik żył jeszcze... A potem... Potem kamera musiała znowu obsunąć się, perspektywa znowu uległa zmianie i na ekranie zobaczyłem potwora układającego z ludzkich szczątków wzór. Obraz był w tej części wyjątkowo wyraźny i nie miałem najmniejszych wątpliwości, by pojąć, co to takiego. Krwiożerczy małpolud tworzył napis! Nie wiedziałem tylko, co ów napis oznaczał. A wyglądał on mniej więcej tak:

oC HTIMS

Gdy bestia skończyła pracę skierowała się w moją stronę... Zresztą co ja mówię. Oczywiście, że nie w moją stronę, bo mnie tam przecież nie było, ale w stronę obiektywu. To było kolejne, dziwne zrządzenie losu. Ostatni kadr wypełniała w całości morda potwora. Patrzył prosto w obiektyw! Jakby wiedział, że gdzieś w zaroślach jest ukryta kamera i że ją znajdzie.

Nie wiedziałem tylko jeszcze kto ostatecznie krzyknie: „Mamy cię!”. Bo może na tym afrykańskim zadupiu ktoś sobie po prostu robił ze mnie jaja?! Ten kolo ze sztuczną grabą, miecz Skywakera, ludzie w kawałkach, małpolud... Może wciąż tkwiłem gdzieś w szalasiе szamana Dalalumpo?! (Niemał słyszałem jak rechocze z uciechy wespół z Kebangą). A może tak się objawiał ostatni etap marskości wątroby? Może mój organizm był totalnie zatruty? A może mnie już nie było? Może to, w czym się teraz znajdowałem, to nie była żadna Afryka, tylko czyściec detektywów? A może piekło?! Może to, co mnie spotykało, to była tylko uwertura, może tylko rozgrzewka Najwyższego, przed ostateczną porcją cierpień, na jakie niewątpliwie zasłużyłem swym plugawym życiem płatnego łapsa? Nie jednego oprycha

miałem na sumieniu, nie raz łamałem prawo, nie raz zadawałem ból a drugi policzek nadstawiałem tylko wtedy, gdy mogłem z tego odnieść jakieś korzyści. Byłem świnią!!! A jeżeli zaczynałem tak niesympatycznie myśleć o sobie, to znaczyło, że powinienem strzelić kielicha. Wstałem i na chwiejnych nogach powlokłem się na poszukiwanie czegoś do wypicia.

W chacie obok natknąłem się na Sarę uwijającą się przy małym gorylu. Chyba się właśnie bobo zes... zrobiło kupkę, bo zapasek był nietęgi. Dziewczyna skończyła myć d... pupcię zwierzaka i odłożyła go do kojca. Mały rozdarł się, wyciągając w jej stronę rączkę.

- Musisz poczekać skarbie na mamusię, bo mamusia ma huk spraw na głowie i nie może się cały czas zajmować tylko tobą. Gili gili gili – zaszczebotała Sara do małpki, wyrzucając pamperas do kubła z odpadkami.

„Ciekawe skąd ona ma pampersy na tym zadupiu?!”, pomyślałem nieco zaniepokojony, bo mi się znowu po obolałej łepetynie zaczął telepać taki koncept, czy to wszystko, co mi się ostatnio przytrafia, nie jest aby czasem jedynie ułudą.

- Sara, kotku – powiedziałem , a właściwie wyjęczałem. – Potrzebuję strzelić bańkę.

Rozumiesz?

- O! Pijaczyna się obudził – wzgardliwie powiedziała Sara, ni to do mnie, ni do małpki. – I jeszcze mu mało po wczorajszym. Znowu chce pałę zalać! Nie myśl, że cię codziennie będę nieprzytomnego taskać z Mobutu do wyra.

Ostatnie słowa z pewnością adresowane były do mnie.

- Och, nie rozumiesz pijaka... Ja po prostu muszę walnąć klina, bo mi za chwilę kalarepa eksploduje!

- Nie ma – ucięła Sara krótko.

- Jak to nie ma? Czego nie ma?! – zaryczałem, pełen najgorszych podejrzeń.

- Gorzały nie ma, degeneracie. Wyłopałeś wczoraj wszystko, co się tylko nadawało do spożycia.

- TRI też?! – zawołałem z nadzieją, bo pijany brzytwy się chwyta.

Jakbym się dowiedział, że się nachlałem rozpuszczalnika, przynajmniej bym wiedział skąd takie pierońsko przykre objawy.

- Czego?

- TRI! To taki rozpuszczalnik do lakierów... Mogłem... To znaczy, jak już byłem... solidnie nawalony, popić coś... rozumiesz...

- No pięknie! Czego ja się o tobie dowiaduję?! Mój Danio wciąga rozpuszczalniki do lakierów! To może i muchozolem się szprycowałeś?! Co za degrengolada...

- Aż tak to nie... Poza tym... z tym rozpuszczalnikiem... to nigdy nie była norma! – wypaliłem desperacko. – Tylko sporadycznie, czasem, jak mnie jakoś tak wyjątkowo przycisnęło... Ale wież mi, od lat już nic z tych rzeczy... najwyżej czasem płynny lepik... Tylko tak mi się teraz powiedziało, bo sytuacja jest, rozumiesz, wyjątkowa.

- Chlałeś tylko gorzałę – powiedziała już spokojniejszym głosem Sara. – I wychlałeś całą. Nic nie zostało.

I w taki oto sposób los (albo co tam chcecie innego) zadecydował za mnie. Ostateczna egzekucja mojej wątroby została odroczone, ale ja miałem dzień z głowy. Z takim kacem mogłem się jedynie chować przed upałem.

XV

To był koszmarny dzień. Po raz pierwszy w całej swej odysei po Afryce (wprawdzie po Czarnym Łądzie nie tułałem się od dziesięciu lat, lecz zaledwie kilkanaście dni, ale przygód miałem tyle, że i w konfrontacji z Odyseuszem nie miałbym się czego wstydzić) poczułem, co to upał. Do tej pory temperatury nie robiły na mnie większego wrażenia, ale kac zrobił swoje. W cieniu nie było nawet czterdziestu stopni, a ja ginąłem. Zdawało mi się, że moje ciało płonie, a podgrzany mózg za chwilę osiągnie takie ciśnienie, że wytryśnie uszami. Zapewne szlag by mnie trafił od tego gorąca, ale Mobutu, najwyraźniej poruszony moją męką, a pewnie także ujęty poświęceniem, jakim się wykazałem ratując jego ziomków, zlitował się nade mną i przygotował mi specjalny wywar z jakiś nieludzko śmierdzących korzeni. Byłem tak zrezygnowany i bezwolny, że choć żołądek podjeżdżał mi do gardła od tego fetoru, bohatercko wypłem cały półlitrowy kubek. Na szczęście okazało się, że smród wywaru jest wprost proporcjonalny do jego antykacowych mocy. (Dlaczego jak coś jest dobre, to musi być... niedobre?!). Dzięki diabelskiej miksturze Mobutu pod wieczór byłem już w całkiem znośnej formie, o ile nie brać pod uwagę: a) oderżniętego kciuka (maść Dalalumpo była rewelacyjna, ale cudu nie spowodowała i paluch goił się wprawdzie bez komplikacji, ale w normalnym, powolnym tempie), b) bólu połamanych żeber, c) namolnego przypominania wątroby, że się kończy d) ogólnego wycieńczenia.

Koło szóstej wieczorem doszedłem nawet do wniosku, że jestem w na tyle dobrej dyspozycji, by rozejrzeć się po okolicy w poszukiwaniu odpowiedzi na dręczące mnie pytania.

Odpowiedź na jedno pytanie, a mianowicie: „gdzie szukać?”, była oczywista. Należało odwiedzić tajemniczą bazę, o której opowiadała mi Sara.

Na godzinę przed zmierzchem załadowałem do dżipa trochę broni i linę, wsiałem do niego i pojechałem w kierunku wskazanym przez dziewczynę. Droga, choć niezbyt długa, zajęła mi prawie trzy godziny, a więc w pobliże bazy dotarłem ciemną nocą. To mi odpowiadało. Nie miałem zamiaru pchać się tam w pełnym świetle. Następane dwie godziny zeszły mi na obserwacji. Podejrzany teren był, tak jak w opowieści Sary, dokładnie ogrodzony. Mniej więcej co sto metrów rozstawieni byli uzbrojeni strażnicy. Bazę okalał pas o szerokości około dwudziestu metrów zupełnie pozbawiony jakichkolwiek zarośli, czy innych naturalnych osłon. W dodatku wewnętrzna strefa była wyluminowana, jak Floriańska w Sylwestra. Wszystko to razem stwarzało poważny problem i chwilowo nie bardzo wiedziałem, jak mam dostać się do środka niezauważony. Sama baza miała prostą zabudowę, złożoną z dwunastu baraków, zlokalizowanych po sześć z każdej strony szerokiej drogi, która zapewne stanowiła jednocześnie pas startowy dla samolotów. Co do tego byłem przekonany, bo na jednym jej końcu stał Skytruck. Założyłem, że jeden z budynków pełnił rolę hangaru dla Skytrucka. Chyba nawet wiedziałem który – tylko jeden miał odpowiednio szerokie drzwi. Dwa musiały pełnić rolę mieszkalną, na co wskazywał rozkład okien. Jeden, dobrze przeszklony, mieścił zapewne biura i całą logistyczno-socjalną sferę bazy. Dwa pozostałe były dobrze strzeżone i pozbawione większych okien – posiadały jedynie podłużne, szerokie na około pół metra lufciki w szczycie. Co mogły skrywać ich wnętrza? Mogły to być na przykład jakieś magazyny wypełnione cenną zawartością... Cóż to mogła być za zawartość, że była aż tak dobrze strzeżona? Czyżby składowano w nich narkotyki? A może były to jakieś tajne laboratoria? Może w środku przeprowadzano niedozwolone eksperymenty na ludziach i zwierzętach? Czy stwór miał coś wspólnego z tą zakazaną zoną? By się o tym przekonać, musiałem się jakoś dostać do środka! Wtargnąć tak po prostu, z przytupem i wykopem nie mogłem. Wejście smoka musiało się niechybnie zakończyć moją klęską. Musiałem się tam dostać po cichutku, nie zwracając na siebie niczyjej uwagi. Tylko, jak miałem tego dokonać, skoro po obozie kręciło się co najmniej pięćdziesięciu fagasów, uzbrojonych po zęby? Jakbym miał więcej czasu, jakieś kilka latek, to bym wykosił podkop. Ale nie miałem tyle czasu. Musiałem jakoś sforsować to cholerne ogrodzenie i nie podpaść strażnikom. Przyznam, że inteligencja zawiodła mnie na całej linii i gdy zacząłem zgrzytać zębami wściekły i zrezygnowany, przypomniałem sobie stwora. Stwór... Tak stwór! To było to!

&&&

Kiedy uporałem się z przygotowaniem kilku pułapek, jako to: wilcze doły, a właściwie dołączki (na kopanie jakichś ambitniejszych, za...rombistych dziur w ziemi, z których człowiek, omsknięty do nich, nie mógłby się samodzielnie wygramolić, nie miałem czasu i sił, więc wykopałem kilka małych dziurek o szerokości około trzydziestu centymetrów i najwyżej półmetrowej głębokości w nadziei, że nieszczęśnik, który w biegu na nie natrafi, zwicznie, dalibóg, chociaż nogę), pętle z lian (miały one unieść w górę zaplątanego w nie człowieka), naciągnięte, grube gałęzie (te z kolei, zwolnione przypadkowo, miały, uwalniając energię sprężystości, prac po pyskach każdego, kto się nawinie) i zwykle, prostackie liny-potykatce, dokładnie zamaskowałem samochód i skierowałem się w stronę bazy, by dać swój życiowy występ. Wymyśliłem bowiem, że udając małpoluda, skupię uwagę strażników w jednym miejscu, a następnie, spryciarz (!), pognam w inne, chwilowo niestrzeżone, by przeniknąć niepostrzeżenie na teren wroga. Jak wymyśliłem, tak zrobiłem.

Podczołgałem się do ogrodzenia, zerwałem na równe nogi i wrzeszcząc dziko coś w rodzaju „UUUUAAAAAEEEEIIIIIIIAAAAAUUUUUU” zatrzęsłem siatką. A następnie małpimi skokami, pod gradem kul, czmychnąłem w krzaki. Pomysł był niezły, ale do d... do kitu. Wprawdzie część strażników rzuciła się za mną, tyle, że z okrzykiem „Łapaj idiotę!”, co jednoznacznie wskazywało, że nie dali się nabrać na mój patent z małpoludem. Teraz jednak nie miałem wyjścia, gnało bowiem za mną co najmniej kilkunastu kolesi uzbrojonych w M-16. Co gorsze wiedzieli jak się nimi posługiwać. Biegłem chwilę prosto, naprowadzając ich na zastawione pułapki, a potem cichcem skręciłem w lewo, obiegając obóz w koło. Nie upłynęło wiele czasu, a usłyszałem pierwsze, wściekło-żałosne wycie. Po nim przyszła kolej na następne. Nie miałem głowy, by liczyć ilość ryków, jęków i przekleństw emitowanych pod moim adresem, ale najwyraźniej przynajmniej część moich instalacji spełniła swoje zadanie. Przebiegłem jeszcze kilkadziesiąt metrów i dopadłem skraju zarośli. Wyrzałem z nadzieją na otwartą przestrzeń, lecz spotkało mnie rozczarowanie. Strażnicy rozgęścili się nieco, ale nadal twardo pilnowali ogrodzenia. Jednego miałem prosto przed nosem. Ch...olera!

I wtedy w pokrzykiwania ludzi wmieszał się zupełnie inny głos. A po nim, od razu, pojawił się zupełni inny rodzaj jęków. Aż mi ciarki przeszły po plecach.

- Widzę go! Tutaj! – usłyszałem nagle głos. – Chyba go trafiłem! Zanim, bo ucieknie!

Teraz wszyscy strażnicy pilnujący ogrodzenia ruszyli w jedno miejsce. Wspięli się po siatce, przeskoczyli ją i szaleńczo pognali w zarośla. Miałem przed sobą wolny teren. Nie

namyślając się w kilku skokach pokonałem pas demarkacyjny, jednym chwytem przerzuciłem się nad trzymetrową siatką i pochylony pobiegłem w głąb bazy.

Podkradłem się do jednego z hangarów, którego przeznaczenie było dla mnie niewiadomą. Pomimo zamieszania, odgłosów strzelaniny i wycia umierających, wciąż pilnowało go dwóch strażników. Jeden paradował od frontu, przed głównym wejściem, drugi chodził wzdłuż pozostałych ścian. Powiniennem był go zdjąć, by mieć pewność, że zdążę się wspinać na dach, nim zostaną dostrzeżony. Wtedy jednak moja obecność wydałaby się bardzo szybko. Mogłem też zdjąć obu. Wtedy moje szanse na pozostanie przez dłuższy czas w tajemnicy na terenie bazy rosły. Tylko, że to byłaby skrajna bezwzględność. A mnie mordowanie dla sportu gości, do których nic osobiście nie miałem, zawsze napawało obrzydzeniem. Postanowiłem więc zaryzykować. Poczekalem, aż krążący strażnik zniknie za rogim i zamachnąłem się liną. Na końcu miałem specjalną kotwiczkę z osłoną antystukową z wysokoporowatej gumy. Gdy kotwiczka uderzyła o dach hangaru do mych uszu dotarło jedynie ledwie słyszalne puknięcie. Byłem pewien, że strażnik go nie usłyszał. Sprawdziłem, czy kotwiczka dobrze trzyma i zacząłem się wspinać. Czasu miałem mało, a żebra połamane, kciuk chłaśnięty. W dodatku nie byłem już w takiej formie, jak kiedyś. Ale musiałem się spieszyć. Ręczę, że wspinaczka po linie, na tempo, z uszkodzeniami ciała, jak moje, to autentyczny wyczyn dla prawdziwych twardzieli. Jak ktoś nie wierzy, niech sam spróbuje... Zdążyłem w ostatnim momencie: ledwie wyspindrałem się na dach i podciągnąłem linę, zza rogu wychynął strażnik. Miał chłopina nerwy, że tak sobie krążył, jakby nigdy nic, gdy kilkaset metrów od niego gorzała krwawa bitwa!

Wychyliłem się poza krawędź dachu i zajrzałem przez jeden z lufcików do środka. W moje nozdrza uderzył charakterystyczny, zwierzęcy zapach. Wewnątrz było ciemno, ale byłem pewien, że pomieszczenie wypełniają klatki z gorylami. Cicho i ostrożnie przeszedłem kawałek dalej i znowu zanurkowałem głową w dół.

Moje najzupełniej hipotetyczne podejrzenia sprawdziły się – to było jakieś laboratorium. Wnętrze było doskonale oświetlone. Znajdowała się w nim znakomicie wyposażona część operacyjna, w innej części rozlokowane były jakieś aparaty medyczne, w jeszcze innej stały regały ze szklanymi, dobrze zamkniętymi pojemnikami różnej wielkości, od niewielkich, takich wielkości słoików do musztardy poczynając a na wielkich, na oko ponad dwustu litrowych kończąc. Pływały w nich przeróżne... preparaty. Jeżeli tak można powiedzieć. W większości znajdowały się jedynie fragmenty tkanek, w innych jakby całe narządy: serca, płuca, nerki, mózgi. Ale w niektórych zakonserwowane były... całe organizmy w różnych

fazach rozwoju, od płodów, aż do w pełni wykształconych form. Większość z nich była potwornie zniekształcona, ale niektóre zadziwiająco przypominały... LUDZI!

To wszystko co widziałem było dziwne i makabryczne, jakby ktoś najzupełniej szalony urzeczywistnił najgorsze koszmary ludzkości. Ale najdziwniejsze było co innego. Na krześle, na środku rozświetlonego laboratorium siedział mężczyzna. Twarz miał skrytą w dłoniach, więc jej nie widziałem, ale byłem przekonany, że płacze.

„Płacze, czy nie płacze, ch... cholera z nim”, pomyślałem. „Trza mu spuścić wp... łomot i tyle”.

Już miałem opuścić się na dół i zrealizować swój plan, to znaczy skopać klientowi d... cztery litery, gdy mężczyzna wstał gwałtownie, podniósł głowę w górę i zawył. Był to zwierzęcy, żaloszny skowyt, jaki wydają czasami ludzie w momentach, gdy emocjonalny ból przekracza granice wytrzymałości. Zobaczyłem jego twarz i... zdębiałem.

XVI

W samym centrum wielkiej sali, będącej współczesnym odpowiednikiem laboratorium Wiktora Frankensteina, stał Chris Stanford. Nie miałem wątpliwości, że to on, bo jego gęba była nie mniej znana niż fizys G. W. Busha lub Jana Pawła II.

„Co on tu robi do k... jasnej ciasnej!”, pomyślałem, bo Stanford, ze swoimi zasadami etycznymi, które powszechnie były znane na całym świecie (przy założeniu rzecz jasna, że były szczere, a nie jedynie krojone w celach marketingowych) nijak nie pasował do tego demonicznego miejsca.

Stanford znowu usiadł i zaniósł się szlochom. Wykorzystałem to, by niepostrzeżenie, z pomocą liny, opuścić się przez lufcik do wnętrza laboratorium. Stałem cicho za plecami naukowca i na wszelki wypadek wyjąłem broń. Przyglądałem mu się przez chwilę i muszę przyznać, że wyglądał żalosznie. Nie wiem, co przeżył i co widział, ale nie mogły to być miłe rzeczy.

- Proszę pana... - odezwałem się spokojnym głosem.

Stanford wzdrygnął się, gwałtownie odwrócił, a następnie zerwał na mój widok na równe nogi.

Rozszerzone, wręcz wybałuszone oczy naukowca zdradzały przerażenie.

- Kim pan jest? – wydukał słabym głosem. – Czego pan chce?!

W jego głosie słyhać było strach, który oblepiał go niczym... gęsta magma. A także coś jeszcze. Rezygnację? Żal?

- Nazywam się Daniel Szóstkiewicz – wypaliłem swoje nazwisko w oryginalnym, polskim brzmieniu (gdy wstąpiłem na drogę międzynarodowej kariery musiałem je szybko zangielszczyć, bo cudzoziemcy, starając się je wymówić, zapluwali się okrutnie, wpadali w panikę i w najlepszym razie wychodził im zamiast Szóskiewicza Siuśkiewicz, co z kolei wprowadzało w rozmowę biznesową, dotyczącą łapania bandziorów elementy groteskowe, absolutnie nie korespondujące z powagą sytuacji). – To znaczy, przepraszam, Dan Six. Może pan o mnie słyisał... Zresztą nieważne...

Nie wiedziałem, co mu odpowiedzieć, bo przecież jeszcze sam nie wiedziałem, czego od niego chcę i po co tu jestem. Tego wszystkiego miałem nadzieję dowiedzieć się od niego. Wkroczyłem więc w utarty, gliński schemat. Postanowiłem go nacisnąć.

- Nie pana sprawa, czego chcę. Po pierwsze – najlepiej dla nas obu będzie, jak ja będę pytał, a pan odpowiadał. Po drugie – nie interesuje mnie kim pan jest, bo wiem to doskonale. Po trzecie – co pan robi w tym wariatkowie do kurwy nędzy!

Sytuacja była taka, że wulgaryzm sam mi się jakoś tak zdradziecko wymysknął, zanim zdążyłem go na czas zablokować. Spowodowało to, że zmięknę. Poczulem się głupio, że w obecności tak szacownego uczonego, największego genetyka wszechczasów, obrońcy rasy ludzkiej przez zgrają pawianów gotowych zrobić nawet największy kretynizm dla zysku, tak się niekulturalnie, grubiańsko, wręcz chamsko zachowałem.

- Przepraszam... panie doktorze... profesorze... Przyjechałem tutaj na wezwanie mojej... przyjaciółki. Nie podam jej nazwiska. Sam pan rozumie? I... wdepnąłem w jakąś totalną paranoję!

Zobaczyłem, że twarz Stanforda zmieniła się – wyraz strachu zniknął, a w jego miejsce pojawiło się zainteresowanie. Może nawet nadzieja?

- Co pan tu robi? Co tu się dzieje? Co to za laboratorium? Kto za tym stoi? Kim są ci goście z giwerami? Przecie to cała armia! Co za troglodyta jaskiniowy, czy inny Yeti pos... pos... pokopany biega po lesie i morduje ludzi, rozrywając ich na kawałki?! - zasypałem Stanforda lawiną pytań.

Nie było to profesjonalne zachowanie z mojej strony, ale szczerze mówiąc miałem w tej chwili cały zawodowy profesjonalizm w d... dużym poważaniu.

- Six... - teraz byłem pewien, że w głosie Stanforda pojawiła się nadzieja. – Słyszałem o panu. To pan ujawnił aferę wykorzystywania nieletnich przy pracy dla koncernu Ikea, pan doprowadził do zdemaskowania procedury nieludzkich eksperymentów przeprowadzanych

przez laboratorium farmaceutyczne Geriatrix, pan rozgryzł bandę handlarzy organami, pan wyjawiał światu, że klonowanie ludzi jest faktem, pan odkrył, że zawartość banków spermy wykorzystywana jest w ekskluzywnych salonach SPA... To wszystko pan...

- Tak, to ja... - potwierdziłem skromnie. – Tak jakoś samo wyszło...

- Pan... - głos Stanforda zadrżał. – A ja... a ja...

I Stanford rozplakał się na całego.

„Cholera”, pomyślałem, „tylko tego mi tu trzeba”. To był w końcu obcy facet. Facet! I co miałem z tym zrobić? Jakby Stanford był kobietą... Mógłbym go przytulić, pogłaskać, objąć, podrapać po plecach, zrobić masaż, zaproponować stosunek... W każdym razie spróbować jakoś pocieszyć. A tak?! Wyglądał tak żałośnie... Pewnie zasługiwał, by mu okazać trochę ciepła, tylko jak?! Mogłem go co najwyżej strzelić w trąbę. Tyle, że to był Chris Stanford, a nie pierwszy lepszy chłoptaş, co się wymusknął sroce spod ogona. Sam Chris Stanford! Jeden z najtęższych umysłów w historii ludzkości! Geniusz na miarę Einsteina! To budziło respekt. Czy komuś na poziomie starczyłoby odwagi, by dać po pysku płaczącemu Einsteinowi?! Nie, nie starczyłoby. Ten rodzaj szacunku, który budzi się w moralnie normalnym i intelektualnie przeciętnym osobniku, gdy przychodzi mu obcować z tak wyjątkową postacią, gigantem intelektu, wzorem etyki, ikoną cywilizacji, uniemożliwia takie zachowanie. Zdawałem sobie sprawę, że zakrawa to niemalże na bałwochwalstwo, ale wymierzenie Stanfordowi ciosu z plaskacza przekraczało moje możliwości. Choćby nawet miał to być jedynie cios higieniczny.

- Panie profesorze... niechże pan nie będzie babą – powiedziałem zmieszany i siląc się na zdecydowanie szturchnąłem go niezręcznie w ramię.

- Ale...

Stanford jedynie tyle zdołał wyjęczeć i zaniósł się histerycznym szlochem. Trzęsła mu się broda, a z nosa leciały smarki, które sobie rozcierał po twarzy.

- No ależ drogi panie, tak nie można... - mówiąc to pochyliłam się nad nim i poklepałem po plecach.

- A pfuj! – krzyknął naukowiec i odchylił się gwałtownie.

Przestał płakać, ba, z miejsca zrobił się całkiem spokojny, wręcz dystyngowany (tylko mu te smarki niesympatycznie zasychały...) i patrzył na mnie najwyraźniej niemile zaskoczony.

- Przepraszam, przepraszam, ja nie to chciałem... - zawołałem wykonując rękami uspokajający gest, bo pomyślałem, że się obruszył moją konfidencjonalnością. – Naruszyłem pana strefę osobistą... No i zapewne... kontakt fizyczny... aspekt seksualny... Niech mi pan wierzy, że ja nie tego... Nie to chciałem...

- Ależ co pan mi tu pieprzył! – ryknął Stanford. – Po prostu ma pan oddech, że tak powiem, co nieco nieświeży. A zresztą, drogi panie. Dajmy sobie spokój z eufemizmami, nie bądźmy babami, jak sam pan raczył zauważyć. Po prostu powinien pan, szanowny panie, zainwestować w tik taki, bo panu normalnie jedzie! Jedzie panu nieludzko z japy!!!

Zaskoczył mnie tą nagłą zmianą i tym cytatem, tak do niego nieprzystającym, jakimś takim niezręcznym w jego ustach, płaskim, nawet prostackim. W innej sytuacji wdałbym się pewnie w intelektualny dyskurs, czy aby czasem kultura masowa nie za bardzo wdiera się w nasze codzienne życie i czy w ogóle kultura masowa to jeszcze kultura, czy raczej kontrkultura, ale okoliczności były takie, że się nawet ucieszyłem z tej jego przemiany, że się przestał mazać. Jak widać kac też mógł mieć swoje dobre strony...

- Ups, przepraszam... Rzeczywiście trochę wczoraj poimprezowałem – powiedziałem, starając się jakoś usprawiedliwić, zbagatelizować zaistniałą niezręczność.

W gruncie rzeczy było mi jednak strasznie głupio, bo się, jakby nie było, przyczyniłem do utrwalenia stereotypu, że Polak to ochlaptus. Nie mogłem tego tak zostawić!

- Cieszy mnie, że się pan wreszcie opanował – odezwałem się szybko twardym głosem – bo byłoby dobrze, jakby mi pan wszystko opowiedział. Tylko niech pan sobie bużkę powyciera, bo się pan straszliwie usmarkał – dodałem ironicznie.

Myślałem, że tym wtrętem zdetonuję nieco Stanforda, ale ten tylko popatrzył na mnie wyraźnie obruszony.

„No to świetnie!”, pomyślałem zdegustowany własnym nieokrzesaniem. „Teraz pewnie myśli, że nie dość, że pijak, to jeszcze gbur, burak, ogór i ćwok, egzemplarz delikatności pozbawiony totalnie! Pięknie się ojczyźnie przysłużyłem, nie ma co!” W dodatku poirytowało mnie to jego za... aaakichane, amerykańskie dobre samopoczucie. Taki to nawet jakby się zes... w portki narobił, to by się głupio nie poczuł! Mać jego taka owaka! A mnie zawsze dręczyła ta niepewność, ten jakiś kompleks, czy aby czasem jakiejś gafy nie strzeliłem, czy się zachowałem jak należy, czy durnowato nie wyglądam, czy nie puściłem jakiegoś bąka, ech... Więc się tak poczułem, że, aby się ratować od tych moich obaw prowincjonalnych, mogłem już tylko iść za ciosem, na całość, polecieć po grubasach do spodu i bez zahamowań.

- Może i trochę nadużyłem alkoholu, ale to jednak nie ja siedzę w szambie po uszy. Więc jak chcesz się pan z tego szamba wydostać, to będziesz pan musiał jakoś mnie ścierpieć. Poza tym niech mi pan tutaj nie jęczy, bo tego nie lubię. Przy mamusi może się pan jak gówniarz zachowywać, a teraz gadaj pan, bo szkoda czasu!

Stanford spuścił głowę. Teraz był zwykłym, słabym człowieczkiem. Widziałem, że zbiera się w sobie, walczy, że to, co chce, co musi powiedzieć, z trudem przejdzie mu przez gardło. Ale wiedziałem też, że będzie mówił, że rozumie, że nie ma innego wyjścia.

I tak się stało. Stanford zaczął mówić.

XVII

W tym samym czasie, kiedy Stanford wprowadzał mnie w najgorszą tajemnicę swojego życia, w obozie Sary doszło do dramatycznych wydarzeń. Nie później niż trzy godziny po moim odjeździe w obozie pojawiło się trzech mężczyzn. Mobutu, który swoim zwyczajem wartował na zewnątrz chaty z karabinem, został bez słowa zastrzelony. Następnie napastnicy wdarli się do domku Sary. Biciem i gwałtem chcieli wymusić z niej informacje. Ponieważ Mobutu próbował im przeszkodzić – on również zginął. Uratował się jedynie Mzimu, który wciąż trwał w swego rodzaju letargu. Blokada świadomości u nieszczęśnika była tak wielka, że nie reagował nawet na silne bodźce bólowe, w związku z czym agresorzy uznali go za niepozytalnego, a nawet roślinę, niezdolną do jakiegokolwiek komunikacji werbalnej, a tym samym za osobnika najzupełniej niegroźnego. Gdy byli pewni, że nikogo więcej w obozie nie znajdą, przeszukali chatę po chacie. Zabrali broń, którą w walce postradali ich kompani, a więc także miecze świetlne, jakże cenne dowody niewyobrażalnego wręcz zaawansowania technologicznego, oraz niemal cały mój arsenał. (Ze sobą na wyprawę zabrałem tylko lekką, niezawodną Baretę, małą kuszę, miękką pałkę, procę, kilka granatów hukowych i pistolet maszynowy. A! Zapomniałbym o brzytwie – brzytwę też wziąłem, sam nie wiem po co. Całą resztę ch... szlag trafił.) A potem zapakowali Sarę do jeepa i pojechali z powrotem. Sytuacja komplikowała się więc, ale ja o tym oczywiście nie wiedziałem (o przytoczonych tutaj zdarzeniach dowiedziałem się o wiele później). Byłem przecież gdzie indziej, pochłonięty wsłuchiwaniami się w opowieść Stanforda. A było czego słuchać...

Chris Stanford dokładnie streścił mi przebieg swojej pierwszej rozmowy z tym sk... skurczybykiem Smithem, a potem, bez wdawania się w zbędne szczegóły techniczne, przedstawił charakter swojej pracy w Kongo oraz efekty, do jakich udało mu się dojść. Byłem nimi szczerze przerażony! Nie do końca byłem w stanie pojąć wszystko, o czym mówił

genetyk. Z jego wywodów zrozumiałem mniej więcej tyle, że udało mu się stworzyć jakby ogniwo pośrednie między gorylem, a człowiekiem.

Stanford, przymuszony przez Smitha, który uprowadził jego córkę, przyjechał do Afryki osiem lat temu. Nie miał wyjścia. Miłość do Anny zmusiła go do wykonania demonicznej pracy. Od razu odrzucił modyfikację genotypu ludzkich zarodków – człowiek zbyt długo dojrzewa fizycznie. Dlatego postanowił pracować na gorylach, które dojrzałość osiągają już w ósmym roku życia. Pierwsze dwa lata zajęły mu eksperymenty (ich efekty zobaczyłem w słojach). To musiało być straszne dla takiego człowieka jak Stanford. Okaleczanie tego, nad czym przez miliony lat pracowała natura, tworzenie niezdolnych do życia potworków, z których część czuła, cierpiała... Naukowiec opowiadając o tym zgrzytał zębami z bezsilnej złości i łykał łyż ból. Ale potem, gdy w końcu udało mu się stworzyć JEGO... było jeszcze gorzej. Bo Stanford, zdesperowany, zły i zagubiony, dopuścił się zbrodni. Wiedział o tym. Stworzył istotę nie ludzką i nie zwierzęcą. Stworzył bestię, która nie kierowała się prostymi, czysto przyrodniczymi prawami. Każda żywa istota na swój sposób zachowuje się racjonalnie. Nawet człowiek. Każdy żywy organizm na Ziemi chce przeżyć jak najdłużej i się rozmnożyć. Niemal wszystkie działania wszelkiego stworzenia są temu podporządkowane. George, bo tak nazwał swoje dzieło Stanford, jednak nie działał w ten sposób. Genetyk nie ograniczył się bowiem do podrasowania genotypu goryla, w celu rozbudzenia w nim porządnego, ludzkiego sprawności, ale wprowadził do niego pewne zatrważające modyfikacje. Modyfikacje wbrew naturze. George nie mógł się rozmnażać w sposób samodzielny, ani na drodze płciowej (czy to z człowiekiem, czy gorylem, czy podobnym mu egzemplarzem wyhodowanym sztucznie), ani partenogenezy, ani na żadnej innej. Pod względem rozrodczym był najzupełniej jałowy. Można go było powielać jedynie w laboratorium: albo powtarzając cały cykl stwórczy, który doprowadził do powstania George'a albo poprzez klonowanie. To był swoisty bezpiecznik nałożony przez Stanforda. Ale naukowiec nie poprzestał na tym. Wiedział, że osobniki bezpłciowe, jak choćby muły, będące krzyżówką samicy konia z ogierem osłem, są zwierzętami silnymi, długowiecznymi i społecznymi. O takie cechy chodziło Smithowi. I dlatego Stanford NIE MÓGŁ stworzyć takiej istoty. Pomimo całej miłości do córki nie był w stanie zgodzić się na niewątpliwy dramat takich stworzeń. NIE MÓGŁ WYPRODUKOWAĆ NIEWOLNIKA IDEALNEGO! Nie miałem wiedzy, a pewnie i przenikliwości Stanforda, ale bez problemów mogłem sobie wyobrazić, jak wielkich cierpień musiałyby doznawać takie stwory, jak bardzo musiałby się zmienić świat, gdyby Smith zażądał najpierw setki, potem tysiąca, a potem milionów takich istot. To było oczywiste. I budziło grozę. Nie tylko dlatego, że proceder taki był okrutny sam

w sobie, ale przede wszystkim dlatego, że budził pokusę. Kto z nas, ludzi, nie chciałby mieć w domu idealnego posługacza? Posługacza bezwolnego, posłusznego, który nie ma żadnych wymagań, który mimo bólu i upokorzeń wykonuje wszelkie rozkazy swego pana? Kto?! Dlatego Stanford rozbudził w swym dziele agresję. Jej pokłady były tak wielkie, że nawet brutalność największych zbrodniarzy w dziejach ludzkości nie mogła się z nimi równać. Naukowiec chciał, by George stał się w jego rękach narzędziem zniszczenia. Chciał z jego pomocą uwolnić córkę, a jeżeli nie byłoby to możliwe (z przyczyn, o których wolał nie myśleć) chciał wyrzucić chociaż na Smicie zemstę. Postanowił, że kiedy będzie już po wszystkim, zgładzi George'a, a następnie popełni samobójstwo.

Naukowiec zaczął realizować plan. George rozwijał się pod opieką naukowca. Rosły jego mięśnie, inteligencja i wściekłość. Ale sprawy zaczęły się komplikować - Stanford albo nie przewidział, albo NIE CHCIAŁ przewidzieć, że między nim i Georgem powstanie... więź. Goryloczłek niemal od urodzenia próbował atakować wszystkich, ubranych w jednakowe stroje, ludzi Smitha. Rzucił się z kłami i pazurami, wyjąc i tocząc pianę z pyska na siatkę klatki, w której spędzał większość czasu, gdy tylko zbliżył się do niej jakiś strażnik. Do Stanforda jednak nieodmiennie wyciągał ręce, a gdy naukowiec odchodził, skamlał za nim żałośnie. Genetyk albo nie był na to przygotowany, albo nie przewidział, że nie będzie w stanie zapanować nad uczuciami. Nie minął rok od „narodzin” George'a, a Stanford zaczął go traktować jak... własne dziecko. Dziecko upośledzone i z gruntu złe, a jednak kochane.

Mijały miesiące, lata. George stawał się coraz mądrzejszy, coraz ciekawszy. Szczerze nienawidził ludzi (jedynym wyjątkiem był Stanford), ale coraz częściej nasłuchiwał z zainteresowaniem odgłosów dobiegających z klatek z gorylami. Wsłuchiwał się w ich pomruki, łapał w nozdrza ich zapach. W końcu zaczął pokrzykiwać do nich, a one mu odpowiadały. Mowa goryli jednak George'owi nie wystarczała. Z czasem zabrał się do naśladowania ludzi. Próbował mówić! Stanford zaczął go uczyć.

Nie mogło być wątpliwości, że stwór pod wieloma względami przypomina człowieka. Stanford przyjął to z pełnym zrozumieniem. Przecież niczego innego nie oczekiwał. Zaskoczyło go jednak tempo intelektualnego rozwoju George'a. Goryloczłek zarówno fizycznie, jak i umysłowo dojrzał o wiele szybciej niż człowiek, a nawet nieco szybciej niż goryl. Nie był w stanie nauczyć się liczyć, z trudem radził sobie z samodzielnym rozwiązywaniem choćby najprostszych problemów, jakie stawiał przed nim Stanford (były to standardowe testy sprawności intelektualnej przeprowadzane na małpach oraz ludzkich dzieciach), ale dość dobrze radził sobie z naśladowaniem, rozróżnianiem prostych figur i brył geometrycznych oraz rysowaniem nieskomplikowanych obiektów, na przykład takich, jak

twarz ludzka (George rysował dwa rodzaje twarzy: pierwszą - uśmiechniętą, emanującą dobrocią, czasem smutną, ale zawsze harmonijną i niezmiennie kreśloną łagodnymi liniami oraz drugą - złą, wykoślawioną, niekształtną, bazgraną rwanymi, nerwowymi kreskami).

Kiedy George miał trzy lata przemówił po raz pierwszy. To nie było pojedyncze słowo, jak w przypadku ludzkiego dziecka, takie jak: „mama”, „tata”, albo „nie”. George powiedział wtedy do Stanforda:

- Ty, ja, razem. George, lubić, razem.

Od tego czasu rozmawiali coraz częściej. To były na ogół proste komunikaty, ale kiedyś goryloczłek powiedział:

- Ja, znam, ty. Ja, nie znam, ja. Dlaczego? Ja, chcieć, ja, znać!

Stanford przyniósł więc George'owi lustro. Nowa „zabawka” bardzo ucieszyła George'a, który przyglądał się sobie z wielkim zainteresowaniem.

Po trzech miesiącach George rozbił jednak lustro, kalecząc się przy tym dotkliwie. Był tak zły, że przez kilka dni nie pozwolił się opatrzyć nawet Stanfordowi. Szalał w klatce, nieomal jej nie rozniósł. Potem posmutniał. Po tygodniu zapytał Stanforda:

- Ja, nie, ty. Kto ja?

Stanford nie wiedział, co odpowiedzieć i uciekł. Gonił go błagalny głos George'a:

- Kto ja?! Kto?! Kto George?! Ty mów! KTO GEORGE?!!!

Następnego dnia Stanford przyprowadził do klatki George'a młodego goryla. Stwór w pierwszym odruchu rzucił się w stronę małpy, ale szybko się uspokoił. Patrzył raz na goryla, raz na Stanforda, a potem odszedł w kąt klatki i siadł do nich tyłem, obejmując głowę długimi, silnymi ramionami.

Innym razem George obwieścił Stanfordowi:

- Tam – goryloczłek wskazał na pomieszczenie z goryłami – smutek. Człeki z lasu wielki smutek. One chcieć iść. Tam dom – George mówiąc to wyciągnął ramię w stronę jednej ze ścian. – Ja iść z nimi. Ty i George iść z nimi. Ja... ciebie proszę.

Stanford, rzecz jasna, nie mógł spełnić jego życzenia, chociaż bardzo chciał. Więc George powtarzał swą prośbę wielokrotnie.

Po upływie sześciu lat stwór dorósł na tyle, by Stanford mógł zaprezentować go Smithowi. Nie mógł jednak się na to zdobyć. Minęło kilka kolejnych miesięcy i stało się tak, że gdy w końcu Stanford, naciskany przez Smitha, podjął decyzję - George uciekł.

XVIII

W tym miejscu Stanford przerwał opowieść. Wyczuwałem intuicyjnie, że chce mi jeszcze coś powiedzieć, ale nie ponaglałem go.

Wiedziałem już niemal wszystko i ta wiedza mnie przerastała. Co miałem począć? Jak się zachować? Stanford, choć kochał Geoga jak syna, był przekonany, że należy go zgładzić. Ja nie byłem tego pewien, bo miałem więcej informacji niż Stanford. Wiedziałem, jak George zachowywał się po ucieczce z laboratorium. Wiedziałem, że nie mordował wszystkich ludzi bez różnicy. Ba! Byłem pewien, że niektórych próbował chronić. Nie był więc bezmyślnym automatem do zabijania, opanowanym nieposkromioną żądzą mordu. Czy byłbym w stanie, gdy nadejdzie ten moment, pociągnąć za spust i... dokonać na goryloczłego egzekucji? A jeżeli pozwoliliby się George'owi żyć, to jaki los by go czekał? Czy taka istota, ni zwierzę, ni człowiek, myśląca i czująca, chciałaby spędzić całe życie w klatce? Zresztą pewnie zaraz dobrałyby się do niego cała zgraja jajogłowych, zaczęłyby przeprowadzać na nim różne testy, różne eksperymenty... A wojsko?! Ci dopiero mieliby z George'a uciechę!

Co gorsze małpolud nie był na razie moim największym zmartwieniem. Musiałem jakoś pomóc Stanfordowi i jego córce, zadbać o bezpieczeństwo Sary.

- Panie profesorze – odezwałem się. – Proszę mi pokazać klatkę George'a.

Stanford wstał ciężko z krzesła i zaprowadził mnie na miejsce. Obejrzałem drzwiczki, zamek. Wydostanie się z klatki nie było prostą sprawą. Jej konstrukcja była bardzo solidna i albo doszło do zaniedbania, albo stwór był naprawdę wyjątkowo inteligentny. Nad klatką widniał napis:

SMITH Co.

Coś mi to przypomniało, ale nie mogłem uchwycić odpowiedniego wątku. Jeszcze raz uważnie obejrzałem klatkę i odwróciłem się. Stałem na wprost lustra (jakiś czas po swym napadzie szału i rozbiciu lustra George poprosił Stanford o nowe, ale naukowiec bał się dać mu ponownie tak niebezpieczny przedmiot do ręki, powiesił więc wielkie lustro na przeciwległej ścianie). Odbijała się w nim klatka stwora i wymalowany na niej napis. Teraz zrozumiałem, co za tajemnicze znaki układał z ludzkich szczątków George! Odzworowywał to, co widział przez całe życie...

- Panie Six – powiedział z naciskiem Stanford, ściskając mnie za ramię. – Panie Six, pan musi mi pomóc!

- Taaaak... - odpowiedziałem mechanicznie, bo moje myśli błądziły wciąż wokół stwora.

- To, co panu powiedziałem, to nie wszystko!
 - Są jeszcze jakieś inne stwory?! – wypaliłem przerażony.
 - Nie, to nie to – odpowiedział zniecierpliwiony Stanford. – Otóż widzi pan, Smith, ta gnida, jak ognia boi się podsłuchów. A wie pan, teraz można wszystko podsłuchiwać. Telefony, połączenia poprzez sieć komputerową, przeglądać pocztę e-meil...
 - No tego akurat nie musi mi pan tłumaczyć – zniecierpliwilem się.
 - Jasne, przepraszam. Smith ma na tym punkcie prawdziwą obsesję i w ważnych sprawach kontaktuje się wyłącznie poprzez swoich zaufanych ludzi. Nie dzwoni, nie pisze, tylko śle gońców. Jego ludzie rzecz jasna powiadomili go o kłopotach z George'm. Oczywiście nie wprost, ale wystarczająco jasno i alarmująco, by przysłał tutaj swojego totumfackiego.
 - Stąd ten Skytruck?
 - Tak. Facet odlatuje jeszcze tej nocy. Raport, który złoży Smithowi nie będzie, jak się pan domyśla, zbyt... optymistyczny. Obawiam się, że... że to może... że moja córka... Że ona będzie przez to w niebezpieczeństwie!
 - To cudownie! – zawołałem jak ostatni kretyn, bo mi się wyklął nagle plan działania.
 - Pan oszalał – wyjąkał nieprzytomnie Stanford, gwałtownie odsuwając się ode mnie.
 - Nie! Niech pan posłucha. Jak wszystko dobrze pójdzie, pan i pańska córka odzyskacie wolność!
- I w skrócie streściłem Stanfordowi swój plan.

&&&

Skytruck, po krótkim rozbiegu, oderwał się od betonu pasa startowego i właśnie ostro nabierał wysokości. Siedziałem cicho, jak myszka w luku bagażowym i usiłowałem zebrać myśli. Plan, który przedstawiłem Stanfordowi był szalony i niekompletny. Był pełen dziur, niczym ser szwajcarski. To właściwie nie był plan, a plan planu, szkic planu, zarys planu za ledwie! Samolot wzbił się już całkiem wysoko, a ja walczyłem z ogarniającą mnie beznadzieją. Zamiast lizać rany i byczyć się w jakimś zaciszu (nie będę wspominał o tym, jak byłem zmęczony i obolały, bo jest to chyba całkiem jasne) byłem uwięziony na pokładzie Skytrucka. Cholera! Musiałem jakoś się pozbierać i wykrzesać z otępiełej mózgownicy resztki inteligencji, jeżeli nie chciałem podać się Smithowi na tacy. Nie żeby mi na życiu zależało. W końcu i tak się kończyłem, o czym nie dawał mi zapomnieć ćmiący ból w boku.

Ale ode mnie zależała przyszłość Stanforda i jego córki! Obiecałem coś, a dla mnie dane słowo jest święte. Musiałem się zebrać w sobie! Spężyć się! Wziąć w kupę!

Cały plan, jaki przedstawiłem Stanfordowi, opierał się na jednym zasadniczym założeniu i wykorzystywał jedyną, nadarzającą się okoliczność. Po pierwsze – jeżeli chciałem uratować oboje Stanfordsów musiałem dopaść Smitha. Dlatego pozostawiłem naukowca w afrykańskiej bazie i kazałem mu zachowywać się, jakby nigdy nic. Gdybym zaczął od uwolnienia Chrisa Stanforda jego córka niechybnie przypadłaby na zawsze. No, chyba, że wysiekałbym wszystkich pachołków Smitha w Kongo. Na to jednak byłem za słaby. Po drugie – niebo zesłało mi idealny transport prosto do samego piekła. Grzechem byłoby nie wykorzystać takiej gratki. Powiedziałem więc Stanfordowi, że cichcem zakradnę się na pokład Skytrucka, na gapę polecę do Stanów i zrobię porządek u źródła, czyli w siedzibie Smitha, uwolnię pannę Annę, a następnie wrócę po niego. Naukowiec w pełni zaakceptował mój plan. Albo miał bezgraniczne zaufanie do moich zawodowych umiejętności, albo uchwycił się mojego pomysłu, jak tonący brzytwy. Bo idiotą chyba nie był...

Spoczywająca na mnie odpowiedzialność wcale nie działała mobilizująco. Powiem wprost – była jak wrzód na d..., była jak drzazga wbita w żywe ciało. Chętnie bym się jej pozbył. Ale nie mogłem. Musiałem myśleć! I coś wymyśleć. W bagażowni było gorąco, jak w saunie, więc ściągnąłem koszulę. „Myśl”, powtarzałem sobie, bezwiednie napinając mięśnie, „myśl, myśl!”. Czułem się, jakbym był w... szklanej pułapce.

I to skojarzenie mnie uratowało. Wyobraziłem sobie półnagiego, miotającego się, jak zwierzę w klatce, umorusanego Bruce'a Willisa i niemal parsknąłem śmiechem. To był real i nie stać mnie było na byle jaki scenariusz, marne teksty i tonę efektów specjalnych. Ba! Najgorsze było to, że chwilowo nie stać mnie było na żadne efekty. Zmierzałem prosto do gniazda szerszeni wyposażony, jak na majówkę. Coś z tym trzeba było koniecznie zrobić...

Mój umysł wreszcie zaczął racjonalnie analizować sytuację. Solo w starciu ze Smithem nie miałem szans: zawsze kręciła się wokół niego solidna obstawa. Miałem nadzieję, że w swojej rezydencji w Dakocie nie ma aż takiej armii, jak w bazie w Kongo, niemniej potrzebowałem broni i ludzi. Nasuwało się jedno, oczywiste rozwiązanie – Demolos Korpuskulos!

Demolos był rodowitym Grekiem. Po przewrocie wojskowym w drugiej połowie lat 60. rodzice Demolosa działający w opozycji, aby uchronić się od represji, wyemigrowali do Polski (wówczas Ludowej). A Demolos wraz z nimi. Młodego Korpuskulosza poznałem pod koniec lat 70., gdy jeszcze zdarzało mi się grywać w różnych kapelach muzykę od punka do funka. Szybko okazało się, że nie tylko jesteśmy rówieśnikami i łączą nas zbliżone upodobania muzyczne (Demolos z wielką werwą szyl na basie, a także śpiewał), ale mamy

również wielką ochotę na wielkie przygody. I gdy rozpoczęła się wojna polsko-jaruzelska zgodnie doszliśmy do wniosku, że nie ma na co dłużej czekać, trzeba uciekać. A ponieważ w wieku dwudziestu kilku lat wielu młodym facetom wydaje się, że nie ma większej przygody nad Legię Cudzoziemską, obaj wylądowaliśmy w Legii na siedem lat! Przez cały czas byliśmy w jednym korpusie, znosząc ramię w ramię trudy żołnierskiego żywota. Potem nasze drogi rozeszły się. Ja wróciłem do Polski, by obserwować koniec PRL-u, przeżyć euforyczną radość z upadku komuny oraz gorycz niespełnionych nadziei i zabrać się do niewdzięcznej, często brudnej, detektywistycznej roboty. Korpuskulos pozostał wierny rzemiosłu wojaka, biorąc udział w niezliczonej ilości zbrojnych konfliktów na całym świecie, jako najemnik. Ale przyjaźń przetrwała. Nie widywaliśmy się zbyt często, ale byliśmy w kontakcie. A co najważniejsze każdy z nas wiedział, że zawsze może liczyć na tego drugiego.

Kilka lat temu Demolos uznał, że czas najwyższy przejść na zasłużoną emeryturę. Kupił kawałek ziemi w centralnej części Stanów, niedaleko miejscowości Sioux Falls i zajął się kolekcjonowaniem broni.

Uświadomiłem sobie, że siedzibę Korpuskulosia od posiadłości Smitha musi dzielić odległość nie większa niż dwieście kilometrów! Jakież musiałem być o tępiaty, że nie wpadłem na to od razu. A zatem jedną dziurę w planie miałem już z załataną: wiedziałem kto dostarczy mi broni i wesprze w krucjacie przeciwko Smithowi.

Teraz musiałem rozwiązać jeszcze jeden problem. Nie mogłem przecież lecieć tym z... zakichanym samolotem wprost do bazy oligarchy. Co miałem zrobić? Uprowadzić maszynę? Pilot z pewnością nawiązał kontakt ze swoim szefem, więc każde opóźnienie przylotu musiało wywołać alarm. W dodatku na pokładzie, oprócz pary pilotów i gościa, który był umyślnym Smitha, znajdowało się ponadto jeszcze czterech facetów obstawy, zapewne uzbrojonych po zęby. Konflikt z taką zgrają był zbyt ryzykowny. Gdybym zdecydował się na atak miałbym wprawdzie przewagę zaskoczenia, ale i tak mogłem się ze wszystkimi nie uporać dostatecznie szybko. Byłem w potrzasku.

Ale i tym razem z pomocą przyszedł mi przypadek.

&&&

Skytruck to zgrabny, wielozadaniowy, uniwersalny samolot krótkiego startu i lądowania, jeden z niewielu polskich produktów, który zdobył popularność i uznanie na

całym świecie. Nie byłem specjalnie na bieżąco w tematyce lotniczej, ale wiedziałem, że zasięg Skytrucka jest raczej średni (kręci się gdzieś wokół tysiąca pięciuset kilometrów) a maksymalne prędkości przelotowe nie przekraczają pięciuset kilometrów na godzinę. Tym czasem, by dostać się do posiadłości Smitha trzeba było przelecieć, jak na mój gust, tak gdzieś w okolicach trzynastu, czternastu tysięcy kilometrów. Minimum. Jakim cudem Skytruck miał się uporać z takim bezmiarem przestrzeni? Gdybym znajdował się w wersji seryjnej maszyny pilot musiałby wielokrotnie lądować i tankować paliwo, a cała podróż trwałaby co najmniej półtorej doby. Zresztą samolot i tak nie byłby w stanie przelecieć nad Atlantykiem! Po raz kolejny ścierpła mi skóra. Czyżby Skytruck służył jedynie do jakiegoś lokalnego przelotu, a następnie załoga miała się przenieść do odrzutowca i dokończyć podróż większą, mocniejszą i szybszą maszyną? Wtedy mogłem mieć poważne problemy...

Sięgnąłem po GPS, sprawdziłem swoją aktualną pozycję i... oniemiałem. Albo urządzenie było uszkodzone i podawało błędne współrzędne albo coś niedobrego działo się z moją intelektualną sprawnością albo... Skytruck gnał z prędkością kilkakrotnie przekraczającą prędkość dźwięku! Zapamiętałem liczby podawane przez urządzenie: 27 stopień, 16 minuta, 57 sekunda długości wschodniej; 47 minuta i 23 sekunda szerokości północnej. Samolot jeszcze dobrze co nie wystartował, a już przekroczył równik! Spojrzałem na zegarek. Było pięć minut po drugiej. Pomyślałem, że z kabiny pilotów niedługo będzie można podziwiać świt. Szybko jednak złapałem się na własnej głupocie – przecież samolot leciał na zachód, a więc uciekał przed świtem. Jeżeli moje intuicyjne założenia miały sens (uszkodzenie GPSa uznałem za mało prawdopodobne), to rozwijając tak ogromną prędkość do Dakoty powinniśmy byli lecieć cały czas nocą. Gryząc paluchy odczekałem pół godziny i ponownie wpatrzyłem się w wyświetlacz GPSa. Odczyt brzmiał: 20 stopień, 32 minuta, 39 sekunda długości wschodniej oraz 6 stopień, 47 minuta i 2 sekundy szerokości północnej. Przy założeniu, że odległość jednego stopnia długości geograficznej w okolicach równika jest równa odległości jednego stopnia szerokości geograficznej i odpowiada w przybliżeniu stu kilometrom bez trudu, korzystając z twierdzenia Pitagorasa, obliczyłem, że w ciągu pół godziny Skytruck pokonał ponad dziewięćset kilometrów. A zatem nie pędził aż tak, jak podpowiadała mi zwodnicza intuicja, ale i tak wystarczająco prędko, aby w Stanach znaleźć w przeciągu około ośmiu godzin. Zaledwie ośmiu godzin! I tego miałby dokonać pocziwy, polski Skytruck?! Coś tu nie grało, ale zdążyłem już na tyle poznać Smitha, że nie byłem wyczynami samolotu nadmiernie zdziwiony. Zewnętrzna, powszednia powłoka samolotu robiła najwyraźniej za kamuflażu maszyny o zupełnie innym zaawansowaniu technologicznym. Byłem przekonany, że po starcie, gdy samolot zniknie już z oczu

postronnych, piloci odpalają silniki odrzutowe (a może nawet jakieś raketowe, termojądrowe bądź plazmowe cuda!), a śmigła wykorzystywane przy starcie chowają tak samo jak podwozie we wnękach kadłuba i tną powietrze ile wlezie. Fajnie! Tylko, że czas mijał nieubłaganie, pożerając kilometry dzielące mnie od zagłady lub wyzwolenia. Czas rzeczywisty i czas subiektywny, odczuwany psychologicznie, to dwa różne czasy. Czas zawsze jest względny. Nie potrzeba Einsteina, by to zrozumieć. Dla mnie czas zaczął pędzić! Gdybym tylko mógł modliłbym się, by Bóg wpłynął jakoś na przeskakujące cyferki zegarka i by przeskakiwały wolniej. Choć odrobinę wolniej. Gdybym mógł... Ale nie mogłem. Ja, sceptyk, niedowiarek, agnosta, przekonany, że nawet to, co niewytłumaczalne, to jednocześnie fizykalne, ateusz z wyboru, dobrowolny, religijny banita, miałbym teraz paść na kolana i zacząć trzepać zdrowaśki? Nigdy! Byłem na to zbyt honorny! Pociłem się więc z przerażenia, że za chwilę, tak za chwilę, bo ten zas... kakujący swym relatywizmem czas gnał jak opętany, coraz szybciej i szybciej, więc drżałem, że za chwilę Skytruck skłoni się ku ziemi i niczym jakiś mityczny ptak śmierci wypuści mnie ze swego brzucha prosto w miejscu ostatecznego przeznaczenia.

Nadludzkiem, desperackim wysiłkiem, łapiąc się na tym, że jeszcze sekunda i skończę w formie roztelepanej galarety, skierowałem się w stronę drzwi dzielących ładownię od przedziału pasażerskiego. Uchyliłem je delikatnie i wyjrzałem. W pomieszczeniu panował półmrok. Gdzieś z głębi dobiegało miarowe pochrapywanie. Pięciu mężczyzn siedziało, a właściwie spoczywało w komfortowych fotelach Skytrucka, który nie był Skytruckiem (nigdy nie można mieć pewności, czy realność to nie jedynie sprytny fotomontaż!). Nie poruszali się. Być może spali, być może tylko drzemali, a być może wygodnie rozwaleni i rozleniwieni rozmyślali o panienkach i chwilach rozkoszy z nimi, które sobie kupią, gdy Smith wypłaci im bandyckie gaże. Przez chwilę zastanawiałem się, czy by jednak nie wypaść na nich i nie zrobić im kuku, ale się pohamowałem. Nie byłem w formie. Żebra. Paluch. Brak snu. Zmęczenie fizyczne i psychiczne. Duszna odpowiedzialność. WĄTROBA! To chyba jasne, nie będę się powtarzał... Już miałem się cofnąć, gdy mój wzrok spoczął na worze sporych rozmiarów, leżącym za ostatnim rzędem foteli, nie dalej niż trzy metry ode mnie. Od razu wiedziałem, co się w nim mieści. Ostrożnie, bezgłośnie, tak bardzo bezgłośnie, że nawet bezdysznie, by bezgłośność była zupełna, w samych skarpetach, by nie zdradził mnie wizg protektora na gumowanej posadzce, podkradłem się do spadochronu. Wziąłem go w dłonie, niczym najdroższy skarb i chyłkiem, tyłkiem wycofałem się na z góry upatrzone pozycje, czyli do swojej bagażowni. Gdy byłem już bezpieczny zajrzałem do wnętrza wora i aż gwizdnąłem z cicha. Zdobyłem nie jakiś tam zwykły spadochron, ale całkiem zawodowy

spadolot. Pozwijane skrzydło musiało mieć dobrych osiem metrów długości, a więc w razie potrzeby i przy sprzyjających prądach powietrznych mogłem na nim przelecieć kawał świata.

XIX

Po raz kolejny (chyba setny?) sprawdziłem wskazania zegarka i GPSa. Jeżeli moje obliczenia były prawidłowe niby-Skytruck albo już był, albo dolatywał, nad terytorium Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej. A jeżeli tak, miałem jakieś dwie godziny, może trochę więcej, może mniej, do lądowania. Czas był najwyższy, by skontaktować się z Korpuskulosem. Wysuplałem z jednej z mnogich kieszeni telefon i wykręciłem numer. „Obyś odebrał, ty stary draniu”, pomyślałem.

Za pierwszym podejściem nie udało się, ale nie traciłem nadziei. W końcu w USA godzina była taka, że Greczysko powinno było spac snem sprawiedliwego. Ponowiłem próbę. Znowu nic. Może jeszcze nie byłem nad Stanami? Telefon jednak wskazywał, że jest zasięg. Zadzwoiłem jeszcze raz. Trzasnęło i sygnał w słuchawce zniknął. Usłyszałem coś jakby sapanie.

„Nareszcie”, ucieszyłem się, „udało się!”

Wciąż słyszałem to samo, podejrzanie sapanie. Jakby się facet dusił.

„Zawału dostał, czy co?”, tym razem przeraziłem się dla odmiany.

- Halo! Haloooo! – zawołałem w słuchawkę teatralnym szeptem.

Chciałem ryczeć na całe gardło, ale chłopcy od Smitha mogliby mnie usłyszeć.

- Haloooo!! To ja! Dan! Czy ty tam? Demolos?! To ja!

- C-hh-oooo? – wysapał głos w telefonie.

- Demolos Korpuskulos? To ja, Dan Six! Six!!!

- Dan?! Chłopie, wiesz, która godziiiiiiina? – wysapał i wyjęczał Grek.

To znaczy najpierw sapał, a potem tak mu głos jakoś znajomo zadrżał i pociągnął w górę...

- Tak, to ja, Dan. To ty? Korpuskulos? Demolos?

- Człowieeeeekuuuu, na mózg ci się rzzrzzruciloooooo?

Korpuskulos jakoś bardzo dziwnie modulował.

- O Jezuuuu, przestań. Nie teraz. Przecież widzisz, że usiłuję rozmawiać – dobiegł głos ze słuchawki.

- Co? – zapytałem zbity z pantałyku.

- Nie do ciebie.... No przestań kotku.

Dopiero teraz domyśliłem się, że stary lowelas przygruchał sobie jakąś panienkę i... no tak...

- No, Dan, teraz możemy pogadać. Aleś trafił, chłopie. Ty to masz wyczucie. Właśnie laska robiła mi laskę, jak zadzwoniłeś – wypalił zupełnie naturalnie i bezceremonialnie

Korpuskulos i kontynuował:

- Co u ciebie? Gdzie się podziewałeś? Nie wiesz, że na świecie są różne strefy czasowe?

Masz szczęście, że wieczorem w barze wyrwałem taki fajny towar, bo bym normalnie chrapał, jak zabity i byś, stary, szybciej się zesrał niż dodzwonił. A wiesz co...

- Demolos! – przerwałem mu, bo wiedziałem, że może tak gadać, aż mu za nie zapłacone rachunki telefonu nie wyłączą. – Pogadamy później! Obiecuję stary! A teraz słuchaj... bo nie będę powtarzał. Jestem w akcji...

- W czym?!

- W akcji, gamoniu. Ja nie pierdę pod pierzyną, w domowych pieleszach, jak stara ciota. Ja się wciąż z bandziorami na całym świecie nap... arzam. Lecę jakimś p... pieprzonym odrzutowcem, najprawdopodobniej mniej więcej w twoim kierunku. Na miejscu będę za jakieś półtorej, góra dwie godziny. Potrzebuję broni stary. Dużo broni! I kilku chłopaków, co się nie boją odstrzelić innym chłopakom jajek.

- Z kim zadarłeś? – zapytał Korpuskulos poruszony.

Od razu wyczułem, że obudził się w nim zabijaka.

- Z Johnem Smithem!

- O kurwa! – zawołał Grek. – Możesz na mnie polegać! Już zbieram ekipę i pędzę do ciebie! Przyznam, że niczego innego się po nim nie spodziewałem.

- Wiem maleńka, że liczyłaś na świeżą, bitą śmietaną prosto z rurki – usłyszałem w słuchawce głos Korpuskulosa – ale, sorry, sama rozumiesz, tatuś ma sprawy do załatwienia i musi lecieć...

&&&

Mijały minuty, uciekały kilometry. Smith był coraz bliżej. I wtedy po raz kolejny uśmiechnął się do mnie los. Samolotem zaczęło szarpać, a do moich uszu doleciały odgłosy gromów. Wyonaczony Skytruck wpadł w strefę, w której aniołki intensywnie grały w kręgle. Partia musiała być zjadła, bo grzmociło raz po raz, a samolotem trzęsło, jak sk... jak diabli.

Nagle jedna z błyskawic huknęła w maszynę. Teoretycznie nic nie powinno się stać: samoloty są tak konstruowane, by prąd popłynął po zewnętrznej powłoce kadłuba, która na mgnienie staje się fragmentem gigantycznego obwodu elektrycznego, zwierającego przeciwne bieguny gigantycznej baterii. Tym razem jednak albo ładunek był zbyt wielki, nienormalnie wielki, albo w konstrukcji samolotu tkwił jakiś błąd. W każdym razie samolot trafiony gromem runął w dół, niczym bokser rażony potężnym, nokautującym ciosem. Maszyna musiała ostro pikować, bo poleciałem w przód i boleśnie wyrznąłem o stal kadłuba. Nie wiedziałem z jakiej wysokości spadamy, jakie są zniszczenia ani czy pilotowi uda się wyprowadzić maszynę z pędu ku zagładzie. Z trudem założyłem uprząż spadochronu i napałem na drzwi luku bagażowego.

Koziółkując wypadłem w przestwór. Szybko ustabilizowałem pozycję i zredukowałem szybkość opadania, rozkładając na boki ręce i nogi. Byłem wolny. I co najważniejsze – mogłem oddychać (przyznam, że przez chwile bałem się, czy mój desperacki skok ze spadochronem nie został wykonany na zbyt dużej wysokości). Światła pozycyjne samolotu szybko zniknęły mi z oczu w powodzi deszczu, ale przez czas jakiś słyszałem jeszcze wizg rozpędzonej maszyny. Tylko wizg, świst wywołany przez skrzydła rozdierające powietrze. Silniki milczały. Tego byłem pewien. Byłem też niemal pewien, że uderzenie tak potężnego ładunku elektrycznego uszkodziło zapewne wszelkie urządzenia elektroniczne samolotu. „O w mordę kopane”, jęknąłem w duchu, bo się wystraszyłem, że być może i mój GPS szlag trafił. A wtedy żegnaj spotkanie z Korpuskulosem! Żegnaj broni! Żegnaj potyczko ze Smithem! Żegnaj sławo i chwało!

Musiałem jednak wyskoczyć dość wysoko, bo pomimo upływających sekund wciąż nie widziałem błysku eksplozji, pochodzącego od samolotu rozbijającego się o ziemię. A może pilotom udało się jednak uratować maszynę, może wprowadzili ją w ślizg i szybowali teraz poprzez ciemność... Tak, zdecydowanie nie było na co czekać, tym bardziej, że wiatr i deszcz osłabły jak na komendę. Pociągnąłem rączkę spadochronu, usłyszałem furkot wyskakującego skrzydła i niemal w tym samym momencie poczułem znajome szarpnięcie. Nie spadałem już bezwolnie, niczym wór ziemniaków, lecz szybowałem majestatycznie. Jak wielki, monstrualny, napuszony kondor. Nie wiem czemu akurat kondor przyszedł mi na myśl. Może przez wzgląd na moją gębę? Ale cóż, jak celnie zauważył pewien francuski dramatopisarz, Jean Giraudoux: „po czterdziestce ma się taką twarz, na jaką się zasługuje”. Ja, Dan Six alias Daniel Szóstkiewicz alias Wielki Gonzo, na swoją zasłużyłem ciężko i solidnie. No i czterdziestka śmignęła mi przez ramię już dawno temu...

Teraz dopiero miałem czas i możliwość, by wygrzebać z kieszeni GPS. Na szczęście był na chodzie! Gdyby go szlag trafił, Korpuskulos nie mógłby mnie zlokalizować. A tak, prowadzony jak po sznurku sygnałem urządzenia, zapewne zmierzał już w moją stronę, wyposażony w odpowiednio ciężkie i śmiertcionośne uzbrojenie.

Leciałem przed siebie w kierunku północno-zachodnim jeszcze około pół godziny, korzystając z pomyślnych prądów powietrznych. Potem, po sprawdzeniu swej pozycji, uznałem, że dalszy lot w stronę rezydencji Smitha nie ma sensu i złożyłem skrzydło. Burza pozostała za mną a na wschodzie pojawiła się pierwsza zapowiedź nadciągającego brzasku. Wylądowałem bez najmniejszych problemów na prerii spowitej mgłami. Zwinąłem materiał spadochronu tworząc z niego wygodną pufę i usiadłem po turecku pośród skąpanych w rosie traw. Teraz mogłem tylko czekać.

Było już całkiem jasno, gdy usłyszałem terkot silnika. Wyteżając zmęczone oczy spojrzałem w kierunku, z którego nadchodził dźwięk. Po chwili zobaczyłem jednopłatowy samolot wojskowy w barwach Grecji, zmierzający ociężale w moją stronę.

„Ale rupiec”, pomyślałem, gdy maszyna wylądowała i mogłem się jej bliżej przyjrzeć.

Z kabiny wychynął mężczyzna potężnej postury i ciężko zeskoczył na ziemię.

- Oto Demolos i jego waliza – powiedziałem nie bez złośliwości na widok przyjaciela. – Istny Pandemonios Otylos.

- Cześć Dan, ty czerstwy przecinku.

Korpuskulos objął mnie i uściskał z niedźwiedzią wylewnością.

- Ujć – jęknąłem, bo zebra przypomniały o sobie.

- Co jest?

- A nic. Zebrałem trochę ciągów w ciągu ostatnich kilku dni. Trochę za wiele.

- Ech, ty... Ciągle ktoś cię goni, ty uciekasz, potem jest zmiana i szpak dziobie bociana, dla odmiany wdajesz się w bijatykę, a jak już z nikim chwilowo nie masz na pieńku umartwiasz się na siłowni. Toś i żylasty jak kawał wiekowej wołowiny. A ja jestem sobie zwykły, prosty hedonista, co lubi używać życia: jeść, pić i posuwać ile siły w łędźwiach – Korpuskulos z lubością potrząsnął bandziochem. - Moja waliza i moje przyjemności. Nie żal ci tak szargać starych kości? No, popatrz na mnie i przyznaj, że sam byś tak chciał? Ale nie. Ty nie potrafisz. Nie umiesz wyzwolić tkwiącego w tobie sybaryty, obżartucha i swingersa. Tylko picie ci wychodziło zawsze, jak należy. Ale to nie twoja zasługa, tylko twojej polskości.

- Skończyłeś?

- Tak, ale muszę ci jeszcze powiedzieć, że jest coś nienormalnego w tym, że stary facet, zamiast używać jesieni życia w jakimś spokojnym, urokliwie sielskim zakątku, zamiast

rozkoszować się smakami i aromatami dzieł bożych, z których najlepszymi są baranie szaszłyki, stare wino i młode dupeczki, ponieważ się po świecie, jak jakiś młokos, co to nie wie jeszcze, co począć ze swym męskim libido...

Gadał tak i gadał, a wszystko po to, by pokazać, jak bardzo mnie kocha. Od tej jego wylewności w końcu zachciało mi się ziewać. Chyba zobaczył, że powieki zaczynają mi opadać, bo nagle i bez ostrzeżenia zmienił temat.

- W co ty się wpakowałaś tym razem?

- Długo by opowiadać. Najważniejsze, że muszę dokopac jednemu gnojowi.

- Ambitny cel sobie wybrałaś...

- To nie ja, to los...

- Los, czy nie los, w każdym razie... żeś wlos! Ale powiem ci, że się cieszę! To, że wybrałem Dakotę na miejsce swej żołdackiej emerytury, to nie przypadek. Nie siedzę tutaj, bo mi się preria podoba, ale dlatego, że mi się już od bardzo wielu lat nie podoba Smith. Coś mnie wewnątrznie skłaniało, podszeptowało... Coś... jakby poczucie przeznaczenia. Wiedziałem, że wcześniej, czy później zmierzę się z tym Smithem. Fajnie Dan, że to właśnie przy twoim boku...

- Ekstra. Tylko, że miałem nadzieję... Zresztą nie wiem na co liczyłem. Ale tylko my dwaj?! W tym szmelcu?! – zakrzyknąłem desperacko, wskazując latającego gruchota. – Toż ten Smith przerobi nas na konserwy dla psów.

- No wiesz! – obruszył się Korpuskulos. – Coś ci się nie podoba w moim samolocie? To PZL P.24f! Mój ojciec, kapitan greckich sił powietrznych latał właśnie TYM samolotem podczas II wojny światowej. Nawet nie wiesz ile trudu kosztowało mnie, by go odnaleźć i wyremontować. To znaczy samolot, nie ojca. Więc proszę z większym szacunkiem! A poza tym – tu Grek spojrział na zegarek – za jakieś trzy kwadransy powinny dotrzeć do nas główne siły lądowe.

Tu Demolos uśmiechnął się łobuzersko.

- A teraz korzystaj z darowanego ci czasu i zdrzemnij się trochę.

Nic nie powiedziałem, tylko klepnąłem przyjaciela w plecy w dowód wdzięczności i zaufania i co nieco zrelaksowany ostatnią nowiną, wałęnałem się jak długi na spadochronie. Zasnąłem natychmiast.

&&&

Obudziła mnie mieszanina dziwnych dźwięków: basowy, lekko terkoczący pomruk oraz tętent. Jakby pędziło ku nam stado szalonych, rozwścieczonych, stalowych nosorożców. Co to mogło być u diaska? Bizony! Tatanka! Patataj! Ani chybi zbliżało się ku mnie w pędzie szalonym stado szarżujących bizonów! Ale przecież bizony zostały skutecznie wytłuczone już wieki temu!

- Widzę, że się budzisz – usłyszałem nad sobą głos Korpuskulosa. – To dobrze, bo odwody nadciągają.

- Od wody? – zapytałem nieprzytomnie. – Kto nadciąga od wody?

- Nikt nie nadciąga od wody, tylko odwody, rezerwy ku nam spieszą – wyjaśnił nieco zniecierpliwiony Grek i dodał złośliwie:

- Jak się będziesz dalej pozwalał tak bić po pysku, to całkiem od tych uderzeń zidociejesz... Ty zrozum Dan, że nie jesteś młody pistolet, tylko stary dziad. Potrzebujesz się wyspać, dobrze zjeść, dać się pomasować...

- Dobra, dobra – przerwałem mu, bo nie miałem najmniejszej ochoty wysłuchiwać kolejnej porcji dionizyjskich porad.

Za kilka chwil mogliśmy polec w boju, a temu się zbierało na bachanalie. W dodatku zawsze mnie wkurzało, skąd on bierze te swoje menady. Taki tłuscioch i świntuch. Pornogrubas jeden! Mnie się to nie zdarzało... No a na pewno nie w takiej ilości i zawsze potem były jakieś problemy. A ten satyr obracał panienki bez konsekwencji... Jakby Korpuskulos nie był moim najlepszym przyjacielem, dałbym mu teraz w ryj, takie to było niesprawiedliwe.

Wstałem i wpatrzyłem się ponad trawami w horyzont. Najpierw zobaczyłem trąbę na sztorc, potem obły kształt pancerza wierzchniej skorupy, potem ociekający tłuszczem korpus, a na koniec chrzęszczące pod nim gąsienice. Ale nie to było najbardziej zadziwiające – wokół tytanicznego cielska mechanicznego stegozaura galopowali na swych ognistych rumakach dzicy, wydając spontaniczne okrzyki!

Przetarłem oczy, nie mogąc uwierzyć w to, co widzę. Obraz jednak nie zmienił się ani na jotę. W naszą stronę z maksymalną prędkością zmierzał ruskij tank T-34, a wokół niego kłębili się Irokezi, Huroni, Komancze albo jacyś inni Czipewejowie, w każdym razie oryginalni, rdzenni i korzenni Indiańce, ch... cholera ich wie z jakiego byli plemienia.

- Demolos – zapytałem żałośnie – czy ja dobrze widzę, czy dostałem w głowę i mi się włączyła jakaś zdradziecka wstawka z Karola Maja zmiksowanego z Przymanowskim?!

- Kogo? Z kim? Zresztą nieważne, dobrze widzisz. Skrzyknąłem kilku Czejenów, bo widzisz, autochtoni też nie pałają miłością do Smitha. Ponoć mają jakąś przepowiednię, która głosi, że

czeka ich walka z bladą twarzą, co na prerii postawi wigwam wielki i bezkształtny, jak kupa mitycznego bizona: olbrzyma i ludożercy. Rezydencja Smitha spełnia ich zdaniem warunki, więc jak się dowiedzieli, że szykuje się rozruba od razu ochoczo zadeklarowali swój udział. No a czołg, jak czołg. Co by nie mówić ten model to jedna z lepszych maszyn tego typu w historii. Przejedzie przez wszystko, wszystko rozwali, a i działa ma sprawne, więc niech się Smith pilnuje, bo mu zrobimy imprezę aż miło.

Czołg zatrzymał się, groźnie mierząc lufą prosto we mnie. Indianie za to wciąż galopowali tyle, że już nie przed siebie, ale w koło, spowijając okolicę duszącym tumanem wzbijanym przez kopyta ich rączych wierzchowców.

- Czy oni tak muszą – wyjęczałem, spoglądając błagalnie na Korpuskulosa.

Greki, dumny i chmurny, niczym wódz najwyższy, podniósł do góry prawe ramię.

Czerwonoskórzy powyli jeszcze trochę i się w końcu zatrzymali. Wielki facet, z imponującym pióropuszem (pióropuszem?!) na głowie, wyglądający na szefa tej całej rozwrzeszczanej gawiedzi, z wdziękiem zeskoczył z rumaka, podszedł do nas i wypalił do Korpuskulosa:

- I jak, misiu pysiu? Dobrze było? Wypadliśmy cool?

- Generalnie w porzo – Grek wyciągnął w stronę przybysza dłoń zaciśniętą w pięść ze sterczącym ku górze kciukiem. – Tylko ci mówiłem, wodzu, że Dan to swój chłop i sobie te ludowe popisy mogłeś darować.

- No wiesz, pociągnęliśmy trochę cepelią, żeby zrobić dobre wrażenie... - powiedział wódz i zaraz potem wydał indiański okrzyk, uderzając dłonią o szeroko otwarte usta oraz robiąc przedziwne wymachy pozostałymi kończynami.

- Czy ty aby na pewno... - zacząłem szeptać, ale Grek mi przerwał.

- Spoko, stary. Ręczę ci, że wódz Otosamho Wsadżimuphala, choć na to nie wygląda, jak zacznie rznąć jest nie do zatrzymania...

- Wyobrażam sobie... - zauważyłem kwaśno.

- Sam zobaczysz. Facet zna się na wojennym rzemiośle, jak mało kto, a do tego przyrządza rewelacyjny napój z grzybków halucynogennych. Mówię ci – paluszki lizać. A jaki odlot!

- No toś mnie uspokoił... - powiedziałem bez przekonania.

W tym momencie z wjazdu czołgu wychylna czarna, kędzierzawa czupryna i Otosamho ze swoimi występami znalazł się na dalszym planie.

- A oto i mój pierworodny, Dymitros – zawołał radośnie Korpuskulos. – Cały tatulek, mówię ci.

Tu Grek wykonał kilka kopulacyjnych ruchów biodrami.

- Gratulacje. A gdzie Szarik? – zapytałem, bo czołg wyglądał, jak Rudy 102, a syn Demolosa, wypisz wymaluj, jak Gruzli.

- Kto? – nie zrozumiał Korpuskulos.

- Nieważne... A to kto? Też twoja latorośl? – zapytałem, wskazując kolejną, ciemną łepetynę.

- A jakże, to mój najmłodszy syn, Nikos. Dwa lata temu zabrałem go do burdelu w Rapid City, żeby się chłopak dowiedział, co jest grane. Tak mu się spodobało, że teraz bzyka Indianeczki, aż miło. A szczył nie ma jeszcze osiemnastu lat!

W głosie tatki słychać było dumę.

- A to – wyjaśnił Grek z kwaśną miną, gdy z wjazdu w wieżycze wygramoliła się jeszcze jedna postać – średni... syn. Jorgos. Od trzech lat ma tę samą narzeczoną! Załamać się można. Aż się boję, co z niego wyrośnie. W całym rodzie Korpuskulosów nie było jeszcze ani jednego męskiego członka monogamisty...

Demolos Korpuskulos wydawał się szczerze załamany.

- Nic się nie martw – pocieszyłem przyjaciela. – Jeszcze poczuje zew krwi...

- Myślisz? – z nadzieją zapytał Demolos.

- No jasne. Ty mi lepiej powiedz, kto będzie powoził tym czołgiem, jak się zabierzemy na poważnie do dzieła?

- Jak to kto? Oni!

- Czyś ty zwariował?! Przecież jest więcej niż pewne, że będzie gorąco! Możemy tam nawet zginać. Chcesz narażać własne dzieci?

- Jakie dzieci? To są MĘŻCZYŹNI! A powołaniem mężczyzny jest walczyć i pukać panienki. Ja o tym wiem i moi synkowie także. KAŻDY KORPUSKULOS O TYM WIEDZIAŁ!! – zaryczał mi do ucha Korpuskulos.

Wzruszyłem tylko ramionami. W końcu to była ich wewnętrzna, rodzinna sprawa. Pozostało nam jedynie ustalić plan akcji i ruszyć w bój.

XX

Plan był prosty. Po pierwsze byłem zbyt złochny, by się wysilać na jakieś finezyjne i zaskakujące pomysły, po drugie z Korpuskulosem nie dało się inaczej. Grek był wyznawcą działań bezpośrednich i nieskomplikowanych, opartych na czystej, żywej krzepie i

hormonach myślą nie zmaconych. Atak miał być przeprowadzony jednocześnie z ziemi i powietrza: z góry bombami rozpryskowymi na bazie plastiku LX-14 miał razić wroga Korpuskulos; na ładzie Rudy 102 z potrójnym Gruzlim, ale bez Szarika, miał wyrąbać dziurę w murze okalającym posiadłość Smitha, a następnie grzać z działa i karabinów maszynowych do czego się dało; zadaniem Indian było zasianie ostatecznego zamętu (do czego nadawali się idealnie biorąc pod uwagę ich chorobliwą ruchliwość oraz ilość emitowanych decybeli). Ja, wykorzystując skrzydło, miałem wykorzystać bojowe zamieszanie i spaść na zdeorientowanego przeciwnika z góry, niczym jastrzęb na niewinne jagnię, wdrzeć się do wnętrza wrażej twierdzy (dom-dziwołąg Smitha), uwolnić księżniczkę (córka Stanforda) oraz obciąć co trzeba wrażemu władcy (Smith). Był to jak widać plan typu kamikadze, żywcem wyjęty z filmu akcji klasy B. Ocenilem jednak, że - biorąc pod uwagę element zaskoczenia - miał wszelkie szanse by się powieść. Jak uradziliśmy, tak zrobiliśmy. Najpierw ruszył czołg, za nim z oszalamiającym wyciem pognali Indianie z wodzem Otosamho na czele, a po chwili w powietrze wzbił się pocziwina PZL. Odczekałem kilka minut i korzystając z uprzejmości dwóch Czerwonoskórych Braci, którzy pozostali w odwodzie, wystartowałem do lotu. Wojownicy pogalopowali w ślad za resztą naszej armii, a ja poszybowałem za nimi, ciągnięty przez chyże mustangi. Nie upłynął nawet kwadrans, gdy usłyszałem pierwszy wybuch. Niemal w tym samym momencie na horyzoncie ukazały się szczyty futurystyczno-idiotyczno-kiczowatych wież w siedzibie Smitha. Po upływie kilku kolejnych minut odczepiłem liny, którymi byłem związany z indiańskimi rumakami i poszybowałem swobodnie, obserwując zamieszanie w dole.

Siurpryza w obozie Smitha musiała być zupełna. Korpuskulos, zgodnie z planem, siał zniszczenie zrzuconymi raz po raz ładunkami, czołg bez najmniejszych problemów wyrwał ogromną dziurę w murze, przez którą z dzikim wyciem wdarła się wataha Indian. Ochrona oligarchy była w głębokiej defensywie, a panem sytuacji był wszechogarniający chaos. Większość ludzi Smitha biegła bezładnie, starając się w panicznych i desperackich próbach uniknąć kul i strzał (część Indian pozostała wierna tradycji i napażala z łuków). Tylko gdzieś niedługo zaskoczeni obrońcy gromadzili się w grupki i próbowali odgryzać się skutecznym ogniem. Jednakże gdy tylko tak się działo Indianie od razu wycofywali się, a na pozycje obrońców walił tank. Widać było tylko błysk ognia z lufy, gdy średni brat wystrzeliwał pocisk i... było po sprawie. Eksplozja rozrywała fragment zabudowań nad głowami broniących się mężczyzn, z których część padała rżona odłamkami, część rozpraszała się, potęgując i tak już nieludzki tumult. Zatoczyłem jeszcze jedno koło nad zgiełkiem bitewnym i postanowiłem zebrać się do lądowania.

Pałac Smitha (a właściwie zamczysko, jakieś cholerne, najzupełniej odjechane zamczysko, będące urzeczywistnioną projekcją chorego umysłu) był ogromny i, co zrozumiałe, najzupełniej mi nieznany. Lądując musiałem kierować się intuicją i zdrowym rozsądkiem. Zdecydowałem się na niemal centralne miejsce budowli, teraz już poważnie zniszczonej nieustannym lotniczym bombardowaniem i ostrzałem artyleryjskim. Intuicja i bystry wzrok nie zawiodły mnie – nie tylko bezpiecznie znalazłem się na pewnym gruncie, ale od razu usłyszałem wołanie. Dziewczęce wołanie! Zwinąłem skrzydło i nie zwlekając pobiegłem w kierunku, z którego dobiegały okrzyki żalu i rozpacz.

Zagłębiałem się coraz bardziej w labirynt korytarzy, a głos raz oddalał się, a raz zbliżał, by potem znowu oddalić się i zbliżyć, oddalić i zbliżyć, oddalić... W końcu zrozumiałem, że w tym biegu zgubię się za chwilę zupełnie. Było już jednak za późno: znalazłem się w jakiejś sali, z której we wszystkich kierunkach wybiegały korytarze i schody. Straciłem orientację i nie wiedziałem, czy mam się wspinać, czy iść przed siebie, w prawo, czy w lewo. Zamek Smitha był labiryntem! A ja byłem zagubiony w jego przepastnych trzewiach. Krople zimnego potu wystąpiły mi na czółku, bo w moim umyśle zrodziła się alternatywa, że albo wykituje tu z głodu i pragnienia, albo dorwie mnie jakiś Minotaur! W dodatku głos dochodził do mnie jakby ze wszystkich możliwych dróg naraz. Byłem bliski załamania, gdy doznałem iluminacji! Wszystkie ściany i posadzki zdobiły bardzo charakterystyczne wzory. Tak! To nie mógł być przypadek! Skupiłem się, by przypomnieć sobie drogę, którą przebyłem. Kierując się jedynie kształtem pomieszczeń oraz kierunkami, w których zdążałem, nie byłbym w stanie precyzyjnie jej odtworzyć. Ale mój mózg zaczął wyrzucać z siebie barwne symbole: rozety, figury geometryczne, kształty roślinne, arabeski... Zrozumiałem, że nie są to jedynie ozdoby, że mają swój sens praktyczny! Przypomniałem sobie symbol z początku mojej drogi – pstrokatą mozaikę, mogącą przywołać na myśl niebo o zachodzie słońca, widziane spoza krat. Ten symbol spostrzegłem niemal od razu. Teraz byłem pewien, że w każdej chwili, jeśli tylko zechcę, trafię do miejsca, z którego rozpocząłem wędrówkę po labiryntach posiadłości Smitha. Wracać jednak na razie nie miałem po co - najpierw musiałem odnaleźć młodą Stanfordkę.

Przestałem kierować się głosem, który wciąż dobiegał do mych uszu, gdyż najwyraźniej był on zwodniczy, niczym śpiew syren. Rozejrzałem się po ścianach, analizując zdobiące je wzornictwo. Większość symboli była zbyt abstrakcyjna, umowna, bym mógł je powiązać jakoś sensownie z konkretnymi znaczeniami. (No, może poza jednym – byłem niemal pewien, że bez najmniejszych kłopotów trafiłbym do toalety. Jasność oznakowania w tym względzie, co oczywiste, była podyktowana niechybnie względami praktycznymi.)

Postanowiłem udać się za znajomo wyglądającym wizerunkiem twarzy z nienaturalnie rozdziawianą paszczą (grymas owej twarzy jednoznacznie kojarzył się z krzykiem!). Podążając za wybranym szlakiem, skierowałem się schodami w dół, obniżając się coraz bardziej i bardziej w czeluść wypełnioną niepokojącym, czerwonym światłem. Schody skończyły się. W obu kierunkach biegł wąski, mroczny korytarz. Odwróciłem głowę w lewo i... zobaczyłem! Na końcu korytarza, będącego częścią podziemnych kazamatów, które wzorowane były najwyraźniej na średniowiecznych lochach i budziły nie mniejszą grozę, co tamte, jaśniała twarz młodej dziewczyny oraz delikatne dłonie, kurczowo trzymające się krat. Resztę jej sylwetki dokładnie spowijała ciemność. Wciąż było słychać wołanie, ale byłem przekonany, że dziewczyna ma zamknięte usta. Uniosła natomiast rękę, jakby chciała mi dać jakiś znak, jakby chciała mnie powstrzymać. Ruszyłem w jej stronę i wtedy usłyszałem, jak woła:

- Nie! Stój! To pułapka!

Nie zważając na jej krzyki ruszyłem biegiem (z bolesnym grymasem na twarzy, co się rozumie samo przez się, biorąc pod uwagę stan zdrowotny mojego organizmu). Już od dłuższego czasu wiedziałem, że ktoś mnie specjalnie zwodzi i byłem tym robieniem ze mnie balona konkretnie wk...urzony. Chciałem dopaść żartownisia, powiedzieć mu w twarz: „spieprzaj, dziadu” i wysłać tam, gdzie jego miejsce, czyli prosto do piekła!

Nagle zza rogu wychynał... Co to było?! Ch... cholera wie! Facet wyglądał, jak jakiś possss...trzelony Batman, w d... tyłek kopany, ewentualnie inny Człowiek Pająk. W każdym razie egzemplarz niereformowalnego idioty, który zaszedł mi drogę miał na sobie wdzianko, jakby się urwał z komiksu. Albo z parady równości! Nie zwalniając biegu pocelowałem go z buta, przekonany, że sobie z pajacem szybko poradzę. I ta pewność mnie o mało nie zgubiła. Facet przyjął kopa i nawet się nie skrzywił, tylko mi się odwzajemnił blachą w czoło. O k... kurka wodna, miał gość parę, nie ma co. Dobrze, że korytarz był długi, bo jakbym wyrznął po tej jego kontrze w ścianę, to pewnie znowu bym zaliczył jakieś złamanie. A tak przeleciałem tylko kilka metrów i w miarę bezpiecznie wylądowałem stylem grzbietowym na podłodze.

- I HAVE A POWER!!!! - zaryczał Batman z parady, unosząc trumfalnie ramiona ku górze (muszę przyznać, że w tej obcisłej garderobie, niczym z lateksowego salonu mody sado-maso, jego baniaki prezentowały się imponująco, zresztą podobnie, jak i pozostałe fragmenty byczego organizmu).

Zebrałem się ciężko i sięgnąłem za pazuchę po gana, bo było jasne, że w uczciwą walkę z tym przebierańcem nie mam się co bawić. Wycelowałem i puknąłem do niego kilka razy z „dziewiątki”. Zasłonił się skubaniec pelerynką i g...uzik mu zrobiłem.

- Kim ty kurwa jesteś – nie wytrzymałem widząc, jak pociski odbijają się od materiału.

- JESTEM PANEM ŚWIATA – zaryczał dziwoląg. – JESTEM JOHN SMITH!

I rzucił się w moim kierunku. Muszę przyznać, że szybki był. Nawet nie próbowałem uciekać, bo tylko bym się zmęczył. Nie miałem też co silić się na techniczny boks, szermierkę na pięści, uniki i jakąś bardziej skomplikowaną taktykę, bo był w każdym elemencie lepszy ode mnie. Desperacko rzuciłem się więc do zwarcia w nadziei, że w klinczu uda mi się odkryć jakiś jego słaby punkt. Ale i to nie był dobry pomysł. Przebieraniec złapał mnie w morderczy uścisk, aż chrupnęły na nowo ledwo co pozrastane żebra. Z bólu nie zawyłem tylko dlatego, bo mi całe powietrze z płucek wycisnął i nie miałem czym pobudzić do drgania spanikowanych strun głosowych. Na całe szczęście facet postanowił się ze mną inaczej pobawić, bo mnie wypuścił z objęć, ale tylko po to, by zaraz dźwignąć nad głowę na wyprostowanych ramionach, zakręcić się kilka razy i cisnąć przed siebie, jak szmacianą lalkę. Takie loty nie były moją ulubioną zabawą, ale i tak było to lepsze niż zgniatanie. Podniosłem się z jękiem pewien, że długo nie pociągnę. Batman już się zbliżał, ale na szczęście nie spieszyło mu się. W desperacji sięgnąłem po brzytwę, ale wymachując nią musiałem wyglądać wybitnie żałośnie i durnowato. W każdym razie Batman zaśmiał się tylko na ten widok.

„Dobra kochasiu”, pomyślałem, „zobaczmy co powiesz na to”.

Odrzuciłem brzytwę, wyszarpnąłem zza paska granat hukowy i ciepnąłem w jego stronę, przyciskając od razu ręce do uszu. Nie powiem, że bym liczył nadmiernie, iż go tym skutecznie ogłuszę, ale miałem cichą nadzieję, że chociaż go chwilowo powstrzymam, zniechęcę do następnego ataku. Sukces był jednak mniej niż połowiczny: gość skulił się jedynie w momencie eksplozji, a nawet zatrzymał, ale zaraz znowu ruszył na mnie wściekle. Jednak ten jeden moment zawahania wystarczył, bym dopadł schodów i pokuśtykał nimi na górę. Nie oglądając się cisnąłem kolejny granat, a potem jeszcze jeden. Ogłuszające eksplozje (sam przez nie nic nie słyszałem, ba, byłem nawet przekonany, że pękł mi bębenek w lewym uchu) musiały jednak trochę ostudzić jego zapał, bo udało mi się dotrzeć do sali o wielu wyjściach, zanim mnie dogonił. Na więcej jednak nie było mnie stać. Pajac-osilek znowu mnie dopadł, znowu podniósł w górę i znowu cisnął o ziemię, znowu podniósł, znowu cisnął, a potem jeszcze raz i jeszcze. Ten ostatni był najgorszy, bo wyrznąłem z dość bliskiej odległości w ścianę. Szczęściem w nieszczęściu nie trafiłem w nią główką, ani obolałym korpusem, tylko nogami. Chyba tylko dzięki temu przeżyłem. Próbowałem wstać, ale poczułem paraliżujący ból w kostce prawej nogi i zrezygnowany zwałem się na ziemię.

Smith-Batman stanął nade mną i zaryczał triumfalnie. Miał chłop rację – to było bezapelacyjne zwycięstwo.

„Szkoda”, pomyślałem. Nie było mi żal siebie. W końcu wykonywałem zawód wysokiego ryzyka i liczyłem się z tym, że mi w końcu ktoś zamknie życiorys (inna sprawa, że polec z ręki takiego pajaca, to nie była raczej wymarzona śmierć). Martwiłem się o Stanforda, jego córkę, Sarę, Korpuskulosa i jego czarniawych synali... Ten tutaj z pewnością był cholernie niebezpieczny! Byłem przekonany, że gdy tylko skończy ze mną, porwie dziewczynę i da w długą. Oczywiście pod warunkiem, że oprócz stroju, który dawał mu tę piekielną moc (bo o tym, że jest taki nieludzko krzepki za sprawą wdianka, byłem święcie przekonany) nie skrywa jeszcze czegoś w zanadrzu, czegoś o większym kalibrze i mocy rażenia. A nawet jeśli by teraz uciekł, to i tak potem szukałby zemsty na wszystkich, którzy zaleźli mu za skórę... Moje niewesołe rozmyślania przerwał Smith. Ponownie, nie spiesząc się, podniósł mnie w górę. Byłem pewien, że po raz ostatni.

&&&

Podobno w obliczu śmierci całe życie przebiega człowiekowi przed oczami. Mnie jednak nie przebiegło. Za to przypomniał mi się wiersz:

Płynie w łodzi zielonej...
Ach, do domu tak blisko!
Chwila jeszcze i schyli się
Nad córeczki kołyską.

Żona zaklaszcze w dłonie,
Jak ptak do furtki pomknie –
Zaczerwienią się mocniej
Na klombach pelargonie.

Przy furtce pocałunki,
Przy furtce łyzy rzęsiste...
Jak cicho! Córka śpi.

Dzięki Ci za to, Chryste!

- Matka zdrowa? – Zdrowiutka,
Ot, wszystko po dawnemu,
Co było – przeminęło,
Dziękować Najwyższemu!

- Głodnyś? – Nie, nie! Nie trzeba.
- A może chcesz herbaty?
- Nie, nie. Daj się zapatrzeć
w ciebie, w dziecko i w kwiaty.

Wiersz ten, zatytułowany „Sen żołnierza”, napisał Konstanty Ildefons Gałczyński w sowieckim obozie w Kozielsku, niedługo po tym, jak stalinowska armia wtargnęła na terytorium Polski, by „wyzwolić lud pracujący miast i wsi spod pańskiego, imperialistycznego i sanacyjnego jarzma” (Gałczyński został „wyzwolony” pod Kobryniem, od razu na samym początku agresji, 17 września 1939 roku). Dlaczego przypomniał mi się akurat ten wiersz? Nie wiem. Może powodował mną sentymentalizm, a może po prostu dlatego, że poczułem się samotny. Straszliwie samotny. Ten żołnierz z wiersza Gałczyńskiego miał o kim myśleć, za kim tęsknić. Miał nadzieję, bo kochał i ta nadzieja trzymała go przy życiu, dodawała mu sił. Ja nie miałem nikogo...

Triumfalny ryk Smitha, wiersz, który przemknął mi przez głowę, jak błyskawica, ból i beznadzieja, które mnie ogarnęły - wszystko zlało się w jedną plamę wypełniającą całą moją czasoprzestrzeń, całą realność i całą metafizykę. Nie było nic innego. Wiedziałem, że jestem gotów i że przekraczam granicę, zza której nie ma powrotu.

I wtedy, gdy dogorywał finał historii pod tytułem „Życie Daniela Szóstkiewicza”, kątem zamglonego, ledwie widzącego oka, dostrzegłem cień.

Indianin zjawił się bezszelestnie, niczym duch. Jednym, płynnym ruchem napiął cięciwę i strzelił.

&&&

Ocknąłem się na zewnątrz budowli, a właściwie tego, co z niej zostało (bombardowanie lotnicze i ostrzał czołgowy niemal doszczętnie unicestwiły pałac Smitha). Żyłem. Spoczywałem w pozycji półleżącej, oparty plecami o stertę gruzu. Rozejrzałem się. Najpierw ujrzałem wodza Otosamho Wsadzimuphala, który z wprawą zawodowej pielęgniarki opatrywał moje rany. Potem Korpuskulos, który stał opodal, przyglądając mi się z niepokojem. Gdy dostrzegł, że otworzyłem oczy, na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech. Kilka metrów na prawo siedziała Anna Elizabeth Stanford, pochlipując z cicha. W tle, za rozłożystą sylwetką Greka, zobaczyłem ludzi Smitha, stłoczonych w jednym miejscu. Pilnowali ich młodzi Korpuskulosowie oraz kilku Czejenów.

- Dan, stary byku! – usłyszałem głos Demolosa. – Jakże się cieszę, że cię widzę w dobrym zdrowiu!

- W czym?! – spytałem zdziwiony.

- No, w każdym razie żywego. Bo, mówię ci chłopie, marnie wyglądałeś, jak cię Otosamho wyniósł z tych zakazanych kazamatów.

- Przecież mówiłem ci, że nic mu nie będzie – wtrącił się do rozmowy wódz.

- Jasne, jasne, ale co innego twoje prorocтва, a co innego teraz, jak widzę, że nasz bohater mruga ślepiami...

- Moja noga... - wyjęczałem żałośnie, przypominając sobie o kończynie, uszkodzonej podczas walki.

- Już nastawiłem – spokojnie wyjaśnił Indianin. – Była tylko zwichnięta. Przez kilka dni będziesz musiał poleżeć, aż zniknie opuchlizna i krwiaki się wchłoną.

- Wątpię, żebym sobie mógł pozwolić na taki luksus... – rzuciłem ni do siebie, ni do nich. Spróbowałem się poruszyć i stwierdziłem, że jakkolwiek byłem solidnie poobijany, to jednak nie doznałem aż tak dramatycznego uszczerbku na zdrowiu, bym nie mógł dokończyć rozpoczętej sprawy. Zresztą, jak stwierdził kiedyś Charles Dickens: „ważne jest nie to, co możemy zrobić, ale to, co zrobić musimy”. Ja MUSIAŁEM. I tylko śmierć mogła mi w tym przeszkodzić. A przecież żyłem i, jak zauważył beztriosko Korpuskulos, dobrze się miałem.

- Co się właściwie stało... tam... To ty, prawda? – zapytałem patrząc na wodza.

- Szturm udał się nadspodziewanie dobrze – zaczął opowiadać wódz. – Tyś jednak zniknął nam z oczu i długo cię nie było. Martwiłem się o ciebie...

- A ja to nie?! – włączył się Korpuskulos.

- Tyś sobie latał bezpieczny w górze i tylko spuszczałeś na dół te bombki... ptasie...

- Taak?! Akurat! Doskonale widziałem, jak Dan wylądował i szybciej niż ty zauważyłem, jak znika w ruinach!

- Ha! Tyś zauważył?! I co?! To ja...

- Och, dajcie spokój – zawołałem zniecierpliwiony. – Dowiem się wreszcie, co tu się działo?

- Jak mi ten stary, grecki cap nie będzie przerywał...

Korpuskulos już miał coś powiedzieć, ale powstrzymałem go ruchem ręki i błagalnym spojrzeniem. Grek zgrzytnął tylko zębami i zmilczał.

- No... - Indianin był najwyraźniej usatysfakcjonowany. – A więc spostrzegłwszy, żeś zniknął, pospieszyłem za tobą. I dobrze zrobił, boś był w poważnych tarapatach.

- To akurat wiem. Ale jakim cudem udało ci się mnie uratować z rąk tego... tego...

Zabrakło mi słów na określenie Smitha i jego niezwykłego kombinezonu.

- No i co się stało ze Smithem?

- Ze Smithem?! – zgodnie zdiwili się wódz i Korpuskulos.

- We własnej osobie...

- Hu-hu. No to chyba mamy Smitha z głowy. Widzisz, jakem w końcu cię odnalazł, to Smith trzymał cię nad głową i wznosząc twarz ku niebu darł się w niebogłosy. Wyglądał, jakby był w transie...

- Najwidoczniej zwycięstwo nad tobą, poczucie absolutnej władzy i to, że za chwilę miał cię zgładzić, wywołało w nim stan euforycznej ekscytacji... - wtrącił swój komentarz

Korpuskulos

- No przecie właśnie to samo rzekłem! – Indianin popatrzył na Greka z wyrzutem. – Był upojony własną potęgą i świadomością nadciągającej kulminacji, tym, że w każdej chwili może zabić, że twoje życie i śmierć zależą od niego. Mnie nie zauważył. Złożyłem się bez namysłu. To jego ubranko było jakieś podejrzanе, więc wycelowałem w szyję - jedyne, nieosłonięte miejsce. Oko mam sokole, a rękę pewną, więc, nie chwając się, trafiłem go precyzyjnie, prosto w krtań.

- No to ten cały Smith nawet nie poczuł, jak dosięgła go kostucha – zauważył Korpuskulos. W jego głosie słychać było rozczarowanie.

- No właśnie... - Indianin też posmutniał. - Ale trudno, co tam. Niech mu będzie...

„Chłopaki mają trochę racji”, pomyślałem. „Taka lekka śmierć dla takiego drania... to niesprawiedliwe”.

- Już miałem się stamtąd z tobą wynosić – kontynuował Otosamho – ale usłyszałem wołanie. Zbiegłem więc w dół i z kozy uwolniłem tamtą oto squow – mówiąc to wódz wskazał na Stanfordkę. – Wróciwszy po ciebie, wziąłem cię na plecy, boś nadal był bez życia i w trójkę wydostaliśmy się na zewnątrz. A czas był ku temu najwyższy: Korpuskulos najwyraźniej

trafił jedną z bomb w jakieś wybuchowe instalacje, bo podziemiami wstrząsnęła potężna eksplozja i w jednej chwili cały pałac zawalił się, jak domek z kart.

- Czyli Smitha mamy z głowy... - powiedziałem zamyślony. – Dziękuję ci, wodzu.

- Eee... a zresztą nie będę fałszywie skromny. Masz za co. Jakby nie ja, to...

Tu wódz przejechał sobie dłonią po szyi.

- To dobra nowina - odezwał się z poważną miną Korpuskulos. – Ten Smith to był wyjątkowy kawał skurwysyna i cieszę się, że już nie psuje powietrza. Ale mamy też pewien kłopot – co zrobić z tamtymi przyjemniaczkami?

Greki wskazał dłonią na siedzących na gruzowisku cyngli.

- A co byś chciał z nimi zrobić? Przecież ich nie wytłuczemy. Niech idą w cholerę.

- Chcesz ich puścić?

- A co mam z nimi zrobić? Przecież nie wezwiemy po nich federalnych, bo sami też wyładowałibyśmy w mamrze. I to na długie lata. Chyba, że masz jakieś sprytne wytłumaczenie dla tej naszej prywatnej krucjaty z użyciem ciężkiego sprzętu bojowego? To jest może i wolny kraj, ale samotnych szeryfów nie lubią w nim już od wieku. Więc?

- Masz rację. Jeszcze by się okazało, że te żołnierzyki Smitha to niewinne ofiary, a wrogami publicznymi numer jeden jesteśmy my. Tym bardziej, że władza już od dawna ma na mnie oko. Więcej niż pewne, że smutni panowie nie przepuściliby takiego pretekstu, by mnie zapuszkować.

- No widzisz Demolos. Czasami trzeba na siłę, ale czasami trzeba też pomyśleć...

Wstałem i ciężko powlokłem się w stronę grupki wziętych do niewoli mężczyzn.

- Dobra robota – powiedziałem do najstarszego z braci Korpuskulosów i klepnąłem go w plecy. – A teraz możecie iść do taty.

Dymitros rozdziawił usta ze zdziwienia, ale nic nie powiedział, tylko machnął ręką na braci i cała trójka się oddaliła.

„Karne chłopaki”, pomyślałem z podziwem i zazdrością o synach Korpuskulosa. Indianom nic nie musiałem mówić, bo sami zabrali d... dyferencjały w troki. Najwidoczniej wódz dał im znak.

- Słuchajta, wieśniaki! – zwróciłem się do żołnierzy Smitha. - Wojna skończona, wasz szef dokonał żywota pod stertą gruzów, a my... - zawiesiłem na moment głos, rozglądając się ponuro - nie bierzemy jeńców.

Mężczyźni poruszyli się niespokojnie. Kilku sprężyło się, jak do skoku, zaciskając pięści. Większości jednak miny zrzedły, buźki wykrzywiły się w podkuwkę, a oczęta zaszczyły wilgocią.

- Spotkanie z nami dobiega końca...

Trzech kwadratowych koleś, takich po co najmniej sto kilo żywej wagi każdy, osunęło się na kolana. Inny chlipnął nerwowo, inny przełknął ślinę tak, że go chyba było słychać w Waszyngtonie. Nawet ci, co na początku różni twardzieli teraz wyglądali, jak bydlę prowadzone na rzeź. Całkiem ich rozmiękczyłem. Pomyślałem, że wystarczy tego znęcania, bo wreszcie któryś nie wytrzyma napięcia i zacznie mi tu płakać, błagać o litości, łapać mnie za kolana...

- Jesteście wolni. Możecie iść.

Zobaczyłem po ich minach, że są w szoku. Żaden się nie ruszył.

- No co jest? Nie słyszeliście? Spadajcie!

Nic, cisza, kilku poruszyło się tylko niepewnie, ale nie ruszyli z miejsca.

- No? Wynocha! WYPIERDALAĆ!

Zaczęli dźwigać się, ale cały czas z ociąganiem, pełni lęku. Pewnie bali się, że jak się odwrócą zaczną im strzelać w plecy. Dopiero, jak jeden odważył się i pognął przez prerię, a ja nie sięgnąłem po broń, reszta puściła się za nim.

- Ej, ty! – zawołałem do jednego z ostatnich cyngli, bo mi coś nagle przyszło do głowy.

Wybrałem go, bo facet wyglądał na tle swoich debilowatych kumpli wyjątkowo inteligentnie. Zatrzymał się niepewnie. Był lekko wystraszonym, ale chyba już skumał, że nie mam zamiaru go rozwalić.

- Możesz przejść się na pieszo przez to zadupie razem z kolegami, albo zarobić parę groszy.

Nie będę cię zmuszał na siłę. Sam decyduj.

- Każdy szmal jest dobry – mężczyzna uśmiechnął się niepewnie. – Mnie tam wszystko jedno, dla kogo robię.

- To świetnie. Siadaj i czekaj.

- Ale...

- Żadne „ale”. O kasę się nie martw, a czego chcę od ciebie dowiesz się w swoim czasie. A jak ci się coś nie podoba, to możesz lecieć z kumplami. Jeszcze ich dogonisz.

- Ok, ja tylko tak. Nie ma sprawy szefie.

- To mi się podoba. Jak ci na imię?

- Jooosh – odpowiedział z lekkim zająknięciem, jakby się zawahał. – Josh Misth!

„Szybko się sk...urkowaniec przestawił”, pomyślałem widząc, jak płynnie zaakceptował nowego szefa i nowe warunki.

„Pewnie podał lewe nazwisko... Ale co tam – najważniejsze, że chce współpracować. Nie powinno być z nim kłopotów.”

Nie przypuszczałem nawet, jak bardzo się myliłem...

XXI

Smith nie żył, jego armia została zdemobilizowana i poszła w rozsypkę. Młoda Stanfordka była uratowana. Teraz wystarczyło jedynie zrealizować kolejną część planu: wrócić do Afryki, rozbić bazę Smitha (miałem nadzieję, że jak ochrona dowie się, że szef nie żyje, zdemobilizuje się sama i siłowe argumenty z mojej strony będą zbyteczne) i uwolnić Stanforda. Po bitwie, która zakończyła się przed chwilą, wydawało się, że będzie to betka, bułka z masłem, łatwizna, czyli, mówiąc kolokwialnie i skrótowo – luzik, a nawet lajcik. Pozostawał oczywiście jeszcze do rozwiązania jeden problem - George, ale wołałem się nim teraz nie martwić.

- A co z tym? – zapytał Korpuskulos, wskazując na zwerbowanego przeze mnie faceta, gdy z powrotem podszedłem do Greka i towarzyszącego mu Indianina.

- A co ma być? Przyda się – rzuciłem od niechcienia, wzruszając ramionami. – Chcę go przedstawić w Afryce, jako dowód klęski Smitha. Kapujesz? Mam nadzieję, że dzięki temu uniknę kolejnej nawałanki. A teraz... myślę, że my też powinniśmy się stąd zabierać. Taka rozpiarducha mogła wywołać zainteresowanie, a kontakt z przedstawicielami miejscowej władzy niekoniecznie wyszedłby nam na dobre. Jeszcze raz ci dziękuję – zwróciłem się do wodza. – Jakby co, to pamiętaj, że możesz na mnie liczyć. Zawsze! Nigdy nie zapomnę, co dla mnie zrobiłeś. Ale teraz już znikaj, bo pozostawanie w tym miejscu z każdą chwilą staje się coraz bardziej niebezpieczne. Żegnaj wodzu!

Mówiąc to wyciągnąłem do niego rękę. Indianin odwzajemnił mój uścisk, a następnie dosiadł wierzchowca (kurka! jak on go dosiadał!!!), krzyknął na swoich wojowników i cała indiańska wataha szybko oddaliła się z wyciem.

- Też lepiej stąd spadaj – zwróciłem się do Demolosa.

- Ja? Wiesz, ja chyba jeszcze zostanę z tobą...

- Ale...

- Czekaj, daj powiedzieć. Chłopaki odstawią sprzęt – Grek wskazał synów - a potem się wybiorą na długie wakacje. Bo chyba lepiej będzie, jak na jakiś czas wszyscy czterej znikniemy z domu. Myślę, że władze same będą uradowane, że im z otoczenia ubyła taka

gnida, jak Smith i pewnie nikt nie będzie specjalnie się dobijał o wyjaśnienie tego, co się tutaj stało...

- I ja tak myślę – przytaknąłem Korpuskulosowi. – Smith był ważny i wpływowy, ale póki żył. Jestem pewien, że nikt się nie zmartwi, że go diabli wzięli. I władza nie będzie się nadmiernie napinać ze śledztwem. Niemniej...

- Niemniej masz rację, że teraz ani lokalnym szeryfom, ani federalnym lepiej nie włączyć w oczy. No i sobie pomyślałem, że jak mam się gdzieś szwędzić bez sensu i zaliczać panienki, a ty masz jeszcze coś do załatwienia, to czemu nie miałbym ci w tym pomóc?

- Chcesz lecieć ze mną do Afryki?!

- A czemu nie?

Nic nie powiedziałem, tylko uściśnąłem go z wdzięcznością.

Nagle uświadomiłem sobie, że w pobitewnym ferworze, wśród pożegnań i planów, co dalej, zupełnie zapomniałem o uratowanej dziewczynie! Nie zwlekając zwróciłem się w jej stronę.

- Dlaczego pani płacze? – zapytałem, kiedy byłem już całkiem blisko pochlipujące Stanfordki.

Dziewczyna, słysząc mnie, szybko opanowała się. Otarła twarz dłońmi, wyprostowała się i popatrzyła na mnie z wdzięcznością, ale dumnie. Była Amerykanką, ale najwyraźniej chciała się zachowywać, jak Angielka z dobrego domu.

- Dziękuję panu bardzo i przepraszam...

- Och, to normalne, emocje i w ogóle... Przykro mi, ale nie mam niestety chusteczki. Sama pani rozumie, w tych warunkach...

- Bardzo pan miły. Jeszcze raz dziękuję, że... mnie pan i pańscy przyjaciele uratowali...

Dziewczyna starała się trzymać, ale głos jej się trząsł. Widać było, że z trudem hamuje płacz.

- Czy... czy Smith coś pani zrobił? – zapytałem zaniepokojony.

- Smith? Nie... - dziewczyna chyba domyśliła się sensu mojego pytania, bo jeszcze raz gwałtownie zaprzeczyła. – Och nie, to nie to co pan myśli. Nie o mnie chodzi...

- A więc?

- Smith... Smith powiedział mi, że już nigdy nie zobaczę... że... mój tata...

Dziewczyna na nowo wybuchnęła płaczem.

Usiadłem obok niej i lekko dotknąłem jej ramienia.

- Pani Anno... Aniu, nie martw się. Twój tata jest cały i zdrowy.

- Co?! – jej oczy zrobiły się wielkie na pół twarzy, niczym u niektórych małpiatek, jak malago, czy tarsjusze.

- Twój tata ma się bardzo dobrze – powtórzyłem uspokajającym tonem. – Widziałem go niedawno i obiecałem, że cię do niego zawiozę.
- Naprawdę? Och, jest pan kochany. Kochany!
- Mówiąc to Stanfordka rzuciła mi się na szyję.
- Niezła lalka – gwizdnął Korpuskulos z podziwem, puszczając do mnie oko.
- Dziewczyna, słysząc głos Greka, od razu zarzuciła wylewność, puściła mnie i przybrała nieco wyniosłą postawę. Widziałem jednak, że spogląda na Korpuskulosą ciekawie.
- Panu również dziękuję...
- Ależ nie ma za co. Cała przyjemność po mojej stronie!
- Demolos uśmiechnął się oblesnie i, jak to miał w zwyczaju, poczochnął się po kłakach wyłazających z rozchelstanej koszuli.
- Przez twarz dziewczyny przemknęła, niczym szczur w bezksiężycową noc, mieszanina fascynacji i obrzydzenia, doprawiona zawstydzeniem. Najwyraźniej wobec zwierzęcego sex-appealu kolegi D.K. doznała tak zwanej ambiwalencji uczuć. Nie raz widziałem, jakie damy łądowały z Demolosem w łóżku, więc nie miałem zamiaru biernie czekać na dalszy rozwój ich wzajemnych relacji.
- Czyś ty zwariował?! – wyszeptalem prosto w ucho Demolosa, łapiąc go za łokieć.
- Ale co? – udał niewiniątko Grek.
- Przecież widzę co się dzie! A do tego przecież to niemal dziecko...
- Eeee tam – powiedział Korpuskulos, wyglądając na Amerykanke spoza mojego ramienia. – Jak na moje oko, a moje oko nigdy się nie myli, to dzierlatka jest w wieku rębnym. A poza tym facet po walce powinien sobie, dla odprężenia, pobz...
- Zapomnij! Albo nie jedziesz!
- No dobra, dobra... Aaaa, rozumiem! Sam byś ją...
- Idioto! Ja wykonuję robotę! Mam ją dostarczyć tatusiowi, rozumiesz? Nienaruszoną! Jasne to jest?!
- Ok., ok., po co się od razu tak miotac, krzyczec... Robota, to robota. Jasne, że rozumiem... „Taaak...”, pomyślałem, widząc jego minę – „na co mi przyszło?! Na stare lata będę za przywoitke robił...”.
- Wszystko w porządku? – zapytała zaniepokojona Stanfordka, przyglądając się z odległości naszej sprzeczce.
- Tak, tak – odkrzyknąłem uspokajająco. - Wszystko jest w najwyższym porządku.
- Jasne, maleńka – dołączył się do zapewnień Korpuskulos.

Chciał jeszcze coś dodać, ale kopnąłem go w kostkę, wykrzywiając się okrutnie w jego stronę.

- Jasne, jasne – zaburczał pod nosem. – Nawet mi się odezwać nie wolno...

Podeszliśmy ponownie do niej.

- Musiałem ustalić tylko z przyjacielem kilka kwestii... organizacyjnych.

- Jak dostaniemy się do Afryki? – zapytała Stanfordka rezolutnie.

- Hmm – zamyśliłem się. – Z tym mogą być pewne problemy...

- Nie sądzę – usłyszałem głos za swoimi plecami.

Odróciłem się i zobaczyłem Josha Mistha. Najwyraźniej podszedł nieproszony i przysłuchiwał się naszej rozmowie!

- Co takiego? – warknąłem.

- Jeżeli szef pozwoli – głos Josha wypełniła uniżoność. – Mam tutaj, to znaczy mój poprzedni szef, Smith, miał samolot. Niewielki odrzutowiec. Nie da się nim przelecieć do Afryki za jednym zamachem, ale jak zatankujemy paliwo na wybrzeżu, to przez Atlantyk przeskoczymy bez problemu.

XXII

Skorzystalismy z propozycji Josha, bo była to propozycja z gatunku tych, których się nie odrzuca. Smith smażył się w piekle, ale nie znaczy to, że się nam nie spieszyło. To znaczy mnie i Stanfordce. Bo Korpuskulosowi, w rzeczy samej, nie spieszyło się nigdzie. Co innego, jakby w Afryce czekała na nas rozruba. O! wtedy Demolos gnałby pierwszy! Ale ponieważ mieliśmy uzasadnioną nadzieję na pokojowe zamknięcie sprawy (Demolos nie znał wszystkich moich problemów, bo nie wiedział o małopłodzie George'u) jego umysł nieustannie pochłonięty był Anną. Wolałem nie wyobrażać sobie, co wyobraża sobie Demolos. Gdybyż choć na chwilę zostali sam na sam... W tej kwestii nie tylko nie mogłem ręczyć o przyzwoitości przyjaciela, ale byłem przekonany, że o żadnej przyzwoitości mowy być nie może. A zatem jednak mogłem ręczyć tyle, że... w drugą stronę.

Byłem nieludzko zmęczony, poobijany, połamany, kuśtykałem na jedną nogę, moja wątroba ciągnęła resztką mocy przerobowych. W dodatku chciało mi się sakramencko spać. Gdy w końcu wylądowaliśmy w afrykańskiej bazie, poczułem cudowną ulgę: za chwilę wszystko się

skończy i będę mógł pójść do Sary. Pójść do Sary i... powiedzieć, że ją kocham. A potem niech się dzieje, co chce.

Nie wiem skąd wziął się we mnie ten naiwny optymizm. Przecież nie byłem nowicjuszem i powinienem był wiedzieć, że jak coś w teorii ma wyglądać lekko, łatwo i przyjemnie, to się w praktyce skończy jakimś monstrualnym g... To komplikacje są nieuniknione. Czasami, wykonując swoją pracę, czułem się, jakbym odgrywał jedynie jakąś wcześniej ustaloną rolę. Jasne, że było to tylko paranoiczne przeczucie, ale... Bywało niezwykle silne. (O ile rzeczywiście był jakiś reżyser, to niezwykle sprytnie prowadził mnie od zdarzenia do zdarzenia, cały czas pozostając w głębokim cieniu).

Nie inaczej miało być i tym razem, ale póki co wszystko przebiegało gładko i bez zgrzytów. Gdy samolot wylądował, najpierw wysiadłem z niego ja z Joshem Misthem. Na wszelki wypadek cały czas trzymałem palec na spuście pistoletu maszynowego, który miałem ukryty pod kamizelką. Jednakże ochroniarze, którzy otoczyli samolot, zachowywali się najzupełniej spokojnie. Wyjaśnienia Josha przyjęli bez cienia wątpliwości i z pełnym zrozumieniem. Wiadomość, że Smith zginął i że zostali bez pracy przyjęli bez zmrużenia powiek. Jakby wysłuchali wiadomości o pogodzie. W innych warunkach, gdybym był w innym stanie psychicznym i fizycznym, to nienaturalnie opanowane, wręcz obojętne zachowanie cyngli zapewne rozbudziłoby we mnie podejrzenia. Tym razem byłem jednak tak skonany, tak bardzo chciałem zobaczyć napis „The end”, że wszystko przyjąłem za dobrą monetę. Kazałam wysiąść pozostałym członkom wycieczki, a więc Stanfordce i Korpuskulosowi (to był jedyny moment w całej podróży, podczas którego ta para pozostała bez nadzoru a i tak okazał się wystarczający, by na twarzy dziewczyny pojawił się płomienny rumieniec zażenowania). Całą naszą czwórką plus trzech gości z ochrony powędrowaliśmy do laboratorium, w którym pracował (a właściwie pozorował pracę) Chris Stanford. Czy muszę opisywać radość i wzruszenie, jakie zapanowały, gdy naukowiec ujrzał swe dziecko, gdy młoda Stanfordka rzuciła się w ramiona swego ojca? Tego z pewnością nie muszę robić. Muszę za to opisać ciąg dalszy tej historii. Bo nie był to jeszcze koniec.

Kiedy Stanfordowie tulili się do siebie, kiedy Korpuskulosowi oczy zaszyły mgłą wzruszenia, a mnie zrobiło się słabo nie tyle z powodu rozgrywającej się przede mną sceny rodzinnej, co kolejnego ataku wątrobowego (tym razem byłem pewien, że to już ostatni atak i ostatni ból w moim wszawym życiu płatnego lapsa), usłyszeliśmy szyderyczy głos:

- Piękna scena! Chyba zaraz ze wzruszenia rzygnę, albo co...

Odwróciłem głowę i mętym wzrokiem dojrzałem Josha Mistha, który stał w rozkroku, podparty pod boki, ze szczęką wysuniętą do przodu.

- Dawaj giwerę! – rozkazał.

Przeleciałem oczami po oprychach stojących za nim. Wszyscy mierzyli do nas z broni, a miny mieli takie, że nie mogłem się spodziewać po nich choćby odrobiny litości. Posłusznie podałem mu broń.

- Dan Six! – Josh podniósł dramatycznie głos. - Wielki Dan Six! Kto by pomyślał, że wielki Dan Six, to takie wielkie... NIC! Six, przyznaję, że napsułeś mi krwi. Ale jednak tępota, brak wyobraźni zawsze zbiorą swe żniwo. Okazało się Dan... Mogę tak do ciebie mówić? Okazało się Dan, ty bucu, że jesteś po prostu głupi. Że brak ci szerszej perspektywy. Że ktoś taki, jak ja zawsze wygra z kimś takim, jak ty, żałosny śmieciu. Że zawsze tak było, tak jest i zawsze tak będzie, że zgraja podobnych tobie kutasów jest podporządkowana PANOM! Jestem TWOIM PANEM! Rozumiesz śmierzdielu?

- Tak naprawdę jesteś nikim, Smith – powiedziałem ze spokojem, choć w duszy gotowały mi się żal, wściekłość i najgorsze uczucie z możliwych – bezsilność.

Josh Misth był w rzeczywistości Johnem Smithem! Teraz było to dla mnie jasne jak drut. Tylko jak?! Przecież ten facet nie wyglądał, jak Smith!

Korpuskulos i Anna popatrzyli na mnie zdziwieni.

- Ależ co pan mówi?! – zaproponował profesor Stanford. – Doskonale wiem, jak wygląda Smith! To nie on! Jestem tego pewien!

- Czyżby, profesorku? – spytał ironicznie John Smith alias Josh Misth ściągając z twarzy maskę.

Ależ byłem głupi! To było takie oczywiste. Od samego początku! Powinienem był się od razu zorientować, że Misth to Smith!

W swoim pałacu, widząc, że jest krucho, nasłał na mnie podstawionego faceta, a sam, w doskonale wykonanej silikonowej masce, skrył się pośród więźniów. Fantomas jeden! Gdy zaproponowałem mu robotę, udawał, że daje się obłaskawić, by mieć mnie na oku i jednocześnie knuć plan zemsty. Dlatego ochrona bez dyskusji i ze spokojem przyjęła informację o śmierci szefa. Chłopcy od początku wiedzieli, że wszystko jest blefem, że o śmierci szefa mówi do nich... sam szef - najwyraźniej albo jakoś ich poinformował o swej metamorfozie, albo musieli już wcześniej znać jego alternatywne oblicze.

Wszystko było jasne. Za późno. Smith był górą. Nie, nie był górą. On wygrał! Mógł ze mną, z Korpuskulosem, ze Stafordem i jego córką zrobić, co chciał. Co gorsza byłem pewien, że w jego chęciach nie odnajdzie się nawet odrobiny dobra, nawet odrobiny człowieczeństwa. A może samo człowieczeństwo? Może wszyscy byliśmy tak naprawdę krwiożerczymi, sadystycznymi bydlakami i tylko dzięki rygorom kulturowym, religijnym nie

zachowywaliśmy się wszyscy tak, jak Smith? Może Smith naprawdę był wielki, bo potrafił uwolnić się z cywilizacyjnych okowów, potrafił odkryć i wyzwolić swoją prawdziwą naturę, swój autentyczny indywidualizm? Może faktycznie to on był wolny, a my byliśmy zniewoleni, spętani normami, wychowaniem, lękiem przed karą w życiu doczesnym bądź po śmierci? Nihilizm moich myśli przeraził mnie, ale czy nie mogło tak być naprawdę? Czy naprawdę Smith nie był panem, a my nie byliśmy jedynie niewolnikami, mięsem armatnim, amorficzną masą, plebsem wyzutym z indywidualnych cech, czysto biologicznym, materialnym zasobem ludzkim ujętym w ramy norm, przepisów i statystyk? Czy nie byliśmy wręcz podludźmi?

Mój bok przeszył tak gwałtowny paroksyzm bólu, że aż przyklęknąłem na jedno kolano.

- Brawo, Dan. Ty głupi bucu! – Smith zaśmiał się demonicznie, ściągając z twarzy maskę.

- Jestem pod wrażeniem twego umysłu, przejrzystego niczym szambo nie opróżniane od miesięcy. Więc powiadasz, że ja jestem nikim? A ty kim jesteś? Jak się czujesz teraz, przegrany, ze świadomością, że jesteś na mojej łasce i niełasce, ze świadomością, że mogę zrobić wszystko: z tobą, z tą żalostną parką Stanfordów, dla których miałeś być wybawieniem, ostatnią deską ratunku, którzy ci uwierzyli, a ty ich tak zawiodłeś, jak ostatni debil i amator, z tym smętny, greckim erotomanem, który jest ci przyjacielem, co mnie nie dziwi, bo każdy ma takiego przyjaciela, na jakiego zasługuje? Jeżeli ja jestem nikim, to dlaczego ty klęczysz?

- Mam to w dupie – wysapałem, skręcając się z bólu.

- Taaak? A masz też w dupie i to, że mam w swej władzy także twoją słodką Sarę?

- Coś ty powiedział, zasańcu?! – wychrypiałem z wściekłością i trwogą.

- Że mam twoją dziwkę – Smith, cedząc te słowa przez zęby, podszedł do mnie i kopnął w twarz.

Zwaliłem się na plecy. W ustach czułem słodki smak krwi. Chciało mi się płakać, wyć, ale zacisnąłem zęby i podniosłem się na klęczki. Na więcej nie było mnie stać.

- Zabiję cię, skurwysynu – spokój z jakim to powiedziałem, zaskoczył mnie samego.

- Ty?!!! – zaryczał Smith.

Stał nade mną, napinając wszystkie mięśnie.

– Ty parszywy debilu! Dalej nic nie rozumiesz, czy chcesz mnie wkurwić?

Byłem pewien, że za chwilę otrzymam kolejny cios, ale Smith obrócił się w stronę swoich ludzi i zakomenderował:

- Dawajcie tę sukę!

Jeden z goryli zniknął, by po chwili powrócić z Sarą Metcalf. Smith złapał ją brutalnie za włosy i cisnął o posadzkę. Tego było już jak dla mnie zbyt wiele. Rzuciłem się w jego stronę,

starając się złapać go pod kolana i obalić. Ale moje wysiłki były żałosne. Nie byłem w stanie walczyć. Smith odskoczył i upadłem na twarz. Usłyszałem nad sobą szczęk zamka. Podniosłem głowę i zobaczyłem Smitha, trzymającego w rękach mój własny pistolet maszynowy.

- Kogo mam najpierw rozwalić? Ciebie? Nie, ty będziesz ostatni. Ją? – Smith wycelował w Sarę. – Niiieee, to byłoby zbyt mało emocjonujące. Tych dwoje? A może twojego kumpla. Tak! Najpierw rozwalę tego greckiego jebakę!

Smith już miał strzelić, gdy z góry spadł na niego jakiś kształt.

To był George!

Potem wszystko rozegrało się błyskawicznie. Goryloczłek złapał Smitha i wyrwał mu z barku rękę z bronią i odrzucił. Zrobił to tak, jakby Smith był szmacianą lalką. Ludzie oligarchy cofnęli się i zaczęli strzelać do George'a. Chociaż kule siekały go niemiłosiernie małpolud nie zaprzestawał masakrować trzymanego w rękach ciała. Jednocześnie Korpuskulos skoczył tygrysim i lądując z przewrotem płynnie złapał za pistolet maszynowy. Dłoń Smitha wciąż trzymała go żelaznym chwytem, więc Grek dźwignął broń razem z nią i wykosił. Cyngle padli, niczym świeżo ścięte zboże. Sekundę po nich na podłogę osunął się George.

„Tak mi przykro, Georgie...” – pomyślałem i zapadłem w niebyt.

EPILOG

Z wszechogarniającej mnie nieświadomości wyłonił się najpierw dźwięk. Cichy poszum. Ostrożnie, jakbym bał się, że ujrzę piekło, uchyliłem jedną powiekę. Obraz był zamazany, ale swojski. Wciąż byłem w laboratorium. A więc żyłem! Śmielej otworzyłem oczy i rozejrzałem się po pomieszczeniu. W delikatnej poświacie nocnej lampki ujrzałem swe ciało spoczywające na szpitalnym łóżku, okryte czystym, białym prześcieradłem. Z mej prawej piersi wybiegała rurka, najpewniej dren, do żyły w ręce podłączona była kroplówka. Obok łóżka, na drewnianym krześle, drzemała moja ukochana.

- Sara... - wyszeptałem niemal bezgłośnie.

Tak byłem słaby, a moje usta tak wysuszone i spękane, że z najwyższym trudem dobywałem głos. Dziewczyna, chyba bardziej wiedzona intuicją niż słuchem, poruszyła się niespokojnie, a potem otwarła szeroko oczy i zawołała:

- Dan, kochany! Panie profesorze! Profesorze Stanford! Dan się obudził!

Wyciągnąłem w jej stronę rękę, a gdy zbliżyła się przyciągnąłem ją do siebie i objąłem, nie zważając na wystające ze mnie szpejo. Chciałem jej powiedzieć, co do niej czuję, teraz, od razu, ale usłyszałem odgłos kroków i po chwili nade mną zakotłowało się.

- Proszę nie męczyć pacjenta – zakomenderował Chris Stanford, odsuwając ode mnie Sarę, swoją córkę i Korpuskulosa. Jak każdy łapiduch chciał mnie mieć tylko dla siebie.

- Jak się pan czuje? – zapytał z troską w głosie, jednocześnie, zapewne odruchowo, biorąc mnie za rękę i badając puls.

- Cudownie! – wysiliłem się na udawany entuzjazm. – Zwariował pan doktorze? Jak mogę się czuć?

- Jak rozdeptane krowie gówno? – podrzucił Korpuskulos z typowym dla siebie taktem.

- Kocham cię, Korpuskulos, ale bardzo cię proszę, byś zaprzestał tych poetyckich alegorii rodem ze stajni, bo czuję, że psują mi się od nich resztki zdrowia. Niech pan lepiej powie, panie doktorze – zwróciłem się do Stanforda – co ze mną?

- Byłoby krucho... gdyby nie George. On pana uratował. Teraz sytuacja jest opanowana. Mam nadzieję, że pana stan szybko będzie się poprawiał.

- No tak, George... Uratował nas wszystkich. Ale ja... widzi pan, wszelkie urazy, jakie odniosłem w walce, to nic, sprawa bez znaczenia. Ostatnim i jedynym gwoździem do trumny jest moja wątroba.

- Była – odpowiedział ze spokojem Stanford, uśmiechając się tajemniczo.

- Jak to – była? – zdziwiłem się szczerze. – A co? Już nie jest?

- Nie.

- Więc co? Jestem zdrowy?!

- Tak jakby. Musi pan tylko poleżeć jeszcze jakiś czas pod kroplówką...

- Ale jak?! Zresztą OK., nieważne, naprawił mi pan wątrobę, wielkie dziękuję za to, choć nie wiem, jak to możliwe. Smith mam nadzieję ostatecznie wykitował?

- Co do tego nie ma wątpliwości. George nie dał mu szans...

- To dobrze... Ale, ale, no właśnie, co z George'em? – zapytałem, choć szczerze mówiąc, spodziewałem się tylko jednej odpowiedzi.

- George nie żyje. Ale widzi pan, on panu coś ofiarował. To znaczy mam nadzieję, że nie miał nic przeciwko temu, by coś panu podarować, bo zapytać go, rzecz jasna, nie mogłem.

- George mi coś ofiarował?!

- Tak. Podziurawili go, jak sito, ale jakimś cudem ocalał jeden nietknięty organ... Pana wątroba... jeszcze przed trzema dniami była wątrobą George'a. To miałem na myśli mówiąc, że George pana uratował.

&&&

I to już koniec tej opowieści. Uratowałem Sarę. Uratowałem Stanforda i jego córkę. Zrobiłem, co do mnie należało. Oberwałem solidnie, to prawda. Ale bądźmy uczciwi. Ja też skorzystałem na tym całym zamieszaniu. Też zostałem uratowany. Uratowała mnie Sara, bo wezwała mnie do Afryki. Uratował mnie Stanford, bo stworzył Geoga. Uratował mnie George! Przecież, do licha, to jego wątrobę miałem w sobie! Ba! Nawet ten gnój Smith miał w moim ratowaniu jakiś swój chory udział! Dostałem nowe życie. Może, gdyby się to wszystko nie zdarzyło, już bym wachał kwiatki od korzeni? A więc czy to wszystko było... dla mnie?! Żebym dalej istniał i odwalał swój kawałek brudnej roboty?

W dodatku, i to chyba w całej tej historii było najważniejsze, dzięki George'owi i jego bezinteresownemu poświęceniu i bohaterstwu odzyskałem wiarę... w człowieka. Tak, podczłowiek George, małpolud George przywrócił mi wiarę, którą tak skutecznie nadszarpnął Smith, chcący uchodzić za nadc człowieka. Czyż to nie piękny paradoks?

Wstałem z fotela, ale błędnik odmówił mi posłuszeństwa. Zwaliłem się na podłogę, rozlewając resztkę alkoholu pozostałego w butelce. Zanim usnąłem, słodko, jak niemowlę, mój mózg nawiedziła jeszcze jedna myśl:

„A może to w ogóle się nie zdarzyło... nie zdarzyło... nie zdarzyło...zdarzyło...rzyło...ło...”

KONIEC